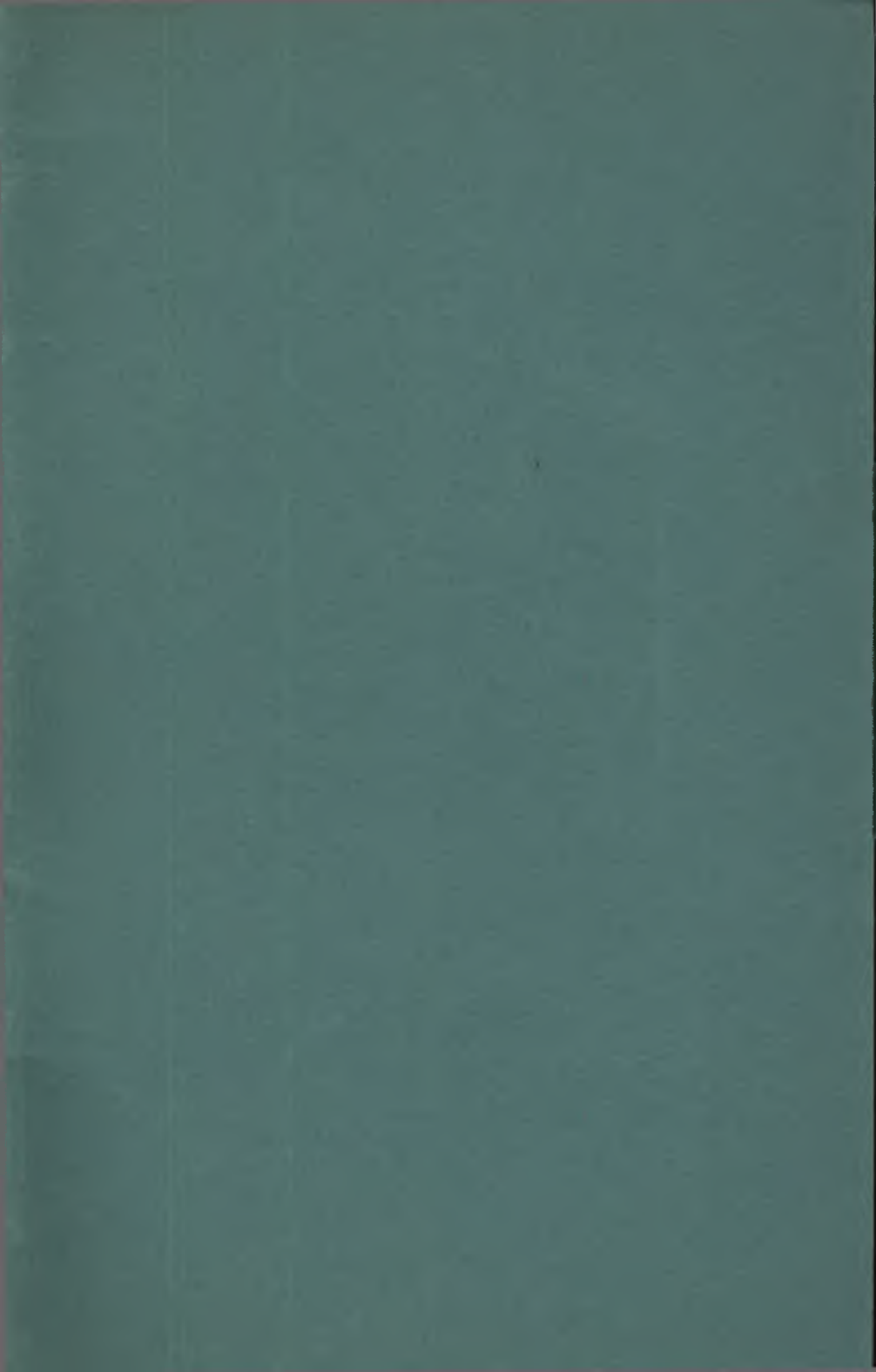


»PAMIĘTNIK WĘDROWCA«

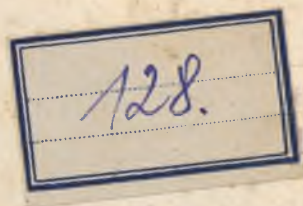
Dziewczyna z Champs Elysées

Bolesław Kобрzyński : Gawęda molisańska — **Gustaw Morcinek** : Dziewczyna z Champs-Elysées — **Zbigniew Grabowski** : Nikołaj Bierdiajew, krytyk kultury — **M. K. Dziewanowski** : Farys z Oxfordu — **Hanna Peretiatkiewicz** : Wczoraj i dziś w miasteczku świętego Edmunda — **Ignacy Baliński** : O kulcie trzech wieszczów — **Zygmunt Nowakowski** : Le théâtre c'est moi — **Bolesław Skarżyński** : Svio-polonica — **Teresa Bogusławska** : Ave — **Szymon Zimorowic** : Antonilla — **Szymon Askenazy** : Provokacja w przeszłości — **Józef Korzeniowski** : Korespondencja
Rysunki **Artura Horowicza**
Okładka
Wojciecha Jastrzębowskiego

»NAKŁADEM« ORBISU «LONDYN 1946«



016 72
№ 64
PAMIĘTNIK WĘDROWCA



DZIEWCZYNA Z CHAMPS-ELYSÉES



NAKŁADEM „ORBISU”

LONDYN 1946

S P I S R Z E C Z Y

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI: Gawęda molisańska ..	3
GUSTAW MORCINEK (rysunki ARTURA HOROWICZA): Dziewczyna z Champs-Élysées	4
ZBIGNIEW GRABOWSKI: Nikołaj Berdiajew — krytyk kultury	19
M. K. DZIEWANOWSKI: Farys z Oxfordu	27
HANNA PERETIATKOWICZ: Wczoraj i dziś w miasteczku świętego Edmunda	34
IGNACY BALIŃSKI: O kulcie trzech wieszczów....	42
ZYGMUNT NOWAKOWSKI: Le théâtre c'est moi! Rzecz o Ludwiku Solskim.....	50
BOLESŁAW SKARŻYŃSKI: Svio-polonica	57
TERESA BOGUSŁAWSKA: Ave.....	61
Kłosa z Polskiej Niwy	
SZYMON ZIMOROWIC: Antonilla	62
SZYMON ASKENAZY: Prowokacja w przeszłości	62
JÓZEF KORZENIOWSKI: Korespondencja	66
Myśli z pism IGNACEGO DOMEJKI, ANTONIEGO OSTROWSKIEGO, JULIUSZA SŁOWACKIEGO, STANISŁAWA WITKIEWICZA, STEFANA ŻEROMSKIEGO	

Okładkę projektował JÓZEF NATANSON

19 ilustracji

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI

GAWĘDA MOLISAŃSKA

*Na przedpolu, daleko przed nami,
Most wiszący jest między szczytami,
Na nim gwiazdy blyszczące jak śnieg.*

*Stamtąd w świstach niszczący wiatr przybył,
W wieżach dymu dom wypłakał szyby,
U drzewi teraz zmierzch jak psisko legł.*

*Co w pośrodku — to ziemia nieczyja.
Na tej drodze, z miasteczka gdzie wyjazd,
Jak stróż nocny działo pełni straż.*

*Od Iserni slychać szum. Bez światła
Suną wozy jak czarne widziadła
Zza zakretu, który dobrze znamy.*

*Wieje pustką. Za oknem noc widać.
W gdzieś nieznanie niepokój uskerzydła,
A za murem canzona jak sen.*

*Przydaj bierwion, w kominku niech płoną,
Stadła Włoszka przy szarym wrzecionie,
Już się legend mota dziwny len.*

— Że w Rionero straszą wilkolaki,
— Że są czary w kształtach wielorakich :
— Wąż, gdy lato... Gdy zima, to kot.

*Wtem w sam środek legendy zimowej
Świśnie coś — i pochyla się głowy,
I coś huknie wybuchem jak grzmot.*

*Sygnaturka, zbudzona przez wystrzał,
Litanijskie wmodliła się w ciszę,
Aż ukłękła pod dzwonicą dym.*

*Przy kominku nawet noc jest pieśnią,
Tak się wszystko harmonią rówieśni :
W kregu ognia czary, dzwon i my.*

*Dziej się, baśni wieczorna, na świecie,
Śnieg na drzewach niech wyda się kwieciami,
Front nad Sangro ukołysz do snień !*

*Bije północ. W śnież jstych kożuchach
Zza zatomu wychynał rząd duchów...*

To nasz patrol, co powróci w dzień...



DZIEWCZYNA Z CHAMPS-ELYSÉES

rysunki : ARTUR HOROWICZ



Dziewczyna usiadła w głębokim fotelu i położyła dłonie na oparciach.

Dłonie jej były wąskie, drobne i jakby nierealne. Za oknami szumiąco ogromne miasto, z czerwonych ścian sali sączyło się blade światło, a na tle owego szumu i na tle bladego światła widok spoczywających dłoni przywodził wspomnienie starego drzeworytu japońskiego, z którego wynurzał się zwiewny kształt dziewczyny o podobnie wąskich i drobnych dłoniach. Dłonie dziewczyny na drzeworycie były pokorne, przesycone światłem i stworzone do pieśczoły. Były ucieleśnieniem tęsknoty za kimś, kogo już nie ma, czy za kimś, kto ma dopiero nadejść. Dłonie dziewczyny z Champs-Élysées były takie same.

Koło nas płatała się muzyka, skandowana niepokojącym rytmem synkopów. Czasem zwałała się do nas piskliwym zgiełkiem i gasiła słowa na ustach. Była wtedy podobna do jarmarcznego wesołka, który jest ogromnie smutny, bo mu dziecko umarło, lecz gwoły radowania gawiedzi udaje beztroskiego wartogłowa. A czasem oddalała się jakby za ową czerwoną ścianę i tylko jeden jedyny jej ton odbijał się płaskimi rzutami. Wówczas dziewczyna kurczyła się w sobie i przymykała oczy, a Kazimierz posepniał. Mnie zaś przypominał się obóz. Oto na ziemi leży człowiek — już nie człowiek, lecz skulony łachman ludzki. Nad nim stoi kapo i bije go drągiem mocno, rytmicznie. Nie widzę uderzenia, lecz je słyszę, jak ongi. Każde z nich dolatuje mnie płaskim, tęnym kłaśnięciem.

Rytmiczne klaskania jednego tonu przechodzą znowu nieznacznie w wielogłosowy, zmierzwiiony rytm synkopów. Palce spoczywających dłoni dziewczęcych wystukują go bezwiednie na skórzanych oparciach.

— Pani lubi tę muzykę? — zapytał Kazimierz.

Palce spłoszyła się, ucichły, dziewczyna podniosła duże, niebieskie oczy.

Oczy były niebieskie, a brwi i rzęsy czarne. Wydawało się przeto, że patrzy na nas z głębi, w której jest cisza i zmierzch dnia wiosennego.

— Czy pani lubi taką muzykę? — powtórzył Kazimierz.

— Nie... — rzekła po namyśle i uśmiechnęła się lekko.

I w tym jej uśmiechu i w tym jej błękitnym zdumieniu dostrzegliśmy ów dziwny świat, który był dotychczas dla nas bez nazwy, bez przestrzeni i bez czasu. Wiedzieliśmy, że gdzieś istnieje, lecz nie wiedzieliśmy, gdzie go szukać i czy go kiedykolwiek znajdziemy. Marzyliśmy o nim na jawie i podczas serdecznych zamyśleń, i w czasie bezsennych nocy na wszystkich barłogach. Był dla nas obietnicą najgłębszych i najczystszych wzruszeń. Wiedzieliśmy, że to świat nierealny, tak samo jak nierealne wydają nam się w tej chwili dłonie tamtej dziewczyny. I że to świat tak samo nieosiągalny, jak niedostępny wydawał nam się czyjś uśmiech, który by nam przypominał zapach macierzanki w słońcu, i jak nieosiągalne wydawało nam się czyjeś zdumione spojrzenie błękitne, które byłoby zapomnieniem tamtych dni w obozie.

Patrzyliśmy w nią z uwielbieniem.

Podobni byliśmy w tej chwili do postaci z jakiegoś religijnego obrazu, które z zachwytem w oczach i ze wzruszeniem prostaczka patrzą w niezemskie objawienie. I zdawaliśmy sobie sprawę, że byliśmy obaj poniekąd śmieszni w onej chwili.

Muzyka przeszła nieoczekiwanie w smętną, uciszającą melodię kołysanki. Melodia była egzotyczna, nasycona urodą nieobeszłych przestrzeni słonecznych, lecących wichrów podniebnych, szumu palm i oceanu. Szary bełkot ogromnego miasta i szary, ściszony gwar ludzi przy stolikach nabrały teraz patosu wielkiego zdarzenia. Czarne brwi nad oczami dziewczyny zagubiły wyraz zdumienia, ułożyły się w kształt słodkiego oczekiwania.

Kołysanka przemieniła się stopniowo w cichy szept matki, kiedy swe dziecko w ramionach usypia. Śpiew był wciąż przetykany urodą nieznannej ziemi słonecznej, szumem wichrów pod niebem i rytmicznym szmerem oceanu. Myśleliśmy w tej chwili o swoich matkach. Dziewczyna zaś przechyliła się do przodu i zasluchana jęła głaskać perły na piersiach. W każdym ruchu jej palców było piękno bez granic i była niepojęta tkliwość wzbierająca w jej sercu dla dzieciątka, które kiedyś urodzi.

Muzyka zstępowała powoli w pianissimo, dziecko w ramionach matki zasypiało, granatowy mrok spływał na ziemię, na niebie zapalały się gwiazdy, a matka ostatek słów śpiewała już szeptem, gdy zniemacka w cichnącą melodię zwały się pioruny.

Muzyka skotłowała się w ogromny krzyk, a pioruny wyrzuciły ją pod niebo, strąciły na ziemię i zdusiły ostatnim uderzeniem. Dziewczyna zamknęła oczy i szarpnęła naszyjnik. Po jej sukni, po czerwonym dywanie posypały się perły. Muzyka przemieniła się teraz w oddalający łoskot motorów samolotowych, w pojedyncze, dalekie już wybuchy bomb, jeszcze ciskanych spod nieba, i w zamierający krzyk matki. Z ludzkiej ciżby przy stolikach rozleciały się długie oklaski, ktoś krzyczał becząco: „Bis!... bis!...“, a równocześnie nadbiegł kelner, gładki, uśmiechnięty, i zaczął zbierać perły z dywanu.

— Piękna muzyka, proszę państwa, nie!?!—mówił schylony, coraz podnosząc twarz na dziewczynę.— To nasz najnowszy przebój!... Wszyscy goście w naszej kawiarni są zachwyceni. Państwo również, nie?... Chopin, Schubert czy Korsakow, to nic!... Mnie zawsze serce bije, gdy nasza orkiestra gra ten kawałek... To nasz najnowszy przebój!...

Tylko w naszej kawiarni wolno go grać!... Nasz szef wybulił grube tysiące za prawo grania... To amerykański kompozytor ułożył... Nazywa się Dżon... Dżon... i jeszcze jakoś, lecz zapomniałem... O, proszę, perły już pozbierane!... Niech pani będzie łaskawa... do dłoni... już dobrze!... Przepraszam... — i ukłonił się głęboko i poźgłował między stolikami w głąb sali, kłaniając się na wszystkie strony i na wszystkie strony rozdając ocukrzane uśmiechy.

Dziewczyna przesypywała chwilę perły z dłoni do dłoni, potem włożyła je do torebki i odetchnęła głęboko.

— Czy to matka zginęła? — zapytała nieśmiało.

Jakby jej wstyd było wzruszenia.

— Nie! Jej dziecko zabiła wojna... — rzekł półgłosem Kazimierz.

— Czy panowie miewali w obozie przecucie tego rodzaju doznań?

— O czym pani mówi?

— O muzyce, o pięknie, o wolności i o Paryżu, o tym rozdrożu świata, gdzie schodzą się drogi ludzkiego serca i ducha...

Popatrzyła na nas z niepokojem, czy nie dostrzeże kpiącego grymasu. Zrozumiała, że jej wzruszenie i słowa są dziwnie groteskowe w naszym otoczeniu. Przy stolikach siedzieli bowiem Amerykanie ze znudzonymi minami, patrzący ze snobistyczną obojętnością na swoje dziewczyny. Dziewczyny przymilały się im ptaszęcym szczebiotem i chociaż żuły gumę w sposób przypominający przeżuwanie u krów, olśniewały urodą i wdziękiem zamorskich, pastelowych kwiatów.

Kazimierz zamyślił się, drobne zmarszczki koło ust nabrały goryczy.

— ... gdzie schodzą się drogi ludzkiego serca i ducha! — powtórzył powoli, jakby każde słowo było ziarnkiem gorczycy, które powoli rozgryza. — Dla nas schodziły się w obozie! — dorzucił twardo.

— Nie rozumiem...

— Opowiem pani, panno Maryśko. Nie wiem, czy pani mnie zrozumie. Pani jest z innego świata, o którym marzyliśmy. Wojna i rozpętane zło przeszło koło pani bokiem. Pani była nad oceanem w Bretanii, myśmy tkwili w jądrze owego zła, tego samego zła, które jakiś Dżon amerykański usiłował oddać w zakończeniu swej kołysanki, co panią, panno Maryśko, zdołało wzruszyć mimo prymitywnego ujęcia muzycznego. Lecz nie o to chodzi... Myśmy tkwili w jądrze owego zła, i stąd też może nasze odczuwanie jest inne, aniżeli u pani.

— Wciąż nie rozumiem. A może rozumiem, tylko nie umiem tego określić?...

— Widzi pani, to było tak. Jak w bajce. Każda bowiem bajka zaczyna się od tamtych słów. A więc to było tak... Opowiadać?

— Proszę!

— Była raz jedna matka. Jak miliony innych matek. Ta sama, którą widzieliśmy w kołysance. I ta matka miała syna jedyńaka. Nazywała go Zbyszkciem. Zbyszek był jej wszystkim na świecie. Był ładny, dobrze się uczył w gimnazjum, miał tklive serce, ubóstwiał matkę. Matka zaś żyła tylko Zbyszkciem i jego przyszłością. Wierzyła, że jej syn będzie dobrym człowiekiem i pożytecznym człowiekiem. I zawsze dziękowała Bogu za tę łaskę... Aż w końcu przyszła wojna!

— Wojna!... — szepnęła dziewczyna, a oczy jej pociemniały.

— Przyszła wojna, a z wojną jej przekleństwo. Pewnej nocy pojawili się urzędnicy Gestapo i aresztowali Zbyszka. Jak tysiące innych. Po prostu wywiekli go z łóżka. Krzyczącą matkę odtrącono od syna i wywieziono go w nieznaną. Było to w małym miasteczku na Podhalu.

I nie wiem, co się z nim działo, aż wreszcie spotkaliśmy się w obozie koncentracyjnym w Dachau. Było to wiosną 1940 r. Uradowałem się z tego spotkania, gdyż mogłem się nim zaopiekować. A był to najtrudniejszy okres w obozie. Ludzie konali i konali, dobijani podczas pracy, na placu apelowym, na drodze. Wszystko bowiem zmierzało do tego, by nas wyniszczyć. Głód, straszny głód, praca, zimno, deszcze, choroby, bicie, a w końcu śmierć, odarta zupełnie z majestatu śmierci. Zbyszek bał się takiej śmierci. Tulił się nieraz do mnie i płakał. Uważał się przede mną, że nie wytrzyma, że się załamie i zginie, a on przecież chce żyć. Zastanawiał się głośno, dlaczego tyle zła i niesprawiedliwości na ziemi. Wszak ludziom tym nic złego nie uczynił. Był tylko harcerzem, a oni to uważają za przestępstwo, zabrali go matce i powlekli jak zbrodniarza, najpierw do więzienia, gdzie go bito i bito, a w końcu do obozu na nieuchronną śmierć.

„W chwilach takiej rozterki mówiłem mu o matce. Starałem się go przekonać, że nie wolno mu się załamać, gdyż matka czeka na niego. Bo jeżeli się załamie, podzieli los naszych kolegów, którzy już poszli na druty, by lec pod nimi, zastrzeleni przez strażnika na wieży lub rażeni prądem elektrycznym, którzy wieszali się byle gdzie lub zrezygnowani czekali biernie śmierci. Nie wolno mu więc dopuszczać takich myśli o śmierci, przeciwnie, musi wierzyć, lub przynajmniej musi chcieć wierzyć, że przeżyje to piekło, że wróci na wolność, gdyż matka czeka na niego. Matka wierzy w niego, i on tej wiary nie powinien zawieść. I modli się za niego i tęskni za nim, i płacze serdecznymi łzami, lecz wierzy, że wróci.

„Zbyszek uciszał się wtedy i słuchał jak ołśniony. Zapominał o głodzie, zapominał o śmierci, a ściskając mi dłonie, uśmiechał się przez łzy i tuląc się do mnie, zapewniał, że wytrzyma.

„Tymczasem z niepokojem stwierdzałem, że Zbyszek nie wytrzyma. Wiedziałem, że duchowo nie załamie się, lecz że ulegnie fizycznie. Pracował ze mną na plantacjach, gdzie wówczas była najgorsza praca. To znaczy, że pochłaniała najwięcej ofiar. Bo czy śnieg, czy mróz, deszcz czy błoto, trzeba było pracować lichy odzianym, przemarzniętym, skostniałym, na całodziennym deszczu, wciąż głodnym i wciąż bitym przez zezwierzęconych kapów. Widziałem, że Zbyszek gaśnie w oczach, że przemienia się powoli w żywy szkielet, że ślania się z wycieńczenia. Lecz przynajmniej już nie płakał, tylko spochmurniał, postarzał się na twarzy, a oczy jego płonęły głodem i gorączką. Staliśmy nieraz godzinami na deszczu na placu apelowym, w przemoczonych drelichach, a Zbyszek stał obok mnie skurczony, siny z zimna, trzęsący się, lecz z jakimś ponurym błyskiem w oczach. Widziałem, że jego chłopięca dusza ulega przemianom, że dojrzeva moralnie, że przekształca się w człowieka dorosłego o sercu zgorzkniałym, w które sączy się nienawiść i pragnienie zemsty. Że jeżeli kiedy wyjdzie z obozu, będzie już człowiek dojrzały, który nigdy nie miał lat młodzieńczych, nie miał nawet lat pacholęcych, lecz z dziecka przedzierzgnął się w człowieka starego o zatrutym sercu i o skrzywionym kregosłupie moralnym. Jedynym ratunkiem dla niego była wciąż jeszcze matka. Codziennie byliśmy wszyscy wypędzani z baraków na godzinę przed apelem i tę godzinę musieliśmy przestać na dworze pod ścianami, skuleni, głodni, zziębnięci. Zimno kasało nasze wychudłe ciała, a myśmi kullili się i milczeli, zapatrzeni w przekleństwo ludzkiego zła. Zbyszek także milczał. Brałem wtedy jego sine dłonie i ogrzewałem je swoim oddechem. Wówczas przypominała mu się matka, bo zaczynał o niej

szepać. Pytał się, upewniał, czy matka wie jak mu tutaj źle, czy istotnie czeka na niego, czy ją kiedy zobaczy.

„Jedynie wspomnienie matki potrafiło go jeszcze roztkliwić. Poza tym był już człowiekiem starym, ponurym, zaciętym w sobie, patrzącym na świat spojrzeniem twardym i nienawistnym. Lecz gdy zaczęliśmy rozmawiać o matce, oczy jego rozjaśniały się, twarz stawała się znowu chłopcę, a słowa jego o niej były ogromnie podobne do słów modlitwy. Mówił o niej jak o świętej, która gdzieś na niego czeka i modli się, i wadzi z Bogiem o jego życie i o jego wolność...

Na estradzie odezwała się znowu muzyka, lecz teraz już była cicha i nie przeszkadzała opowiadaniu. Za olbrzymimi szybami sączył się mrok spod szarego nieba, zmrużono wciąż miasto, i przeciekało do nas światło łukowych lamp z Champs Elysées.

Kazimierz opanował już swój głos i gdy na początku mozolił się ze słowami, układał je z wysiłkiem w zdania, teraz jego opowiadanie było już płynne, akcentowane dyskretną mimiką i modulacją głosu. Muzyka w głębi sali nadawała im osobliwe tło, tworzyła pewnego rodzaju ilustrację dźwiękową.

Dziewczyna słuchała z rosnącym zainteresowaniem. Przechyliła się do przodu i nie spuszczać oczu z Kazimierza, raz po raz sięgała dłonią do naszyjnika, którego już nie było. Palce błąkały się przez drobną chwilę na piersiach, szukały go bezwiednie, a nie znalazłszy — opadały na kolana. Tu splecione jak do pacierza nieruchomiały, podobne do białych kwiatów.

— Wadziła się z Bogiem? — powtórzyła za Kazimierzem. — Jakie dziwne wyrażenie! Matka wadziła się z Bogiem o swoje dziecko!... Ja rozumem...

— Tak, może była podobna do Niobe, może do króla Priama, czy ja wiem? Po cóż tu szukać porównań? Była matką, jak miliony innych matek wadzących się również z Bogiem o swoich synów...

— A Zbyszek?

— Zbyszek miał w obozie jedną, jedyną radość. Przepadał za marmoladą. Marmoladę otrzymywaliśmy w niedzielę po południu, jako dodatek do kawałka chleba. Nie było tego wiele. Niepełna łyżka stołowa. Zbyszek przez cały tydzień radował się na ową łyżkę marmolady. A gdy ją otrzymał, rozkoszował się jej słodyczą, jak prawdziwe dziecko. Brał po odrobinie na język, rozpuszczał w ustach, smakował i uśmiechał się. I zawsze wracał do matki. „Mama zawsze mi dawała taką samą marmoladę“ — mawiał. Często zwracał się do kolegów z propozycją zamiany jego chleba na ich łyżkę marmolady. Zamiana była niekorzystna, gdyż chleba było tak mało, iż nigdy go nie starczyło, by można się było nasycić. Wartość kaloryczna marmolady była jeszcze mniejsza. Koledzy chętnie zgadzali się na taką zamianę, i mimo mojego protestu nie mogłem Zyszka odwieść od tego rodzaju transakcji, co gorsza, znajdowali się nawet koledzy, którzy wiedząc o tym jego osobliwym łakomstwie, sami go namawiali do zamiany chleba na marmoladę. „Popatrz się Zbyszek, — kusili go, — ja mam pełną łyżkę marmolady. Daj mi swój chleb, dam ci marmoladę. A jaka słodka“... Zbyszek pozwalał się skusić i oddawał ciwartkę chleba za łyżkę słodyczy. Potem przez cały dzień głodował!

„I nie wiem jakby skończył, czyby zdołał przetrzymać fizycznie tamto piekło, gdyby nie sposobność dostania się na rewir na kurs pielęgniarstwa. Zbyszek zgłosił się pierwszy. Wszak to był jedyny ratunek przed śmiercią. Na rewirze byłby pod dachem, byłoby mu ciepło, praca spokojna, je-

dzenia miałby dosyć, nikt już by go nie bił, nie poniewierał! Zbyszek zgłosił się więc pierwszy i został przyjęty. I tutaj zaczyna się drugi akt tragedii...

— Tragedii? — zdziwiła się dziewczyna.

— Tak! Opowiem pani. Otóż, jak wspomniałem, Zbyszek dostał się na rewir na kurs pielęgniarski. Skończył go, a że był przystojny, wpadł w oko kapowi rewirowemu, niejakiemu Heidrichowi. Kapo Heidrich był zbrodniarzem. Kapo Heidrich był największym zbrodniarzem w obozie. O twarzy brutalą, o zbójcekich oczach, katował chorych na rewirze, bił, kopał, a przede wszystkim mordował ich zastrzykami!...

— Zastrzykami mordował? — zdziwiła się dziewczyna.

Oczy jej stały się duże, zdumione, niedowierzające.

— Tak. To był zwykły sposób usuwania z rewiru chorych kolegów. Ktoś za długo chorował, ktoś był już tak osłabiony, że nie mógł sam wyjść do ustępu, ktoś uprzykrzał się jękami i skamlaniem o bólu, ktoś w ogóle nie podobał się Heidrichowi, więc ginął. Dostawał dożylny zastrzyk benzyny czy czegoś podobnego i umierał w kilka minut. To był jedyny sposób usuwania chorych kolegów, by zrobić miejsce w rewirze dla nowych, zgłaszających się codziennie. A zgłaszali się masowo. Wycieńczeni, owrządzili, trawieni gorączką, gnijący, dosłownie gnijący, cuchnący, półtrupcy wlokące się na czworakach... Heidrich silniejszych wyrzucał kopniakiem za drzwi, słabszych pozwalał umieszczać na łóżkach po to, by za kilka dni wynoszono ich jako żółte trupy do kostnicy, a z kostnicy do krematorium. Zbyszek stał się więc teraz ulubieńcem kapa Heidricha. Trudno mi powiedzieć, czy jego kochanką...

— Przepraszam... nie rozumiem!... — szepnęła dziewczyna.

— ...

— Ach, to straszne!... I wstrętne! — zachnęła się i zakryła oczy dłonią.

Na drobną chwilę łuki brwi opadły, wyrównały się, usta zaciśnięte stłumiły protest jakiś, wygięły się w gorycz.

— I teraz Zbyszek zmienił się zupełnie. Gdy maszerowaliśmy rano czy po południu do pracy, stał w oknie rewiru i patrzył na nas. Czysto ubrany, w białym fartuchu, w zaprasowanych spodniach, wyniosły, pański,



patrzący z pogardą na nas, z jakąś dziwnie pogardliwą wyższością, jakby, chciał mówić i zaśmiewać się z nas: „Oto hołota idzie, zdechlaki, a ja!... Ja mam co jeść, jest mi ciepło, mam wygodę, dach nad głową, czyste łóżko, bezpieczeństwo, a przede wszystkim mam co jeść!“...

— Nie!... Chyba nie! — zaprotestowała dziewczyna.

— A tak!... Zresztą nie dziwię się temu. Ten nagły jego przeskok z ostatniej nędzy do pewnego rodzaju zbytku i wygody musiał spacyfikować jego serce i duszę. Przecież to był jeszcze chłopiec młody, kierujący się nie jakimś szlachetnym rozumowaniem, charakterem, lecz jedynie uczuciami i instynktami, lękiem przed głodem i przed śmiercią. Nie dziwiłem się więc bardzo jego przemianie. Lecz zdziwiła mnie inna rzecz!...

— Dla mnie nie jest to niezrozumiałe!

— Dla mnie stało się niezrozumiałe to co teraz opowiem. Oto po obozie jęły rozchodzić się potworne wieści, że Zbyszek stał się prawą ręką kapa Heidricha. Że teraz już nie Heidrich zabija ludzi zastrzykami, lecz że czyni to... Zbyszek!

— Chryste Boże — szepnęła dziewczyna i skuliła się w fotelu.

Zbyszek podczas opowiadania Kazimierza urósł w jej oczach na bohatera, oto w swym sercu wyniosła go na piedestał ofiary, oto przeżywała mękę jego matki, wadzącej się z Bogiem o życie swego dziecka, oto sama kajęła się przed Nim i swe współczujące serce dziewczęce kładła w pokorze u Jego stóp, żeby wyblagać dla tamtego dziecka łaskę, a tymczasem...

— Nie! To niemożliwe! — krzyknęła i odepchnęła dłońmi ponury majak.

Lecz w tej samej chwili opanowała się, opuściła dłonie na oparcia i rzekła pokornie:

— Przepraszam!...

Orkiestra wciąż grała. Teraz szła do nas, jak na palcach, po puszystym czerwonym dywanie, „Rapsodia“ Liszta.

— Panie Kazimierzu, niech pan dokończy... — poprosiła dziewczyna.

— Wieści potwierdzały się. Zbyszek wyręczał kapa Heidricha i teraz on, wyłącznie on tylko spełniał funkcję kapa. Podchodził do chorego, wynosił, zimny, tajemniczo uśmiechnięty, nachylał się nad nim i mawiał: „Otrzymasz zastrzyk, wyzdrowiejesz!“... Potem odsłaniał jego ramię i wbijał szpilkę strzykawki w żyłę. Naciskał, jad wlewał się do żyły. Potem prostował się i patrzył znów spokojnie, z tym niepojętym okrucieństwem, z tym przerażającym spokojem, pełnym radości, jak chory kolega kona powoli, jak rzuca się w ostatnich drgawkach, jak umierające życie broni się jeszcze, jak opada, załamuje się, zanika... A teraz do następnego... A potem do następnego!.. I tak dzień za dniem, noc za nocą przez dwa lata!...

„Wszyscy w obozie już wiedzieli, że Zbyszek zabija kolegów zastrzykami. I wszyscy odsunęli się od niego. On zaś nie wychodził z rewiru. Stał się zastępcą Heidricha, miał swój ładnie urządzonej pokoik, miał jedzenia do syta, miał wypielęgnowane ręce, szlifowane paznokcie, pachniał wodą kolońską, dumny, hardy, wyniosły i nieprzystępny. Jeżeli pojawił się na ulicy, wszyscy odsuwali się od niego, a gdy wołano za nim, że idzie kat i morderca, udawał, że nie słyszy. Uśmiechał się tylko tym swoim pogardliwym, wyniosłym uśmiechem!...

„Aż pewnego razu, gdy przechadzałem się po ulicy obozowej z przyjacielem — tu wskazał na mnie — i rozmawialiśmy o wartości dekalogu

dla ludzkości, Zbyszek podszedł do nas. Nie przywitał się z nami, tylko w milczeniu przystąpił i szedł milcząco z nami. Urwałem zdanie w połowie, nie potrafiłem już mówić o dekalogu. Nastąpiło przykre wyczekiwanie. Nie miałem serca by mu wprost powiedzieć: „Odejdź od nas!“... A równocześnie wszyscy przechodzący patrzyli na nas zdumieni. Zbyszek widział nasze zakłopotanie i widział zdziwione spojrzenia kolegów. I wtedy spostrzegłem, że się wstydzi. Że Zbyszek po raz pierwszy odczuwa tamte spojrzenia kolegów, jak ogromny krzyk oskarżający. Że idzie pod nimi jak pod pręgierzem. Że wszystkie oczy wskazują na niego i krzyczą: „Idźcie ze zbrodniarzem!“...

„Na szczęście odezwał się gwizdek kapa obozowego na znak, że już godzina dziewiąta, że czas wracać na bloki. Rozeszliśmy się w milczeniu, bez podania ręki. Zbyszek stał na drodze i patrzył za mną. Potem zawołał: „Panie Kazimierzu?“... — „Proszę“. — „Panie Kazimierzu, pragnąłbym z panem porozmawiać!“... — „Dzisiaj już nie można, godzina dziewiąta!“... — „Ja wiem, lecz czy mogę z panem rozmawiać w sobotę wieczorem?“ — prosił. Zgodziłem się. Skinął głową i poszedł.

„W sobotę wieczorem stanąłem przed swoim blokiem i czekałem do godziny dziewiątej. Wiedziałem, że jego prośba ma jakieś ogromne znaczenie. Lecz Zbyszek nie przyszedł. „Ha, — pomyślałem, — namyślił się. Tym lepiej może dla mnie i dla niego“. Lecz po dwóch tygodniach znowu go spotykam. „Panie Kazimierzu, czy mogę z panem porozmawiać w sobotę?“ — zwrócił się do mnie z bolesnym wyrazem na twarzy. Oczy jego były zgaszone a spojrzenie ciężkie. „Czekałem na ciebie w tamtą sobotę, — rzekłem, — lecz i w tę sobotę zaczekam!“... — „Kiedy ja do pana nie przyjdę, ja *nie mogę* przyjść do pana! Niech pan przyjdzie do mnie!“...

„Spojrzałem na niego zdumiony. Zgodziłem się, umówiłem, że w sobotę o godzinie ósmej wieczorem będę u niego na rewirze. Podziękował, zawrócił i poszedł. Patrzyłem za nim. To już nie ten sam Zbyszek co dotychczas. To był już inny człowiek. Szedł krokiem szybkim, jakby ścigany, zgarbiony, z głową spuszczoną. W ruchach miał coś z tropionego zwierzęcia.

„Nadeszła sobota, poszedłem do niego na rewir.

— A matka!? — zapytała dziewczyna.

— Matka nadal wadziła się z Bogiem!...

— Lecz czy wiedziała o wszystkim?

— Nie!... A gdyby nawet wiedziała, toby nie uwierzyła. Pomyślałaby, że to źli ludzie oczernili jej syna, żeć przecież to jej syn, jej dziecko...

— Lecz gdyby wreszcie uwierzyła... — nalegała dziewczyna. — Jak pan sądzi, co by wtedy uczyniła?

— Co by uczyniła? Czy przypomina sobie pani ową balladę francuską o matce? Nie znam autora, nie znam tytułu. Treść jest taka. Matka ma syna jedynaka. Syn jest złym człowiekiem. Poniewiera matkę, bije ją, w końcu wypędza matkę w noc na ulicę. Kiedy ludzie oburzają się na jej syna, matka broni go. W końcu syn staje się zbrodniarzem i zostaje skazany na szubienicę. Wtedy matka udaje się do sędziów i prosi o łaskę dla jej syna. „Ależ on ciebie bił, wypędził na głód i poniewierkę, on jest zbrodniarzem!“ — tłumaczy jej sędziowie. — „Tak, — mówi matka, — lecz to *moje* dziecko“... Gdyby więc matka Zbyszka wiedziała o jego zbrodniach, gdyby cały świat rzucił na niego potępienie i gdyby go na śmierć skazano, matka broniłaby go, twierdząc, że to przecież *jej* dziecko.

Dziewczyna poszukała znowu pereł na piersiach, a nie znalazłszy

ich, opuściła dłonie i złożyła jej na kolanach. Znowu jak do pacierza. W tej chwili myślała o matce Zbyszka. Widziała ją, jak modli się żarliwie i modli, nie mogąc doczekać się powrotu dziecka. Jak wygląda oknem i wygląda wypatrując na drodze listonosza. A gdy w końcu listonosz przyjdzie i wręczy jej list, serce matki wzbiera tak ogromną radością, jak to tylko serce matki jest zdolne. Rozdziera kopertę i czyta tamte proste słowa: „Kochana Mamo!“... I płacze ze wzruszenia. Te dwa słowa wystarczą jej, one jej wszystko powiedzą. Że syn żyje, że o niej myśli, że ją kocha, że doczeka się jego powrotu... Lecz co by pomyślała, gdyby zamiast słów: „Kochana Mamo“, wyczytała, że jej syn jest zbrodniarzem?... Nie, oczy może by uwierzyły literkom w liście, lecz serce jej nie uwierzyłoby!...

— I pan poszedł do niego? — przerwała milczenie.

— Tak! I w jego pokoju nastąpiło to czego się spodziewałem. W pokoju u niego odbyła się spowiedź. Bolesna, rozpaczliwa ekspiacja!...



Kajał się przede mną, ścisnął skronie dłońmi, dławił w sobie szloch i krztusił się strasznym wyznaniem... „Tak, mordowałem swoich kolegów! — skamlał. — Ilu ich było nie wiem. Może stu, może tysiąc, może dziesięć tysięcy!.. Widział pan codziennie te zwłoki wywożone z rewiru, wrzucane na wóz, odwożone do krematorium?... Widział pan? Większość ich to były moje ofiary!.. Mordowałem swoich kolegów, bo tak chciał kapo Heidrich, bo za to miałem wygodę, ciepło, bezpieczeństwo, miałem co żreć do syta!.. Mordowałem, żeby sam nie być mordowanym!.. Kapo Heidrich zmuszał mnie do tej pracy!.. Broniłem się, nie chciałem! Groził mi, że mnie wyrzuci z rewiru!.. Że zginę, że zdechnę pod barakiem, jak ginęli i giną moi koledzy!.. Uległem mu... Ach, te jego oczy!.. Uległem mu i zacząłem mordować. To takie proste!.. Jeden zastrzyk i po wszystkim. Z początku wzdrzygałem się, potem się przyzwyczailem, potem nawet sprawiało mi to dziwne zadowolenie. Czułem się panem życia i śmierci tamtych biedaków. Świadomość mej władzy upajała mnie, czyniła mnie ślepy m na wszystko. Czułem się

opętany czymś strasznym, a co równocześnie było dla mnie zadowoleniem, radością i pychą!... Trwało to długo!... Dwa lata bez mała!... Chryste Boże, ilu ich zamordowałem, dzisiaj już nie wiem!... Wiedziałem, że wszyscy gardzicie mną, że patrzycie na mnie jak na zbrodniarza, a równocześnie widziałem w waszych oczach strach przede mną. I ten strach w waszych oczach upajał mnie, tak ogromnie upajał... Byłem jak człowiek opętany... O matce nie myślałem. Pisałem do niej listy, lecz takie sobie. Nie wspominałem o niczym. Aż oto otrzymałem od niej list. Pisze mi, że się modli za mnie, że się codziennie modli i że wierzy, iż Bóg jest litościwy, iż ją wysłucha, iż wrócę do niej tym samym Zbyszkciem... Chryste Boże, tym samym Zbyszkciem!... Moja matka modli się za mnie, za swego Zbyszka, za zbrodniarza!... Jezus Maria!"... — I tu rzucił się na łóżko, jął rwać włosy w ogromnej rozpacz, tarzać się po pościeli i płakać... To nie był płacz, to było jakieś zduszone skomlenie... Potem zerwał się z nienacka, ujął mnie za ramiona i zaczął mnie szarpać. W oczach szeroko rozwartych było obłąkanie i straszna rozpacz. „Panie Kazimierzu! — krzyczał — co mam teraz zrobić, powiedz, co mam teraz robić“... A potem opadł przede mną na podłogę, wtulił głowę na moje kolana, objął mnie ramionami i powtarzał z łkaniem: „Moja matka!... Chryste Boże, moja matka!“... „Cicho, cicho!... — uciszałem go i głaskałem go po głowie. Pozwoliłem mu się wyspowiadać i wypłakać. Gdy się tulił do mnie, przypominał coś tak bezbronno, że zacząłem z nim współczuć. Już go bowiem zdołałem zrozumieć, a tym samym przebaczyć. Głaskałem go po głowie długo, aż w końcu uciszył się. Podniosłem go z kłęczek, przysparłem ramionami do ściany, kazałem mu patrzeć w moje oczy. Nie mógł, odwracał głowę. Wtedy ująłem jego twarz, podniosłem i zacząłem mówić. Że go rozumiem, że wszystko rozumiem. I że teraz *musi* tamto potworne zło naprawiać. Jak dotychczas mordował swoich chorych, cierpiących kolegów, tak od tej chwili, od dziś począwszy, od tej godziny, musi ich ratować. Musi ratować i tych chorych i tych na śmierć skazanych. Chociażby z narażeniem własnego życia. Lecz *musi* to czynić. Niech przynajmniej połowę uratuje, połowę z tej liczby, których dotychczas zamordował. Niech przynajmniej dzieśnięciu uratuje od śmierci, niech przynajmniej jednego! ... Lecz *musi* to czynić!... Jemu to łatwiej przyjdzie wykonać, aniżeli komukolwiek innemu, boć przecież jest zastępcą kapa, ma dostępstw do wszystkich lekarstw, ma wszystkie sposoby, którymi może podejść i kapa Heidricha i lekarzy „esmanów“, wykonywających doświadczenia na kolegach. A więc musi ratować tych wszystkich z zaszczepioną malarią i flegmoną, skazanych na doświadczenia t.zw. „lotnicze“ w zimnej wodzie, skazanych na zastrzyk śmiertelny! Musi ich leczyć, musi ich życie po prostu wykładać tamtym potworom!... Ma przecież dostęp do apteki „esmańskiej“, niech więc z niej korzysta i niech ratuje kogo tylko może. Każdego, bez względu na narodowość. Podobnie jak i on bez względu na narodowość mordował każdego. A więc czy to Polak, Francuz, Niemiec czy Żyd... Każdego!...

„Zgodził się. Uspokojony już, patrzył mi z dziwną uległością w oczy, przytakiwał mi, zgadzał się na wszystko. Był naprawdę podobny do skruszonego grzesznika, który wraca uspokoiony do konfesjonału. Usiedliśmy na łóżku, przygarnąłem go do siebie. Jemu brakowało tego przygarnięcia. Wyczułem, jak mu bije serce i jak gasnące łkanie wstrząsa nim od czasu do czasu. Nie mogłem się powstrzymać od zadania mi ostatniego pytania. Podobnie jakby to uczynił ksiądz w konfesjonale.

„Powiedz mi, Zbyszku, — powiedziałem, — co spowodowało to twoje nawrócenie?“. „Matka!“... — odpowiedział cicho. „Opowiedz szerzej!“ — nalegałem. Zbyszek przez chwilę mocował się jeszcze ze wzruszeniem czy też z jakimś wewnętrznym oporem, potem jął opowiadać. Oto, kiedy przed dwoma tygodniami prosił mnie o rozmowę, zabił znowu kolegę. Był to młody Włoch. Heidrich kazał mu go otruć zastrzykiem. Jak zwykle. Powiedział: „Ten przekłety Włoch za długo kona!... Idź, daj mu zastrzyk!“... Zbyszek nie chciał. Wtedy Heidrich odwrócił się ponury, zły, w zakrwawionym fartuchu ceratowym, bo właśnie powrócił od stołu operacyjnego, i popatrzył mu w oczy. Te oczy Heidricha poraziły jego wolę. Poszedł. Włoch myślał, że Zbyszek niesie mu pomoc, że wyzdrowieje. Miał gruźlicę kości. Sam odwinął rękaw koszuli i podał mu ramię. Zbyszek wbił igłę strzykawki, nacisnął tłok. Żyła na ramieniu Włocha nabrzmiała, szczeniała!... Chłopiec popatrzył na niego zdumiony. Może wyczytał w jego oczach, że go morduje. Popatrzył na niego, i teraz wciąż widzi te duże, czarne, zdziwione oczy!... Chłopiec patrzył na niego, bo zrozumiał, że go oszukuje. Że mu zabiera życie. Zakwilił jak dziecko skrzywdzone: „O mia madre!... O mia mamma!“... —



Skonał, wciąż patrząc na Zbyszka. I tamto: „O mia mamma!“ prześladowało go od tej chwili. I te jego szklane, rozwarłe szeroko oczy, patrzące z wyrzutem i z żalem w oczy Zbyszka!... „Chryste Boże, nie mogę, nie mogę!... — krzyknął znowu i przytulił się do mnie. — Panie Kazimierzu, nie mogę! — Co robić? Wciąż mnie tamto „O mia madre! o mia mamma!“ prześladowuje“.

„I znowu musiałem go uciszać i tłumaczyć mu, że przecież już postanowił wszystko zło naprawić. A matka? Nie, matka nie dowie się niczego!... Matka wadzi się wciąż z Bogiem o swego synka, Zbyszka, i widać dokołatała się Jego miłosierdzia!...“

„Nie chciałem już przeciągać tej chwili. Wstałem i podałem mu rękę. Pożegnanie nasze było już twarde, męskie, bez cienia tklivości z mej

strony. A przynajmniej tklivości tej nie okazywałem. Stojąc jeszcze w drzwiach, rzekłem: „Więc pamiętaj Zbyszku! Życie za śmierć!“... Skinął głową na znak, że rozumie. I poszedłem.

Orkiestra już dawno skończyła swoją „Rapsodię“ Liszta. Przypadek chciał, że właśnie wtedy ją grano, gdy Kazimierz snuł opowiadanie o ekspiacji Zbyszka. I znowu stała się jakoby podkładem muzycznym do jego słów. Dziewczyna była opanowana, słuchała z widocznym przerażeniem w oczach, lecz dłonie jej, te niespokojne i jakby nierealne dłonie, spoczywały bez ruchu na oparciach fotela. Powiał nad nią ciężki, czarny dech odetętej bestii ludzkiej i przez chwilę widziała się na dnie piekła. Teraz odetchnęła głęboko, podniosła oczy, spojrzała na Kazimierza jak człowiek budzący się ze snu, pełnego koszmarnych przywidzeń. Jej poszarzałe oczy stały się błękitne i czyste.

Orkiestra znowu zaczęła grać. Teraz była to „Śmierć Azy“ Griega. Zasłuchaliśmy się w muzykę. Mieliśmy w oczach i w sercu śmierć tamtego młodego chłopca włoskiego, którego Zbyszek oszukał o życie. Te jego oczy mieliśmy w swoich oczach, oczy pełne zdumienia, żalu i wyrzutu, i tamte jego słowa: „O mia matre!... O, mia mamma!“ błękały się w „Śmierci Azy“.

W pewnej chwili Kazimierz przesunął dłonią po czole, po oczach, jakby chciał spłoszyć uprzykrzone obrazy czy myśli. I znowu zaczął opowiadać głosem już cichym i równym.

— I odtąd Zbyszek ratował ludzi na rewirze, ludzi skazanych na śmierć. Przez całe dwa lata, aż do chwili, kiedy nas wyzwoliły wojska amerykańskie. Narażał się na śmierć, na karę śmierci, lecz swoje robił. Czynił to w sposób desperacki, uparty, zawzięty. Ilu ich uratował — nie wiem. On też nie wiedział. Podobnie jak nie wiedział, ilu ich był zamordował. Na doświadczalnych oddziałach flegmony i malarii, i na doświadczalnym oddziale „lotniczym“, gdzie więzień przedstawiał dla „esmańskich“ lekarzy wartość jedynie królika lub zgoła wartość tej małej myszki białej, na owych doświadczalnych oddziałach Zbyszek czynił swoje. Jego zastrzyki, dawki przeróżnego rodzaju, pigułki krzyżowały plany lekarzy. Ludzie przychodzili do zdrowia, lekarze zaś stawali przed zagadkami, nie rozumieli ich, uważali to za sukces swoich doświadczeń, wypisywali olbrzymie kolumny cyfr i wykresów, czasami kiwali głowami, czasami patrzyli badawczo na chorego, jakby przeczuwali, że tu dzieje się jakiś podstęp, jakiś po prostu sabotaż. Zaczęli nawet śledzić, wydawali ostre zarządzenia, lecz Zbyszek umiał wszystko tak urządzać, że nikt nie zdradził i nic się nie ujawniło. Ratował ludzi skazanych na rozstrzelanie w ten sposób, że im dawał specjalne zastrzyki, podtrzymujące gorączkę i majaczenia. Kilku uratował, wielu nie zdołał uratować. Wywleczono ich z gorączką z łożka i zastrzelono lub powieszono. Pod koniec wybuchł u nas po raz trzeci tyfus brzuszny i po raz pierwszy tyfus płamisty. Ludzie marli i marli. W aptece rewiruwej nie było dla nas lekarstw. Zbyszek posiadał lekarstwa „organizowane“ z apteki „esmańskiej“. Rozdzielał zastrzyki przeciwtyfusowe, narażał się sam na zarażenie tyfusem, narażał się na powieszenie, gdyby wyszło na jaw, iż zabiera lekarstwa z apteki „esmańskiej“. Przecież lekarstwa wtedy już szły na wagę złota. Ratował w ten sposób kolegów aż do nadejścia Amerykanów. Lecz cóż? Nic już nie potrafiło zmienić opinii o nim w obozie. Tamto zamię zbrodni sprzed dwóch lat zostało już na nim. Wszyscy pamiętali dobrze, że kiedyś ludzi mordował, i nie mogli mu tego przebaczyć. Że teraz ludzi ratuje przed śmiercią — nie wchodziło w

rachubę. To przeoczano. Chodził więc nadal między nami jak zbrodniarz, bojkotowany przez wszystkich, unikany przez wszystkich. Lecz on się nie zrażał. Czynił wciąż swoje. Ze mną prawie się nie stykał. Mogłem tylko jakby z boku patrzeć na niego i jego pracę.

„Aż w końcu przyszli Amerykanie! Był to najpiękniejszy dzień w naszym życiu. Amerykanie przynieśli nam uratowane życie i wolność. Miano nas bowiem wszystkich zlikwidować, krwawo zlikwidować, lecz przybyli na trzy godziny wcześniej. Może to był cud boski!... Czy ja wiem? ... Myśmy w ogóle stawali przed takimi zdarzeniami, które trudno byłoby podciągnąć pod pojęcie zbiegu okoliczności, przypadku, szczęścia czy losu. Chcąc nie chcąc muszę je nazwać cudem boskim. Takim cudem było przybycie Amerykanów na trzy godziny przed zamierzonym krwawym zlikwidowaniem nas przez „S.S. Wikingdivision“. Wtedy obóz oszalał. Dosłownie oszalał. Nazajutrz Amerykanie zastrzelili byłego szefa obozowego i szpicla „Czarnego“. Za to, że oni byli powodem, iż wielu naszych kolegów zawisło na szubienicy lub po prostu skończyło z bicia pod ścianą baraków. To byli także więźniowie, lecz pracujący na rzecz naszych „esmańskich“ władz obozowych. Ich skrwawione zwłoki leżały przez trzy dni na drodze pod obozem. I w ten sam wieczór, kiedy Amerykanie tamtych sprzątnęli, przybiega do mnie znajomy chłopiec-pielegniarz z rewiru i prosi żebym poszedł do Zbyszka. Powiadam, że teraz nie mam czasu, że jestem zajęty. Chłopiec nalega. Poszedłem więc do Zbyszka. I co zastałem?... Zbyszek leży ubrany na łóżku, trzymając skronie w dłoniach i rozpacza. Nerwy jego były już zupełnie zszarpane. Pytam go, co się stało. A on z przerażeniem w głosie odpowiada, że Amerykanie już wiedzą o nim, że już go podano, że go oskarżono o mordowanie kolegów przed dwoma laty i że jutro stanie przed sądem polowym. Że czeka go śmierć. Taka sama jak szpicla „Czarnego“ i szefa obozowego. Strzał w potylicę, a potem zwłoki jego przez trzy dni leżące na drodze przed obozem. I znowu ujmuje się za skronie, chodzi jak błędny po pokoju i powtarza bez przerwy: „Jezus, Maria!... Jezus, Maria!“...

„Powiedziałem mu krótko: „Trudno, Zbyszku, pójdziesz przed sąd. Nie ma innego wyjścia. Lecz zanim zacznę cię sądzić, prosz o obronę. Podaj mi i mego przyjaciela Ludwika. Zaświadczymy, że ludzi ratowałeś. Jaki będzie wyrok, trudno przewidzieć, nie wiadomo bowiem ilu wykończyłeś, a ilu wyratowałeś... W każdym razie ratowałeś ich przez drugie dwa lata. I to będzie okolicznością łagodzącą. Na śmierć cię nie skarżą, bądź pewny!... No, do jutra, Zbychu!“ „Ale moja matka, Jezus Maria, moja matka!“... — zaczął znów rozpaczać. Robił już teraz wrażenie człowieka dotkniętego obłędem. Ująłem go więc twardo za ramiona, potrząsnąłem mocno i rzuciłem: „Psiakrew Zbych, nie bądź rozhisteryzowaną babą!... Trzymaj się do jasnej cholery! Do jutra!... Jutro rano przychodzę do ciebie, a gdy cię zaaresztują, pójde cię bronić. Ludwik także tu będzie!... No, już przestań!... Do jutra!“... I poszedłem.

„Wiedziałem, że nie ma dla niego wyjścia. Kapo Heidrich już nie był w obozie. Zwolniono go na rok przed naszym uwolnieniem. Kapo Heidrich mógłby bowiem wytłumaczyć sędziom-Amerykanom, że on go zmuszał do wykonywania śmiertelnych zastrzyków. Przecież i tak nic by go już nie było uratowało. A zresztą kto wie? Wszak szpicel „Czarny“ przed swoją śmiercią celowo obciążył przyjaciela Gustka, Waltera Hnaupka, że Walter z nim współpracował. Było to złośliwe łgarstwo, po to tylko, by przed śmiercią mieć to zadowolenie, iż nie on

sam ginie... Niech więc i drudzy giną, winni czy nie winni!... Kapo Heidrich mógłby to samo zrobić.

„W nocy nie miałem spokoju. Biłem się z myślami, wahałem, zastanawiałem. W końcu postanowiłem. Wczesnym rankiem poszedłem na rewir do Zbyszka. Zbudzony patrzył na mnie jak nieprzytomny. „Czy już? — zapytał. Usta miał szare, oczy błędne, przerażone, trząsał się, musiałem mu pomóc się ubrać. „Czy już“ — pytał wciąż. Miałem przygotowaną sfalszowaną przepustkę. Ja miałem swoją. Pomogłem mu się ubrać, ująłem go pod ramię i wyprowadziłem przez jedną bramę i przez drugą. Posterunki amerykańskie nie spostrzegły, że przepustka Zbyszka była sfalszowana. Wywiódłem go, gdy obóz jeszcze spał. Pamiętam był poranek majowy. Wstające słońce, rosa, kwiatki, ptaki, wolność przed nami!... Wyprowadziłem go na drogę daleko poza obóz i powiedziałem: „Idź w świat!... Teraz już jesteś wolny!... Unikasz wymiaru sprawiedliwości, lecz do *matki* nie wolno ci wracać!... Pamiętaj, do Polski i do *matki* nie wolno ci wracać!... Idź“... — i pochnąłem go lekko.

„I poszedł. Nie pożegnaliśmy się. Szedł drogą zataczając się, samotny, skulony, jakby jakiś ogromny ciężar włókł na plecach. Wschodzące słońce oświecało mu drogę. Droga była prosta, daleka i samotna. I szedł po tej samotnej, czarnej, bezludnej drodze, sam jeden, schylony, z głową spuszczoną na piersi, i szedł, szedł na jakieś przekłete wygnanie, coraz dalej, aż w końcu rozplynął mi się w przestroncznionnej mgłę opalowej i już go więcej nie widziałem. I skończyła się historia o Zbyszku!...

Nastała cisza.

Dziewczyna zakryła oczy dłońmi i dusiła w sobie łkanie. Oddychała ciężko.

Z estrady zerwała się znowu muzyka. I znowu ta sama, co na początku opowiadania. Głupie, błazenkowate synkopy, biegnące do nas w konwulsyjnych drgawkach, w mizernej imitacji hulaszczkiej wesołości, z chichotem pijanej dziewczyny, sprzedającej swą miłość Amerykanom za papierosy, konserwy i gumę do żucia...

— Chodźmy stąd! — rzekła dziewczyna i wstała.

Wyszliśmy na Champs-Élysées. Zanurzyliśmy się w stokratny bełkot ludzi, w szum samochodów na asfalcie, w łuny dwubarwnych neonów, w olbrzymi rytm miasta. Poszliśmy nad Sekwanę i teraz wędrowaliśmy już cichymi bulwarami wzdłuż rzeki. Rzeka spała, jedynie światła miasta rozplywały się w niej długimi, migotliwymi bryzgami, a szerokie liście klonów spływały i spływały rudym szeptem pod nasze stopy i na wodę. Z mroków wynurzył się przed nami gotycki masyw Notre Dame.

— Tam pójdziemy! — rzekła dziewczyna.

To były jej pierwsze słowa po wyjściu z kawiarni.

Przed Notre Dame była ogromna cisza. Po drugiej stronie Sekwany, gdzieś na bulwarze St. Michel pełgały światła w oknach wysokich, wąskich kamienic, a z ciasnych ulic leciał do nas niefrasobliwy śpiew dziewczyn i chłopców:

*Parles-moi d'amour,
Redites-moi des choses tendres!...
Votre beau discours,
Mon coeur n'est pas las de l'entendre!...*

Dziewczyna stanęła na stopniach katedry. Odwróciła się do nas i przez chwilę słuchała tamtej pieśni. Potem dotknęła dłonią ramienia Kazimierza.

— Panie Kazimierzu! — zaczęła dziwnie miękkim, matowym głosem.
— Więc pan powiedział Zbyszskowi, że mu nie wolno wracać do matki.

Pan mu powiedział z jakimś teatralnym patosem, że unika wymiaru sprawiedliwości. Zgoda na to. Lecz czy pan był wobec niego sprawiedliwy?

— Czy ja byłem wobec niego sprawiedliwy? — powtórzył Kazimierz zdumiony. — A tak! Jestem zupełnie w porządku!...

— Nie! Pan mu zakazał wracać do matki. A przecież pan poprzednio sam mówił, że matka wszystko zdolna przebaczyć, pan sam przytaczał mi treść ballady francuskiej o tamtej matce, skrzywdzonej a jednak miłującej swego syna-zbrodniarza. Pan sam mówił o tym, jak jego matka wadziła się z Bogiem o swego synka, Zbyszka!... A teraz, gdy go pan wyprowadził ukradkiem z obozu i uchronił przed owym wymiarem sprawiedliwości, jak to pan określił, zakazał mu pan wracać do matki!... To było niesprawiedliwe, panie Kazimierzu!... To było okrutne!...

Dziewczyna uniosła się i stojąca teraz na stopniach, na tle gotyckich oddrzwii kościelnych, w mroku cichej, jesiennej nocy, zdawała się być podobna do jednej z tych postaci uskrzydłych, która spłynęła ze strzelistej wnęki wieży i teraz wadzi się o Zbyszka. Już nie z Bogiem, lecz z nami, z ludźmi z obozu.

— Panno Marysko! — rzekł spokojnie Kazimierz. — Pani jest z innego świata. Pani jest z tak bardzo innego świata, że nam brak słów i brak zdolności, by go określić. My jesteśmy z obozu. A nasze życie w obozie było kierowane innym prawem. To prawo dla pani jest tak samo obce, jak obcy był dla pani nasz świat przeżyć w ciągu tamtych pięciu lat. Nasze prawo mówi, że jemu nie wolno wracać do Polski i nie wolno spojrzeć w oczy swojej matki!... Ja wiem, to jest okrutne prawo, lecz życie w obozie samo je stworzyło!... Nie wolno mu więc wracać do matki!...

Dziewczyna milczała. Mocowała się z myślami, usiłowała zrozumieć Kazimierza. Spozna Sekwany leciał do nas w ciszy łagodny śpiew:

*... du coeur on guérit la blessure
Par un serment qui le rassure!*

— Nie! — zaprotestowała twardo. — Nie zgadzam się z panem! Matka wadziła się z Bogiem o swego Zbyszka, Matka wyprosiła mu życie u Boga, matka... Nie, nie! Pan nie miał prawa!...

Słuchałem w milczeniu. I kiedy przy ostatnich słowach dziewczyny z Champs-Elysées podniosłem głowę i wzrok mój leciał po strzelistych łukach i kolumniach katedry pod niebo, ujrzałem odpowiedź dla Kazimierza i dla Maryski, wadzących się o Zbyszka. Oto na tle granatowego nieba wynurzała się z gzymsu wieży wychylona głowa kamiennego szatana, od wieków patrzącego na miasto z szyderym uśmiechem.

Zniszczyć państwo dla kartografa jest tak łatwo jak wywabić tłustą plamę benzyną. W tym miejscu istniało coś, co miało imię, co miało pewną swoją treść i pewne własne formy bytowania, co osiemset lat w zmiennych losach trwało, żyło, działało, wpływało rozstrzygając na losy istnień — i tego nie ma śladu. Cała długowieczna robota setek pokoleń zniszczona i zatarła, zjawisko znikło bez następstw, wszystko zostało cofnięte do tych czasów kiedy na wschodnim krańcu państwa Karola Wielkiego wiała się mgła małych ludków słowiańskich... Tak się zdawało tym, którzy rysowali ostatnie karty atlasu historii Polski. Ale tak nie jest w i-tocie.

STANISŁAW WITKIEWICZ.

(Tadeusz Kornilowicz. O Stanisławie Witkiewiczu. Kraków 1916; str. 37-38)

NIKOŁAJ BERDIAJEW — KRYTYK KULTURY*)

I

Przekonanie o wielkim kryzysie, który ogarnia naszą kulturę, nie jest zjawiskiem nowym. Na rozmaite tony było ono wypowiedane czy sugerowane już na schyłku ub.w. Jest rzeczą znamienną, że pierwsza podjęła ten temat poezja. W strofach Baudelaire'a czy potem jeszcze dosadniej w spazmatycznych krzykach Rimbauda, w wierszach Verlaine'a można było wyczytać pierwsze wskazówki tego niepokoju. W pismach filizoficznych Nietzschego ten rozstrój naszej kultury znalazł dramatyczny wyraz. W naszym wieku obawy schyłkowe wypowiada Max Nordau. W dziedzinie sztuki mnożą się objawy ucieczki w prymityw, szukanie natchnienia poza obszarem Europy. Takim wielkim dezerterskim jest Gauguin. W sztuce europejskiej zjawia się fala prymitywizmu, silenia się na pierwotność. Wzory murzyńskie zaczynają przemawiać do zmęczonej wyobraźni. Po pierwszej wojnie światowej można śledzić najlepiej na terenie pobitych Niemiec te kliniczne objawy rozpadania się kultury, która zwątpiła o własnych źródłach natchnienia i o własnych siłach. Rzesza po r. 1918 jest jakby kliniką kultury europejskiej: można tam znaleźć wszelkie jej schorzenia i wypaczenia. I tam właśnie powstało jeszcze w czasie wojny ubiegłej jasnowidzące dzieło Spenglera: „Untergang des Abendlandes“.

2

Czy te lęki schyłkowe, czy to przekonanie o zmierzchu naszej kultury są oparte na logicznych przesłankach, czy też tylko na nieuświadomionym odruchu? Czy jest to wniosek logiczny, w pełni umotywowany, czy tylko obawa człowieka przed każdym nowym rozdziałem historii, przed przejściem do nowej, nieznannej ery? Czy jest to może, jak chcą niektórzy, t.zw. trwoga millenarna, która trapiła pono ludzkość przed r. 1000 po Chrystusie, kiedy oczekiwano „końca świata“ i kiedy panika ogarniała umysły ludzkie?

Wydaje się, że obawy, jakie coraz mocniej ugruntowują się w najlepszych mózgach Europy, nie są wynikiem podświadomego lęku. Analogie między schyłkiem Imperium Rzymskiego a schyłkiem Europy niewątpliwie istnieją: powtarza się zarówno zjawisko wędrówek ludów jak pęknięcia pewnych moralnych więzi i umów tradycji. Pierwsza wojna światowa zadała cios wielkiej kulturze Europy. Świat, który wyłonił się po pierwszej wojnie, nie był już wolny. Nie był także już tym „jednym światem“, znanym drugiej połowie XIX i pierwszemu dziesiętłowi XX w. Nie był to już świat, gdzie stały otwarte na oścież wrota emigracji do Ameryki, gdzie istniała swoboda poruszania się i osiedlania na całym globie, gdzie nie obowiązywało posiadanie paszportu (poza Rosją, uważaną za rezerwat tyranii), gdzie panował prymat języka francuskiego i obowiązywał obyczaj europejski. Była to Europa żyjąca tradycjami rycerskości i dobrych manier; była to Europa szacunku dla jednostki i dla człowieka. Pokost kultury europejskiej był wcale silny w Rosji, i Rosja należała wówczas częściowo do Europy.

*) Szkic ten stanowi skrót większej całości, która wchodzi w skład przygotowywanej książki p.t. „Pisarze i myśliciele (Writers and Thinkers)“. Książka ta pojawi się w języku angielskim latem b.r. Jeden ze szkiców tej książki — o Arthurze Koestlerze — ukazał się w wydanej niedawno „Jednodniowce Pisarzy Polskich“.

Wszystko to zapadło się w otchłań po pierwszej wojnie światowej. Wielkie ruchy totalne stanęły pod znakiem uwielbienia masy — aby tę masę szybko okiełznać i zapędzić w jarzmo biurokracji i oligarchii partyjnej, politycznej sprawiedliwości, wiary w przemoc. Liberalizm europejski załamał się, zamknęły się granice państw, ograniczenia dewizowe, walutowe i gospodarcze poczęły się mnożyć. Państwo zaczęło poddawać sobie coraz rozleglejsze obszary ludzkiej swobody i inicjatywy. Na miejsce indywidualizmu przyszedł bizantyzm. Urzędnik stał się symbolem nowego świata. Europa przestała być wolna. Przestała być jednolita. Rozpadła się na dwa światy: totalny i liberalny. Świat liberalny nie wierzył już na tyle w swoje siły, ażeby wykrystalizować nową ideologię. Bronił dawnych wartości, ale nie dawał nowych. Pustka, wytworzona przez upadek religii objawionych, musiała być zapelniona: ludzkość nie potrafi żyć samym chlebem i nadzieją lepszej przeszłości. Sam socjalizm, który twierdzi, że motywy gospodarcze są rozstrzygającymi motorami dziejów, poszedł inną drogą. Socjalizm stał się bowiem nową religią. W formie religii zwyciężył w Rosji. Tam wszędzie, gdzie unikał tak drastycznego rozwiązania, został zdystansowany przez ruchy, które biorąc od socjalizmu cały niejako tabor myślowy, dopowiedziały do końca wyznanie socjalistyczne: Hitler i jego państwo było w znacznie większej mierze tworem socjalistycznym aniżeli sami socjaliści chcieliby przyznać. Hitler atakuje marksizm ze względów rasowych, ale sam tkwi w myśli socjalistycznej. Jest to niemiła prawda, podobnie jak fakt, że dawny socjalista Mussolini, redaktor „Avanti“, staje się wodzem faszyzmu. Faszyzm byłby nie do pomyślenia bez socjalizmu.

Z Rzeszy Hitlera przyszedł największy zamach na kulturę Europy: Hitler jest zjawiskiem skrajnie antykulturalnym, wyrasta z przekonania, że Europa zbutwiała i że nowy świat da się stworzyć tylko przez zbarbaryzowanie człowieka, przy czym Niemcy pierwsi mają pochwyć sekret istnienia tego nowego świata. Wychowanie hitlerowskie z obozami koncentracyjnymi i „klasztorami partyjnymi“, w których tresowano młode zwierzęta w zasadach okrucieństwa i pogardy dla człowieka, było celowe i planowe. Dało ono niezwykle wyniki. Wykazało, że człowiek barbaryzuje się w tempie niebywale szybkim i że zwierzę ludzkie jest jeszcze dalej niepokromione. Dowiodło, że postęp jest złudą. Ideologia, oparta na optymistycznej wierze w człowieka, runęła w Belsen, Dachau, Oświęcimiu, Ravensbrück, Sachsenhausen.

Z drugiej strony ideologia komunizmu sowieckiego wystąpiła przeciw zasadom kultury europejskiej. Uznała ona w całej rozciągłości wniosek o „zgnitym Zachodzie“. Zaczęła budować nową cywilizację poza religią objawioną i poza szacunkiem dla człowieka. Bizantyzm nowej biurokracji trafił na podatny grunt: Rosja carów podała rękę Rosji socjalistycznych urzędników. Rosja dokonała oddzielenia się od świata; Niemcy poszły na jeszcze większe „tour de force“, albowiem były one postawione przez los w centrum Europy i przez wieki stanowiły giełdę i „clearing house“ wartości i myśli europejskiej.

W naporze tych dwóch sił zasadniczo przeciwnych Europie — Rosja sowiecka przechodziła coraz wyraźniej na wyznanie azjatyzmu, a elementy europejskie, istniejące jeszcze w rewolucyjnej Rosji, były stale likwidowane na rzecz rdzennych elementów sowieckich — musiała się zawalić do

reszty kultura naszego kontynentu. Jest rzeczą ciekawą, że w myśleniu hitleryzmu — o ile tak można nazwać marzenia ideologów narodowego socjalizmu — pojawiają się tęsknoty eurazjatyckie. Zarówno w mętnej popłóczyźnie myślowej pseudofilozoficznych traktatów Rosenberga jak i w planach Haushofera i całej szkoły „geopolitycznej“ termin Eurazji zjawia się coraz częściej. Rzesza Hitlera tęskni za Azją. Metody jej i sposoby są pod wieloma względami „azjatyckie“ — przy czym przez słowo to chcemy zasugerować, że po prostu nie należą one do zespołu „europejskiego“.

5

W samej kulturze europejskiej zaszły zmiany wysoce niepokojące. Przeszła ona — jak już zaznaczyliśmy — wierzyć w swoją misję. Jedną z najbardziej znamienitych cech jest krytyka całego, by tak rzec, eksportu myśli i kultury europejskiej na szeroki świat. Krytyka samej idei kolonizacji jest wielce ciekawym przyczynkiem do tego zjawiska schyłku. Coraz więcej pisarzy w Europie występuje przeciwko ekspansji kolonialnej. Dowodzi to, że fenomenalne zjawisko rozrostu rasy białej, która szła na cały świat, wierząc w swoją misję, — i ubierając tę swoją misję w szaty zarówno wypraw religijnych jak handlowych, — poczyna się kończyć. Początkiem schyłku zarówno człowieka jak i zespołów jest utrata wiary w siebie.

Kultura europejska poczyna się cofać : z Rosji pod naciskiem rewolucji, z Azji (Chiny) pod naciskiem ruchów wolnościowych. Ucieka z brzegów Europy do Stanów Zjednoczonych. Ta ucieczka najlepszych mózgów i sił twórczych z Europy na drugą półkulę, która zaczęła się jeszcze w latach 1910—1920, stanowi dowód, że Europa nie tylko nie wierzy już w swoje siły i misję, ale że ma wielkie wątpliwości co do swojej trwałości i co do szans przetrwania swego świata.

6

Druga wojna światowa zmiażdżyła bombami kontynent Europy. Wytrąciła Europie z ręki już nie tylko prymat w świecie, ale w ogóle usunęła ją w cień. Polityczne wyniki tej wojny podkreślają jeszcze jaskrawiej wnioski myślowe i filozoficzne o schyłku Europy. Polityka dodała swoje wyznanie do badań historii i historiozofii. Wyrok na Europę zapadł.

Jesteśmy w środku wielkich zmian, przy czym granice tego nieznanego nie są określone ani politycznie, ani gospodarczo, ani ideologicznie. Zawaliły się wiary i mity polityczne. Potężny magnes komunizmu sowieckiego przestał działać z dawną siłą. Rosja sowiecka przechodzi wyraźnie na nowy nacjonalizm : można powiedzieć, że nacjonalizm sowiecki jest ostatnim nacjonalizmem w naszej części świata, albowiem niemiecki został już rozbity. Nacjonalizm niemiecki doprowadził cykl do pełnego obrotu : nacjonalizm wrócił do murzyńskiego tam-tamu, do misteriów krwi i rasy, do zjadania przeciwników i do mordowania wrogich szczepów. Nacjonalizm doprowadził sam siebie do absurdu. Wyczerpał się w rzezi tej wojny. Wszystko wskazuje na to, że będzie on wkraczał coraz wyraźniej w fazę zmierzchu. Jego zgon może być powolny, albowiem wszelkie przesady umierają ciężko. Nacjonalizm, wielka siła twórcza połowy XIX w., przestał być tą siłą w czwartym dziesiątku lat XX w. — albowiem oderwał się od podłoża kultury.

Rządy totalne zniszczyły zdolności myślenia Europy; wolny człowiek jest dzisiaj mitem, albowiem przemoc państwa nie zelżała. Przeciwnie, przemoc ta zaczyna zaznaczać się w krajach dotychczas wolnych, jak w Wielkiej Brytanii. Chwilami wydaje się, że zaraza „faszyzmu“ musi przejść przez cały świat i że dopiero po przesunięciu się tej choroby powstanie szansa wykrystalizowania się nowego kształtu świata.

Myślenie swobodnego człowieka jest dzisiaj zagrożone nawet w państwach istotnie demokratycznych i swobodnych. Obawa przed myślą jest powszechna. Tania demagogia, nieczna propaganda, oglupianie mas hasłami bez żadnego znaczenia, tępota radiowa, splaszczenie wszelkiej myśli — oto wyniki tej wojny. I nic dziwnego, że najtęższe mózgi Europy, jak Albert Schweitzer czy Nikołaj Berdiajew, widzą zbawienie w powrocie do nowych klasztorów. Nawet na brzegu zmaterializowanej Ameryki pojawiają się w literaturze mistyczne tęsknoty: świadczy o tym „Most w San Louis Rey“ Wildera czy popularność książek o świętych, jak Werfla o Bernadotte czy Kossak-Szczuckiej o św. Franciszku. Nawet ze Stanów przychodzi ostrzeżenie odważnego pisarza Agara, że bożek „powodzenia“, że wyniszczająca pogoń za „success“ stanowią przekleństwo cywilizacji dzisiejszej.

8

Berdiajew jest jednym z najgłębszych krytyków naszej kultury. Nie tylko dlatego, że prace jego oparte są na obszernej wiedzy i dyscyplinie myślowej, ale że są ożywione ciepłem i zrozumieniem dla człowieka, których brak niejednokrotnie w pracach innych myślicieli. Pomimo skłonności do abstrakcji, Berdiajew nie odrywa się nigdy od podłoża ludzkiego: człowiek jest dla niego sprawdzianem i miarą, człowiek jest ostateczną instancją jego rozmyślań. W zestawieniu z kartami pism Berdiajewa książka Spenglera wydaje się niemal traktatem matematycznym. Myśliciel rosyjski ma wrażliwość artystyczną i pobudliwość swojej rasy; jego sposób pisania przypomina najbardziej może pisma Crocego, który — podobnie jak Berdiajew — zastanawiał się nad zagadnieniem wolności. Croce szukał objawów wolności w biegu dziejów; Berdiajew w książce „The Meaning of History“ sprawie wolności poświęca wiele uwag. Jego książka „Freedom and the Spirit“ całkowicie koncentruje się na tym zagadnieniu.

Berdiajew, podobnie jak Schweitzer, jest filozofem chrześcijańskim. Obaj dochodzą w swych wędrówkach filozoficznych do potwierdzenia chrześcijaństwa, obaj uważają, że chrześcijaństwo jest nie tylko najbardziej wzniosłą postawą człowieka wolnego, ale że stanowi ono największą rewolucję dziejów naszej rasy: jest bowiem rewolucją wewnętrzną człowieka. I Schweitzer i Berdiajew są chrześcijanami, by tak rzec, nieortodoksyjnymi. Obaj szukają prawdy i żywego Chrystusa niejako na przelaj kościołów i wyznań.

Schweitzer szuka tego odnowienia na skraju afrykańskiej puszczy, w szpitalu dla chorych na śpiączkę. Berdiajew — w wielkich miastach dzisiejszej Europy. Wiedza mistyczna Schweitzera ma w sobie większą siłę wrażeń, ma zniewalający autentyzm. Filozofia Berdiajewa jest bardziej ujęta w ryzy, ale nurt uczuciowy jest w niej stale obecny. Ten nurt uczuciowy stanowi o bogactwie myśli Berdiajewa. Ta troska o człowieka sprawia, że Berdiajew nie należy do kategorii proroków, którym obojętne jest, co się stanie z ludzkością po spełnieniu się ich proroctwa — Berdiajew żyje z cierpiącym człowiekiem i rozumie tragizm jego doli. Jeśli chodzi o

naturę ludzką, jest on pesymistą — a jednak filozofia jego nie jest nihilistyczną filozofią zagłady. Jest to dramatyczna wizja walki, i przez to, że Berdiajew podkreśla element walki, jego myśl jest pełna dynamiki i nadziei. Podobnie jak Schweitzer, stara się on rozwiłać antynomie wiedzy i wiary. Ale podczas gdy Schweitzer rezygnuje z pogodzenia tych przeciwieństw i przychodzi do wniosku, że u kresu każdej wiedzy jest agnostycyzm i że musimy zaczynać od innego niejako końca w akcie wiary — Berdiajew wierzy w możliwość przetrwania mostu między wiarą i wiedzą.

9

Poszukiwanie sensu historii prowadzi Berdiajewa do rozważań na temat kryzysu naszej kultury. Myśliciel rosyjski nie jest wyznawcą teorii postępu. Berdiajew sądzi, — a w tym nie jest odosobniony wśród badaczy historii, — że postęp ludzki odbywa się na całkowicie innych przesłankach aniżeli to sobie wyobraża dziecinny optymizm, uważający, że budowa autostrad czy nowego miasta-ogrodu stanowi niezbity dowód postępu ludzkości. Berdiajew skłonny jest do przyjęcia tezy Spenglera o rozkwitaniu i obumieraniu kultur. Uważa on, wzorem Edwarda Meyera, że rozwój ludzki nie jest prostą wstępującą, ale że raczej mamy do czynienia z obrazem łańcucha górskiego — góry schodzą w doliny, po okresie rozkwitu przychodzą ery upadku w obrębie danej kultury czy kultur pewnego obszaru. Berdiajew występuje stanowczo przeciwko mechanicznej idei postępu. Jest ona dla niego czcza i pusta, nie bierze bowiem pod uwagę twórczego wysiłku ludzkiego, od którego zależy przecież wartość danej epoki. Berdiajew uważa, że idea postępu jest mylna także w tym, iż operuje złudzeniem jakiegoś złotego wieku, który ma przyjść; fanatycy postępu zbyt pochopnie przekreślają przeszłość, która jest naszą krwią i rzeczywistością naszego dzisiaj. Przeszłość otacza nas, stanowi tworzywo jutra, stanowi nurt, w którym tkwimy. Fanatycy postępu nie rozumieją pochodzu czasu, nie rozumieją nurtu historii; śpieszy się im do złudnej epoki szczęśliwości, którą obiecują masom. Ale szczęście na ziemi wydaje się pewnego rodzaju sprzecznością samą w sobie. Berdiajew nie posuwa się do skrajności wiedzy Schweitzera, który za Schopenhauerem wierzy, iż „życie jest cierpieniem“. Dla Berdiajewa życie jest dramatem wewnątrz samego człowieka, który szuka powiązania czasu i wieczności, który stara się przeskoczyć strumień mijania. Ale ten dramat, to napięcie polaryczne — na jego konieczność w życiu człowieka twórczego kładzie nacisk von Keyserling — jest potrzebne, stanowi przyrodzony niejako stan duszy, która poznaje i która zdobywa wiedzę.

Berdiajew uważa, że zwolennicy mechanicznej idei postępu nie rozumieją dnia dzisiejszego. Ich doktrynerski umysł szuka rozwiązań dla jutra z pominięciem wczoraj i dzisiaj; tego rodzaju nastawienie prowadzi do okrucieństw właściwych wszelkiej doktrynie posuniętej zbyt daleko. Tylko zawieszenie wyższych praw i przeznaczeń nad życiem człowieka może uchronić nas przed świecką ideą postępu, która wiedzie do wszelkich nadużyć. Tylko ustawienie życia w perspektywie wieczności pozwala nam rozumieć dzisiaj. Jest rzeczą ciekawą, że Aldous Huxley, który dochodzi do mistyki przez przesycenie się własnym cynizmem, w pracy, ogłoszonej niedawno na łamach amerykańskiego kwartalnika „American Scholar“, stawia podobną tezę. Huxley uważa, że religie polityczne, — jak komunizm czy narodowy socjalizm, — religie świeckie, obiecujące wspaniałe jutro, cesarstwo na tysiąc lat (jak w Rzeszy) czy zbawienie dla

przyszłych pokoleń (jak w Rosji), podczas gdy obecna musi cierpieć dla przyszłości, nie rozumieją *dzisiaj*. Religie polityczne, wywodzi Huxley, które nie rozumieją *dzisiaj*, są bardziej okrutne niż systemy, które dopuszczają jakąś myśl metafizyczną. Innymi słowy : usunięcie z ludzkiego pola myślenia założeń metafizycznych, usunięcie Boga z życia zbiorowego prowadzi automatycznie do mechanicznej idei postępu, która kończy się gromadnym niewolnictwem. W ten sposób idea postępu staje się rzeczą paradoksalną, istotną przeszkodą na drodze postępu — albowiem cofa gromady ludzkie w erę niewolnictwa i barbarzyństwa.

Berdiajew, obrońca wolności człowieka, widzi podobne niebezpieczeństwa na szlaku samej idei postępu. Widzi je również na szlaku idei równości. Jak wielu tych, co głębiej wniknęli w sens idei równości, Berdiajew widzi w egalitaryzmie zagrożenie wolności człowieka. Równość, posunięta doktrynersko do ostatecznych konsekwencji, oznacza zbiorowe koszary. Takie właśnie koszary myśli stworzyły państwa totalne. Idea mechanicznej równości jest wrogiem idei wolności.

10

Pod kątem widzenia idei wolności bada Berdiajew dzieje ludzkości. Uważa on, że świat starożytny był światem ograniczonego widnokręgu, że duch prowincjonalizmu był jednak obecny w orbicie myślowej Grecji. Uniwersalizm rodzi się dopiero w dobie chrześcijaństwa. Grecja tworzy wzory nieprześcignione jeżeli chodzi o sztukę, albowiem właśnie ograniczoność świata greckiego sprzyja doskonałości sztuki. Nie ma w świecie greckim świadomości wielkości świata, nie ma tragicznego rozdźwięku między pragnieniami a rzeczywistością. Los człowieka jest z góry przypieczętowany. Człowiek ten nie jest wolny, albowiem decydują o nim fata. Wolna wola nie istnieje właściwie w Grecji, w świecie Grecji, nakrytym kopułą nieba zaludnioną przez bogów. Człowiek starożytny tkwi w przyrodzie, nie potrafi wyjść poza jej obręb.

Berdiajew widzi dwie olbrzymie zdobycze chrześcijaństwa w fakcie, że wiara ta przyniosła wolną wolę człowiekowi. Świat chrześcijański — powiada Berdiajew — jest przede wszystkim światem wolnym. A skoro tak jest, musi w nim istnieć zarówno zło jak dobro — i wybór między tymi dwoma czynnikami stanowi o swobodzie człowieka. Berdiajew ma zrozumienie dla doktryny walki Ormuzda z Arymanem. Ta walka zła i dobra stanowi istotny dramat świata, aż po kres jego dni.

Chrześcijaństwo, największy zdaniem Berdiajewa przełom dziejów ludzkich, wyzwala człowieka z nurtu przyrody. Człowiek, wyzwolony z tajemniczych sił przyrody, z biegu przyrody, staje się wolny. Może nie tylko myśleć — ale może również opanować przyrodę. Nauka zaczyna się od chrześcijaństwa, albowiem nauka, to próba opanowania przyrody. Dopiero człowiek, który przeciwstawia się przyrodzie, potrafi ją zrozumieć. Poganin potrafi tylko z przyrodą się stopić.

Berdiajew dostrzega jednak niebezpieczeństwa, od jakich nie ustrzegło się średniowiecze. Będąc wyznawcą średniowiecza i widząc w nim wielkie walory zachowawcze kultury, — jest to jedna z najbardziej interesujących tez Berdiajewa, — uważa, że epoka ta nie potrafiła pogodzić człowieka z przyrodą i że potępiała nadmiernie same źródła istnienia człowieka. Mimo to średniowiecze było epoką wspaniałą : dało ono dwa ideały — mnicha i rycerza, ideały, które przetrwały wieki. Były to ideały opanowania, ascezy : ale przez to właśnie energie twórcze naszej rasy zachowały się aż do chwili rozkwitu w odrodzeniu. Średniowiecze było

postem, ale postem koniecznym. Przechowało ono spadek Rzymu i Grecji.

Odrodzenie przynosi rozkwit aktywności ludzkiej na skalę niewidzianą. Berdiajew słusznie krytykuje stanowisko tych uczonych, — jak Burckhardt, autor słynnego tomu o odrodzeniu, — którzy widzą w tej epoce tylko nawrót pogaństwa i myśli antycznej. Uważa on odrodzenie za zjawisko o wiele bardziej złożone. Myśl chrześcijańska tkwi w odrodzeniu. Skrzyżowanie wpływów antycznych i chrześcijańskich stwarza osobliwy dramat odrodzenia. Ten dramat poczyna się już bowiem w tej epoce: niektórzy twórcy odrodzenia tworzą w radości i upojeniu, nie troszcząc się o losy swoich dzieł, o ich sens moralny. Tworzenie zaspokaja całkowicie ambicje tych twórców. Lecz są i artyści tej doby, którzy zdają sobie już sprawę z rozdzielenia między czasem a wiecznością, którzy przeżywają dramat nowoczesnego człowieka: dramat niezaspokojenia, poczucia niedostatku, zawalenia się najwyższego autorytetu.

Odrodzenie żyje dalej w naszej kulturze, — powiada Berdiajew, — aż do XIX w. jako zasada suwerennej wolności człowieka, jako wiara w jednostkę, wola autoekspresji. Objawia się ono w wieku oświecenia, jest obecne aż po wstępne lata XX w. Jest rzeczą ciekawą, że podobną myśl wypowiada Koestler w swojej powieści „Arrival and Departure“. Bohater tej powieści mówi, że „jesteśmy końcowymi twórcami renesansowego człowieka a nie synami nowej ery“.

II

„Samopotwierdzenie człowieka — powiada Berdiajew w książce „The Meaning of History“ — wiedzie do jego zguby. Wolna gra sił ludzkich, nie związana z żadnym wyższym celem, doprowadza do wyczerpania twórczych sił człowieka“.

Ten właśnie los spotyka człowieka renesansowego. Jego wspaniałe rozmach nie czerpie ze źródeł metafizycznych. Jego niebo jest puste. Jego celem i pogonią jest ekspansja za wszelką cenę, jest imperializm woli. Dzisiaj ten człowiek jest do cna wyczerpany. Tętno twórcze kultury osłabło. Renesansowy arystokratyzm przepadł na rzecz popularyzacji wiedzy i zagarnięcia szerokich mas. Te właśnie masy zostały wyniesione przez Marxa na nowy piedestał: w Marxie widzi Berdiajew objaw wspańskiego umysłu żydowskiego, przesyconego tęsknotami mesjanistycznymi. Dla Marxa tym nowym Mesjaszem jest proletariatus, formułą — materializm historyczny. Ale ta doktryna nie zaspokoi ludzkości. Socjalizm ma rację, — powiada Berdiajew, — kiedy głosi, że to kapitalizm wysuszył natchnienia rasy ludzkiej: pogoń za pieniądzem, religia powodzenia i zarobku skończyła się jałowością i pustką życia. Socjalizm przychodzi na teren wyjałowiony przez materialistyczny kapitalizm. Ale wiara, jaką ofiarowuje, jest równie materialistyczna. Nie tędy zatem wiedzie szlak odnowienia. Socjalizm może być tylko przejściową fazą rozwoju.

Keyserling wychodząc z odmiennych założeń dochodzi do podobnego wniosku. Widzi on przyszłość naszej kultury w odrodzeniu się nowej hierarchii i nowego arystokratyzmu po przejściu fali socjalizmu, który poprawiłby warunki bytu mas.

III

„Schyłek nowoczesnej epoki — mówi Berdiajew w „The Meaning of History“ — zaznacza się we wszystkich sferach i czynnościach człowieka głębokim poczuciem rozczarowania. Świadomość niepowodzenia przenika życie artystyczne, polityczne oraz gospodarcze“.

Chrześcijaństwo podziela los tych wyznań i haseł, które poniosły klęskę. Przez dwa tysiące lat nie zdołano urzeczywistnić nauki chrześcijańskiej. Czy znaczy to, że jest ona nieprawdziwa?

Nie, — odpowiada Berdiajew, — znaczy to tylko, że natura ludzka jest niedoskonała, że jesteśmy więźniami czasu i że dopóki nie przeskoczmy rzeki czasu ku wieczności, będziemy ofiarami wszelkiej niedoskonałości. Królestwo Boże nie jest z tego świata. Nie może być zatem sprowadzone na ziemię. Może być tylko przygotowywane przez niedoskonałe ręce ludzkie.

W tym właśnie dążeniu do niemożliwego widzi Berdiajew sens naszych zmagani, przywilej wolnego człowieka, tragedię jego serca i umysłu. Człowiek nie może osiągnąć swoich celów na ziemi, — a dążenie do doskonałości za wszelką cenę daje wyniki żałosne, — okrucieństwo doktryny mści się szybko na masach, rewolucja wykazuje, jak łatwo wypacza się ona w przeciwieństwie tego, do czego dążyła. Rewolucja jest bowiem wolą zmiany od zewnątrz — podczas gdy tylko przeobrażenie wewnętrzne może wyzwolić człowieka z zaczarowanego kręgu kultury, związanej z materialistycznymi celami.

13

Nowa kultura musi wyjść z nowych założeń, a raczej powinna powrócić w nurt średniowiecza: ascezy, która by oszczędzała nasze wyczerpane siły. Berdiajew skłonny jest mniemać, że wchodzimy w dobę nowego średniowiecza. Człowiek, wyczerpany działalnością zewnętrzną, ekspansją i imperializmem, musi przeczekać czas nieurodzaju aż do chwili nowego rozkwitu. Musi narzucić sobie sam nowe wędzidła i dyscyplinę. Może z czasem potrafi powołać do życia nową kulturę — a kultura jest „tworzeniem nowej wartości“. Obecna doba jest dobą cywilizacji, zatem tworzeniem dóbr materialnych a nie wartości. Znudzenie tą „tryumfującą cywilizacją“ daje się odczuwać coraz przemoźniej.

14

W przywróceniu prymatu spraw ducha nad całym blichtrzem „success“ i powodzenia, w powrocie do prostych natchnień, w ustawieniu życia w przestrzale rzeczy wielkich, w wyrzeczeniu się ambicji, kariery, błyskotek świata — widzi Berdiajew szanse odnowienia się zmęczonej kultury dnia dzisiejszego. Schodzimy w średniowiecze — ale po średniowieczu przyjdzie nowa faza rozwoju. Rozpad Imperium Rzymskiego wydawał się końcem świata — ale to tylko zmarł jeden znany świat, jedna forma życia. kultury. Z rozpadu tego świata narodziło się chrześcijaństwo, które potrafiło nadać sens uniwersalistycznej budowie Imperium Rzymskiego. Albowiem to Imperium nie miało hasła uniwersalistycznego — poza prawem rzymskim. Religia chrześcijańska była dopiero tą uniwersalistyczną treścią dla tak wielkiego obszaru jak Imperium Rzymskie.

Dlatego i katastrofa naszego Imperium Rzymskiego, naszego zachodniego świata, nie jest ostatnim słowem. Przeczekajmy cierpliwie epokę średniowiecza. Wstąpmy w siebie. Budujmy w nowych klasztorach nowe dyscypliny myśli. Wzgardźmy bożkami powodzenia. Na końcu tego szlaku pojawią się może nowe światła, nowe wartości w tej tragicznej wędrówce, jaką jest dola człowieka na tym świecie — w tym dążeniu do niemożliwego, które jest przywilejem, przeznaczeniem i klątwą naszej niedoskonałości.

FARYS Z OXFORDU

ORIENTALISTYKA I WYWIAD

Dla T. E. Lawrence'a pierwsza wojna światowa skończyła się o parę lat za wcześnie.

W pośmiertnym o nim wspomnieniu Churchill napisał, że gdyby konflikt potrwał jeszcze dwa lub trzy lata, Lawrence mógłby urzeczywistnić marzenia młodego Napoleona i tryumfalnie wkroczyć do Konstantynopola na czele zjednoczonych plemion Arabii i Lewantu. Stało się inaczej. Historycy i artyści wszystkich czasów pozbawieni zostali jedyne go w swoim rodzaju obrazu młodego archeologa z Oxfordu, pogromcy Imperium Otomańskiego, niekoronowanego króla Arabii, będącego twórcą królestw i królów, wjeżdżającego jako zwycięzcy do stolicy sułtanów i kalifów.

Tak czy inaczej, pierwsza wojna światowa dzięki Lawrence'owi uczyniła z mitu jedności arabskiej konkretny postulat polityczny, choć dopiero schyłek drugiej wojny dał częściowe urzeczywistnienie tego celu, otwierając przed światem mużułańsko-arabskim nowe perspektywy w obliczu nowych niebezpieczeństw.

Przemiany, jakie dokonywają się obecnie na Bliskim Wschodzie, nie byłyby możliwe gdyby nie „rewolucja na pustyni“, którą Lawrence rozpętał w lecie i na jesieni 1916 r., łącząc w walce z uciskiem tureckim od pięciuset lat skłócone plemiona arabskie i przez wspólną walkę odradzając poczucie ich dawnej jedności. Kim był człowiek, który dokonał tego dzieła?

Lawrence urodził się w r. 1888 w hrabstwie Galway w zachodniej Irlandii. Jeden z jego przodków, Sir Robert Lawrence, towarzyszył Ryszardowi Lwie Serce w wyprawie krzyżowej. Po ukończeniu kolegium jezuickiego we Francji, Lawrence wstępuje na uniwersytet w Oxfordzie: studiuje języki wschodnie, rozczytując się jednocześnie w Xenofoncie i Cezarze, Moltkem, Napoleonie i Fochu. W r. 1907 wyrusza w podróż na Bliski Wschód, do Syrii, pieszo i boso odbywając samotne wędrówki w stroju tubylczym i oddając się badaniom nad narzeczami miejscowymi oraz nad architekturą zamków okresu wypraw krzyżowych. Zjawia się na krótko w Oxfordzie, by wnet, w r. 1909, jako członek wyprawy archeologicznej, wrócić do mających dlań nieprzeparty urok krajów Lewantu. W ten sposób w ciągu lat siedmiu poznaje przeszłość, kulturę i obyczaje ludów Syrii, Palestyny, Arabii, Persji, Turcji i Egiptu, a dzięki swym samotnym wycieczkom po siedmiu latach zna lepiej Bliski Wschód niż jakikolwiek Europejczyk. W czasie wojny będzie imponował swą znajomością odległych zakątków Imperium Otomańskiego oficerom wywiadu niemieckiego i tureckiego, a opanowaniem dialektów arabskich i tajemnic życia na pustyni — samym Arabom.

Wkrótce po wybuchu wojny, na jesieni 1914 r., młody archeolog i lingwista zgłasza się jako ochotnik do wojska. Komisja lekarska odrzuca go z powodu słabego zdrowia i niskiego wzrostu. „Jak może zostać naprawdę dobrym oficerem w wojskach kolonialnych ktoś kto ma zaledwie 5 stóp i 3 cale? ... Dokładnie niemal w cztery lata potem ten sam niepozorny i niedbale ubrany młody człowiek wkroczy tryumfalnie do Damaszku na czele stworzonej przez siebie wielotysięcznej armii.

Lawrence nie dał za wygraną. Chodził, prosił, nalegał... W końcu Sir Gilbert Clayton, szef wywiadu brytyjskiego w Kairze, przyjął go na wolny etat oficera sekcji kartograficznej oddziału wywiadowczego w stopniu porucznika. Turcja nie jest jeszcze w wojnie, pozostaje na razie „non belligerent“, ale przygotowuje się do niej skrycie. Lawrence w przebraniu arabskim czyni wielokrotne wypadki na linie tureckiej, po prostu znika na okresy kilkutygodniowe, przynosząc cenne wiadomości. Nie znający go bliżej starsi oficerowie sztabowi często sarkają na tego „najmniej zdyscyplinowanego a najniebalej ubranego oficera brytyjskiego w Kairze, którego nigdy nie ma w biurze“. Lawrence przygotowuje tymczasem swój wielki plan obezwładnienia Imperium Ottomańskiego.

Przystąpienie Turcji do wojny po stronie mocarstw środkowych stawia sztab brytyjski w zupełnie zmienionej sytuacji: ugruntowanie urzędystycznych już marzeń niemieckich o osi Berlin-Bagdad może stać się trwałym faktem, jeżeli Wielka Brytania nie przeciwstawi mu pozytywnego planu politycznego, skoro siły wojskowe, jakie może ona rzucić na Bliski Wschód, są niewystarczające.

Z planem takim wystąpił Lawrence. Projekt jego opiera się na następujących założeniach: rewolucja młodoturecka, usunąwszy sułtana Abdul Hamida jako tyrana, przysłała do władzy pod hasłem demokracji, równości wszystkich ludów Imperium i ich prawa do autonomii, rozbudzając, zwłaszcza wśród plemion arabskich, daleko idące nadzieje. W praktyce jednak młodoturcy jednoosobową dyktaturę sułtana zastąpili kolegialną dyktaturą t.zw. Komitetu Jedności i Postępu, będącego narzędziem wpływów polityki niemieckiej. Polityka narodowościowa Komitetu była i jest równie brutalnie centralistyczna jak polityka sułtanów. Nadzieje więc ludów arabskich, stanowiących około połowy ludności Imperium Ottomańskiego, na otrzymanie jakiejś formy znośnej autonomii zostały zawiedzione. To jest właśnie ów materiał palny, którym rozsadzić można Imperium i unicestwić niemiecki plan osi Berlin-Bagdad. Arabowie są rozbici i skłóceni od wieków. Można ich zjednoczyć wizją uwolnienia od jarzma pogardzanych i znieawidzonych Turków. Rewolucja arabska daje szanse dezorganizacji armii tureckiej, w której służy około 40% żołnierzy pochodzenia arabskiego.

Tego rodzaju plan przedstawiony został na wiosnę 1916 r. brygadierowi Ronaldowi Storr, wówczas doradcy od spraw arabskich przy dowódcy sił brytyjskich na Bliskim Wschodzie, późniejszemu nowoczesnemu następcy Poncjusza Piłata na stanowisku gubernatora Jerozolimy, a wreszcie wysokiemu komisarzowi Wielkiej Brytanii w Egipcie. Otrzymałszy zgodę naczelnego dowództwa i wolną rękę w przygotowywaniu rozpoznania, Lawrence przystępuje od razu do dzieła, przemyślanego w ciągu samotnych wypraw i pustynnych medytacji. Przywódca powstania upatrzony jest od dawna. Jest nim emir Hussein, szeryf Mekki, najstarszy żyjący potomek Proroka, z tego tytułu noszący tytuł „Strażnika Świętego Grobu“, wielki wojownik, ojciec czterech bitnych synów, cieszących się popularnością wśród Beduinów. Trzeci z synów Husseina, emir Feisal, wojownik i dyplomata, to naturalny wódz naczelnny wojny o wyzwolenie. Z obydwu jest Lawrence w porozumieniu i stałym kontakcie od przeszło roku. Obaj od roku prowadzą przygotowawczą agitację za zaprzestaniem sporów, za zjednoczeniem.

REWOLUCJA NA PUSTYNI

Kampania decydująca o panowaniu nad brzegami morza Śródziemnego w czasie wojny obecnej ma bodaj jedną cechę wspólną z kampanią pierwszej wojny światowej: w obu wypadkach ich ośrodkiem dyspozycyjnym był Kair. Działania wojny obecnej przebiegały i oscylowały wzdłuż zasadniczej osi wschód — zachód, w wojnie poprzedniej rozgrywały się w kierunku północ — południe: z Egiptu i Sudanu, wzdłuż wybrzeży morza Czerwonego, poprzez Mekkę, Medinę, Akabę, Jerozolimę, Damaszek aż do Aleppo. Turcja odegrała rolę satelity Niemiec, zbliżoną do roli Włoch w wojnie obecnej.

Aby uprzytomnić sobie, z jakimi trudnościami musieli borykać się organizatorzy rewolty arabskiej, trzeba sobie przypomnieć, że półwysep Arabski odpowiada swoją powierzchnią Wielkiej Brytanii, Holandii, Belgii, Francji i Hiszpanii, z tym że głównym środkiem komunikacji był trzydzieści lat temu wielbłąd lub, na krótszych odległościach, koń. Ludność tego obszaru liczyła wówczas ok. 20 milionów, przy czym tylko połowa prowadziła, tak jak zresztą i dziś prowadzi, życie osiadłe, na resztę zaś — zwaną Beduinami — składały się koczownicze skłócone ze sobą plemiona, toczące nieustanną walkę o pastwiska, studnie i wielbłądy. Tradycja rozbicia i walk szczepowych jest niemal tysiącletnia, bo sięgająca upadku Imperium Arabskiego.

Przygotowywane po cichu od półtora roku powstanie wybuchło 6 czerwca 1916 r. równoczesnym napadem na załogi tureckie w obu miejscach świętych: w Mecce i w Medinie. Mekka padła od razu. Na wieść o tych początkowych sukcesach powstańców Turcja odpowiedziała natychmiastowym wysłaniem całego korpusu doborowych wojsk stacjonowanych w Syrii, który miał zdusić w zarodku rewoltę. Także dowódca garnizonu tureckiego w Medinie, dowiedziawszy się o opanowaniu Mekki przez Husseina i Feisala, zdecydował wysłanie oddziału ekspedycyjnego na odbicie miasta. Tak więc Lawrence miał do rozwiązania dwa zagadnienia: opóźnienie i zlikwidowanie oddziałów tureckich na osi Medina-Mekka (ok. 250 mil pustyni) oraz mieszanego turecko-niemieckiego korpusu na linii Aleppo-Medina, a więc w odległości ok. 1000 mil. Opóźnianie napływu posiłków tureckich z północy na południe miało dać możliwość rozwinięcia się siłom powstańczym, trudnym do zmobilizowania ze względu na trudności terenowe i komunikacyjne. To też gdy niedawny oficer sekcji kartograficznej z małą grupą wybranych przez siebie towarzyszy brytyjskich i arabskich, wspieranych przez lotne oddziały emira Feisala na wielbłądach, wysadzał tory kolejowe linii Medina-Mekka oraz Jerozolima-Akaba-Medina, wysłańcy Husseina wędrowali od oazy do oazy, od obozu do obozu i w imieniu „Strażnika Świętego Grobu“ wyjaśniali swoją misję, odmalowywali wielkość Arabii, jej upadek, niewolę turecką, rozpalając wyobraźnię wizją oswobodzenia, którego chwila może być już niedaleka.

W październiku 1916 r. większość plemion Hedzasu, a więc północno-zachodniego wybrzeża Arabii, zjednoczona została w luźny związek, coś pomiędzy sojuszem a staropolską konfederacją, do walki z Turkami przy boku Anglii. Medina została zdobyta przez Lawrence'a i Feisala, siły arabskie urosły do 10.000 ludzi i wzmacniały się z dnia na dzień dezertarami pochodzenia arabskiego z armii tureckiej.

Po uratowaniu Mekki i opanowaniu Medyny, a więc ochronieniu powstania arabskiego od katastrofy na samym początku, na jesieni

1916, r. Lawrence nakreślił Feisalowi następujący plan: nękać wojska tureckie, nadsyłane jedyną linią kolejową z Syrii i Palestyny do Arabii i półwyspu Synajskiego; odciągnąć maximum sił tureckich walczących z głównymi siłami brytyjskimi na półwyspie Synajskim, celem rozproszenia wojsk nieprzyjacielskich, a przez to ułatwienia ofensywy sprzymierzonych na Palestynę i Transjordanie.

Tymczasem w Palestynie i Syrii stała armia turecka o sile przeszło 100.000 ludzi, wzmocniona niemieckim lotnictwem i oddziałami technicznymi, operująca blisko swych baz zaopatrzenia... Lawrence rozumiał doskonale taktykę wojny na pustyni. Beduin na swym wielbłądzie jest, jak okręt na morzu, samodzielną jednostką, mogącą działać niezależnie od innych, nie związaną wytkniętymi szlakami komunikacyjnymi: zadaje ciosy, zaskakując przeciwnika, odrywa się i znika na piaszczystych bezdrożach.

KRZYŻOWIEC I KOMANDOS

W czerwcu 1917 r. wojska tureckie wyparte zostały z Akaby, dawnej przystani floty króla Salomona, w ten sposób tracąc ostatni port nad morzem Czerwonym. Upadek Akaby przypieczętował wyparcie Turków z terytorium Arabii i otworzył drogę do najazdu na Syrię i Palestynę we współdziałaniu z operującymi z półwyspu Synajskiego wojskami lorda Allenby, Montgomery'ego poprzedniej wojny. Turcję wyparto z obszaru o powierzchni ok. 150.000² mil, oddziały Lawrence'a i Feisala posunęły się o przeszło 700 mil na północ, z drobnych oddziałów urastając do rozmiarów wielkiej narodowej armii arabskiej, która w swym szczytowym punkcie, u progu najazdu na Palestynę, sięgała liczby 200.000 ludzi. Por. Lawrence odegrał w rzeczywistości rolę generała-porucznika, dowódcy prawego skrzydła armii, nowoczesnego Ryszarda Lwie Serce.

W ten sposób, uwolnieniem Arabii, zakończona została pierwsza część epopei — rewolucja na pustyni, przebudzenie się woli niepodległości ludów arabskich od obcego panowania. Jedność — zapewnią po cichu Lawrence Husseina i Feisala — będzie naturalnym rezultatem wolności, trzeba tylko doprowadzić zaczęte dzieło do końca...

A wyniki rocznej kampanii były istotnie wspaniałe. Zdumiały one samych przywódców arabskich, nie mniej niż sztab brytyjski w Kairze: 28-letni porucznik, bez jakiegokolwiek doświadczenia bojowego, naukowiec i w ogóle...oferma, któremu pozostawiono wolną rękę, bo nie bardzo zdawano sobie sprawę jakie konkretne zadania można mu wyznaczyć, dokonał cudów organizacji, dyplomacji i dowodzenia. Walka ta zaś prowadzona była w warunkach i klimacie trudnym do zniesienia dla każdego kto nie jest Beduinem, wśród ledwo pogodzonych i nawzajem często nieufnych, podstępnych, chciwych i krwiożerczych szczepów, dowodzonych przez ambitnych i zazdrośnych szejków. Była ona podwójnym zmaganiem: trzeba było kierować walką z wrogiem a zarazem trzymać w ryzach jakiejś takiej dyscypliny to pospolite ruszenie arabskie. Wielokrotnie groziło ono rozpadnięciem się, wojną domową lub po prostu...rozejściem się do domu.

Poza tym dla Beduina wojna jest nie tylko rozrywką i codziennym niemal zajęciem, ale zarazem i zawodem. Beduin musi mieć łup. Wojna bez łupu, to wojna przegrana. To też Lawrence musiał zawsze pilnie dbać aby każda walka „opłacała się“, a oprócz tego mieć w swych sakwach

kilka worków ze złotymi monetami, z których czerpał obficie by zasilać swych ochotników „świętej wojny“.

Pierwszy rok kampanii polegał na wypieraniu garnizonów tureckich wzdłuż wybrzeża morza Czerwonego oraz na wypadach na tyły nieprzyjacielskie dla wysadzenia w powietrze transportów kolejowych, brania jeńca, zaopatrzenia i łupu. Była to oryginalna forma operacji połączonych : wzdłuż wybrzeża posuwał się stary pancernik „Eurayalus“ oraz statek handlowy z zapasami wody i amunicji. „Eurayalus“ używano nadto do dwóch celów : albo ostrzeliwał umocnione pozycje tureckie 9 - calowymi działami, albo też, gdy spory wśród przywódców arabskich przybierały niepokojące rozmiary, oddawał parę salw ponad głowami konfederatów, przypominając im o potęgze króla angielskiego, u którego boku przyrzekł walczyć. Obok zmagai na wybrzeżu, toczyła się jednocześnie nieustanna walka podjazdowa na pustyni, zagony i wypady, fortele i zasadzki.

Wszystkim tym kierował i we wszystkim celował drobny i niepozorny naukowiec. On prowadził najniebezpieczniejsze patrole i podjazdy głęboko poza linie tureckie, on wielokrotnie wiódł kilkudziesięczne masy kawalerii na wielbłądach do szarzy na pozycje nieprzyjaciela, on wreszcie osobiście wysadził w powietrze 79 pociągów tureckich.

W tym czasie głównym jego wytchnieniem jest lektura Arystofanesa i Shelleya. „Un homme bien portant peut se passer de manger deux ou trois jours — de poésie jamais“ — powtarza Lawrence...

W lipcu 1917 r. Turcy zostali wyparci z Arabii, we wrześniu t.r. rozpoczął się najazd na Syrię i Palestynę. Komandos przedzierzgnął się w krzyżowca, by odegrać rozstrzygającą rolę przy oswobodzeniu Ziemi Świętej.

Dotarłszy w styczniu 1918 r. do linii Jerozolima — Jerycho, lord Allenby stanął wobec następującej decyzji : dalej krok za krokiem wypierać nieprzyjaciela lub też próbować rozstrzygnąć losy kampanii śmiałym manewrem. Lawrence doradzał manewr. Decydująca ofensywa przygotowana została na luty, tymczasem jednak powodzenie ofensywy niemieckiej Ludendorffa we Francji spowodowało decyzję naczelnego dowództwa sprzymierzonych sprowadzenia posiłków z Bliskiego Wschodu na front zachodni. Plany lorda Allenby i Lawrence'a zostały pokrzyżowane. Wprawdzie rozpoczęło się pośpieszne ściąganie posiłków z Mezopotamii, Indii oraz Australii i w lipcu i w sierpniu dziury załatano, ale trudno było myśleć o jakiegokolwiek ofensywie. I rzeczywiście nikt o niej nie myślał. Nikt z wyjątkiem Lawrence'a.

Przedstawiony lordowi Allenby plan manewru polegał na potajemnym przesunięciu gros sił na prawe skrzydło, przy jednoczesnym stworzeniu u nieprzyjaciela wrażenia, że to właśnie lewy i środkowy odcinek frontu mają odegrać w ofensywie rolę decydującą. Odcinek Haifa — Jerycho — Amman miał zostać ogolony z najlepszych jednostek, które przy zachowaniu maximum tajemnicy miano przerzucić w pustynny rejon na wschód od Ammanu. Aby zmylić czujność nieprzyjaciela, Lawrence proponował odegranie komedii na wielką skalę w postaci pozorowanej koncentracji wojsk w trójkącie Jaffa — Jerycho — Jerozolima. Zadaniem odcinka frontu Amman — Jaffa będzie wykonanie markowanego uderzenia od morza Martwego ku Galilei i granicy Syrii wzdłuż doliny Jordanu, podczas kiedy grupa, zgromadzona na wschód od Ammanu, przeprowadzi na prawym skrzydle głęboki zagon poprzez pustynię na miasto Dera, położone o 500 mil na północo-zachód, na wysokości jeziora Tyberiadz-

kiego, u rozwidlenia linii kolejowej Haifa–Damaszek. Działające z tą grupą oddziały Lawrence’a przedrą się jeszcze głębiej na tyły nieprzyjacielskie, dezorganizując komunikacje i dostawy.

Plan ten jest niezwykle śmiały, niemal szaleńczy. Ale jakże odrzucić projekt tego, który zuchwałe szaleństwo podniósł do godności metody niezmiennie skutecznej, choć zaprzeczającej uznanym kanonom taktyki i strategii...?

Aby zamaskować swe zamiary, Lawrence reżyseruje olbrzymie widowisko: tysiące rozwieszonych na kijach koców markuje namioty, kilkanaście tysięcy wielbłądów, mułów i koni pozoruje rzekomą koncentrację kawalerii, która jest bezustannie przerzucana przez pięć w tym celu zbudowanych mostów na Jordanie. Nieprzyjacielskie rozpoznanie lotnicze melduje przybycie posiłków w postaci dwu dywizji kawalerii i trzech dywizji piechoty. Dowództwo tureckie gromadzi większość swych sił w dolinie Jordanu, buduje umocnienia i oczekuje uderzenia czolowego.

Ofensywa, rozpoczęta 19 września, przyniosła zagonowi na Derę niespodziewane sukcesy. Pojawienie się na głębokich tyłach nieprzyjaciela kilkutysięcznego oddziału kawalerii na wielbłądach wywołuje panikę wśród oddziałów turecko-niemieckich.

W ciągu tygodnia od rozpoczęcia manewru, front nad Jordanem posunął się o przeszło 300 mil naprzód. Turecko-niemiecka armia Lewantu została zniszczona lub rozproszona. Wzięto ponad 100.000 jeńców i olbrzymi łup w sprężcie i zaopatrzeniu. Upadek Imperium Otomańskiego został przypieczętowany. Linia Berlin–Bagdad wróciła tam skąd wyszła: do niemieckich podręczników ekonomii i geopolityki.

31 października 1918 r. 29-letni wódz naczelny największej od lat pięciuset armii arabskiej wkroczył tryumfalnie do Damaszku, jednego z najstarszych miast świata. Ubrany w strój księcia Mekki, z nieodstępnym tomem wierszy Shelleya w ręku, wśród owacji tysięcznych tłumów, jechał zamyślony i na pozór obojętny poprzez zasłane kwiatami i kobiercami ulice i bazyry.

Nigdy zapewne w historii tyle tak wielkich rzeczy nie zostało dokonanych w tak krótkim czasie przez jednego człowieka.

„DIARY OF A DISAPPOINTED MAN”

W jaki sposób przybysz ze świata obcej cywilizacji, Europejczyk i chrześcijanin, a więc „niewierny“, mógł uzyskać tak wielki wpływ tak na przywódców jak i na masy arabskie...

To prawda, że przedziwnym, niemal niewytłumaczalnym trafem stał wyżej niemal we wszystkich dziedzinach, zdawałoby się, zastrzeżonych dla Beduinów, jak jazda na wielbłądzie, strzelanie, znajomość pustyni, sztuka czytania gwiazd. To prawda, że znał więcej dialektów arabskich od wielu arabskich uczonych i lepiej pamiętał od nich cytaty Koranu, a w ich interpretacji nie znał sobie równego wśród współczesnych. Był też odważny do szaleństwa, ale szaleństwo to było zawsze przemyślane w szczegółach i dlatego niemal bez wyjątku kończyło się sukcesem potęgującym jego autorytet. Jeżeli nawet spotykały go drobne niepowodzenia, zawsze potrafił on stworzyć pozory osiągnięcia swego celu, lub też wyzyskiwał to potknięcie się, by przyniosło ono korzyści w swych bliskich, widocznych dla wszystkich skutkach. Więcej robił niż mówił.

Zawsze miał coś ważnego, ciekawego lub przynajmniej zabawnego do powiedzenia. Nigdy nie narzucał swego zdania, wprost przeciwnie, raczej podsuwał je przywódcom arabskim, chwając następnie ich rozwagę i mądrość gdy poślknęli haczyk i szli w uplanowanym przez niego kierunku.

Wspaniała, natchniona technika nie była jednak wszystkim. Lawrence porwał przywódców i masy arabskie hasłem „wojny świętej“ o wyzwolenie i zjednoczenie, dając im w imieniu rządu swego kraju daleko idące, choć niezbyt konkretne przyrzeczenia niepodległości wyzwolonych ludów arabskich i ich zjednoczenia. Przyrzeczenia te nie zostały dotrzymane — polityka brytyjska uważała jedność arabską za potencjalne zagrożenie drogi do Indii. Lawrence, widząc niemożność wypełnienia przyrzeczeń danych swym przyjaciółom, Husseinowi i Feisalowi, odrzucił wszystkie proponowane mu zaszczyty i order: stopień generalski, parostwo, stanowisko podsekretarza w ministerstwie kolonii, order Łażni, krzyż Wiktorii oraz większość istniejących odznaczeń alianckich, którymi próbowano go bezskutecznie zasypywać. Przyjął tylko członkostwo „All Souls College“, jeden z największych zaszczytów naukowych, jakich można w Anglii dostąpić, i począł przygotowywać książkę o rewolucji na pustyni — „Siedem kolumn mądrości“; książkę tę nazwał Churchill — sam mistrz historycznej prozy — „jedną z najlepszych książek w języku angielskim“. Oprócz tego, on, który dokonał rzeczy, o jakich inni nie śmieli nawet marzyć, rozpoczął teraz pisanie pamiętnika noszącego tytuł: „Diary of a Disappointed Man“.

Historia zna wypadki ludzi stojących niejako okraczkiem w dwu cywilizacjach, jak Marco Polo czy Gordon, jak emir Rzewuski czy Sadyk Pasza Czajkowski, ale osiągnięcia ich, to drobne fragmenty kroniki, a nie nowe karty wielkich rozdziałów historii. Co więcej, Lawrence w swym działaniu wymykał się spod wszelkich uznanych kryteriów ludzkich, w równym stopniu był potomkiem duchowym Saladyna i Haruna al Raszyda jak i „budowniczych Imperium“ w stylu Sir Waltera Raleigha, Sir Francis Drake'a czy Cecil Rhodesa. Swą rewolucją na pustyni przebudził on narody arabskie i poprzez niepodległość wskazał im drogę do jedności, która dziś urzeczywistnia się krok za krokiem. Imperium Brytyjskiemu pomógł nie tylko rozsadzić Turcję, narzędzie Niemiec, lecz wytknął mu drogi działania, z których korzysta ono dopiero dziś, w obliczu rosnącej ekspansji sowieckiej, pod naciskiem konieczności, gdy linia Berlin — Bagdad zastąpiona została linią Moskwa — Mossul, gdy cień potęgi rosyjskiej pada na cały Bliski Wschód po Suez i zatokę Perską.

Podjęte przez politykę brytyjską budowanie federacji arabskiej jest wykonywaniem testamentu Lawrence'a.

... W Moskwie — mówił — cuchnie zbrodnia. Tam wszystko poczęte jest ze zbrodni, a skończy się na wielkich i świetnych karierach nowych panów Rosji, którzy zamieszkażą w pałacach carskich i jusupowskich, odzieją się w miękkie szaty i stworzą nową, czynowniczą i komisarzką arystokrację, nową nawet plutokrację, lubującą się w zbytku i zepsuciu starej. Plebs będzie mieszkał po norach i smrodliwych izbach. Tam nie zaczęto się od budowania, od przetwarzania rzeczy lichych na lepsze, lecz od niszczenia, nie z miłości, lecz z pychy i zemsty.

STEFAN ŻEROMSKI.

(Przedwiośnie. Warszawa 1938; str. 99)

WCZORAJ I DZIŚ W MIASTECZKU ŚWIĘTEGO EDMUNDA

... wreszcie w ostatnim dniu września, „czarnego września“ londyńskiego, gdy domowi, w którym mieszkaliśmy, gościło zawalenie się — zmuszeni byliśmy opuścić stolicę. Do miasteczka, którego nazwa jest dość skomplikowana, przybyliśmy przed zachodem słońca.

Dzień niemal gorący, pełen słońca i aromatów, zda się, żywcem wykradziony naszej polskiej jesieni.

Mimo iż odjechaliśmy zaledwie 80 mil od, prażonej z nieba — dzień i noc — ogniem, metropolii, zdawać się mogło, że wylądowaliśmy na innej planecie. Jesteśmy w hrabstwie Suffolk.

Owionął nas zewsząd skondensowany czar prowincji angielskiej — urok niezakłóconego spokoju, wyzierającej z każdego kąta stateczności. Jak gdyby pouczenie, jak należy ułożyć sobie życie by być zadowolonym, z dala od demoralizującego pośpiechu wielkomięjskiego, zbędnego blichtru i wszelakiej tandety XX w.

Nasiąkłe złocistym blaskiem, kolorowe, z czerwonej cegły domy, są schludne i przytulne. Mieszkańcy ubrani dostаточно, należą jak gdyby do jednej rodziny: twarze mają czerstwe, skóre do uśmiechów.

Jest też i „county“: ziemiaństwo. Gentleman-farmers przybywają własnymi samochodami lub w dawno nie oglądanych dwukołowych brekach, zaprzężonych w dorodne konie. Sami powożą.

„The back-bone of England is country“ — przypomina mi się stare przysłowie anglosaskie; to „country“, to sól nacji brytyjskiej, tężyzna rasowa, postęp pojęty w najszerszym znaczeniu, przy snobistycznym zamiowaniu do konserwowania obyczajów i przywilejów swej sfery.

Wieś angielska opływa w dostatek, mieszka z komfortem, gromadząc najprzedniejsze dzieła sztuki, hoduje rasowe bydło, urządza ze swych ogrodów istne małe Wersale — przecież nie gardzi żadną robotą. Gentleman-farmer rzadko kiedy trzyma szofera, sam polewa swój ogród, żona jego wstaje o świcie, urabia ręce po łokcie przy każdej robocie domowej. Do miasteczka, na shopping przyjeżdżają w nonszalancko brudnych mackintoshach, ze staromodnymi koszykami, z jakimi u nas nie wyszłaby w Warszawie na miasto żadna gosposia.

Takimi ich widzę w Bury St. Edmunds — pełni wigoru mężczyźni, kobiety z osłoniętymi głowami, czynią zakupy. Paradują przez miasteczko z narzędziami ogrodowymi, z konwią do polewania czy z torbami ze sztucznym nawozem. Jacy są zdrowi i pogodni!

Poza tym cóż za ukojenie dla starganych nerwów, dla piekących od tyłu nieprzespanych nocy, oczu — ani jednego kikutu rozwalonych murów. Ani jednego krateru na jezdni, ani jednej stłuczonej, bodaj pękniętej szyby.

Szczęśliwy zakątek wyspy. Nie było tu dotychczas podniebnych niszczycielskich odwiedzin wroga-barbarzyńcy.

*

Dzień jest powszedni, targowy, wypełniony tysiąc i jedną zdrową radością ludzką. Ujęty w czworobok, stary Butter-Market, mimo prozaicznej, przecież smacznej nazwy „Rynku Maślanego“ — rwie oczy orgią barw i świecidełek, rozsypanych szcudrze po straganach. Pora

roku najbardziej sprzyjająca pokazowi darów bożych : nie trudno odgadnąć, że Bury St. Edmunds jest jak bogato ustrojona przodownica w korowodzie dożynkowym.

Zapewne od wieków panował w miasteczku-wsi klimat dosytu i harmonii, a „rynek maślany“ — jak róg obfitości — dostarczał pogodnym mieszkańcom samych uciech życiowych. „Harvest Time“ nie omieszkało i w tym, piolunową goryczą przepelnionym roku — sypnąć urodzajem. Jarzyny, kwiaty, owoce, doprowadzone do wyjątkowej krasy i formy. Poza tym wesoła pstrokaczna kretonów, pięknie przerabianych tweedów, smakowicie wyglądających keksów.

Doprawdy, brakuje chyba tylko... kwiecistych chust krakowskich, koralu i pasiaków. Jak zawsze, gdy zawitam do nowego miasta na wypie, zaczynam porównywać. Przede wszystkim *musi* mi coś przypominać urok własnego kraju. W tej chwili jest taka gama światel i cieni i taki smak w powietrzu, że mrużę oczy i zdaje mi się, że jestem, że jestem... w Nowym Sączu, nie — lepiej, w Nowym Targu. Ta droga na prawo, wśród niewysokich, bielonych domków, doprowadzi do Czorsztyna — dalej przez Krościenko (stara Rojza przy rynku krościeńskim, jakie piękne miewała chusty krakowskie!) — do czarodziejki-Szczawnicy... Doznaję jak gdyby odżywczego zastrzyku.

Zapominam, że przybyliśmy tu zaledwie z ręcznymi walizkami, że całe nasze dobro ruchome pozostało na Kensington, słabo zabezpieczone w suterenie jako tako trzymającego się jeszcze domu. Napada mnie niepoahamowana chętka kosztowania wszystkich po kolei owoców, nabywania fatalaszków.

Mieszam się z tłumem. Na głowie mam już perkalikową chuścinę, kremową z barwnym szlaczkiem (akurat podobną nabyłam którychś wakacji u Rojzy). W londyńskim kapeluszu dźwigam pół tuzina jędrnych, złocistych kukurydz, jest i szmaragdowy, lśniący szczypiorek, rozglądam się na próżno za upragnionym koperkiem...

Niecierpliwy sygnał z samochodu przywołuje mnie do przytomności.

*

A oto i „Angel“ — „Hotel Anielski“ na otwartym wzgórzu noszącym nazwę „Góry Anielskiej“. Scenarium dokoła więcej niż tajemnicze. Tuż, na odległość rzuconego kamyka — średniowieczne wieże, w perspektywie za kamiennym murem — wielomówiące ruiny.

Ale stoimy już na ganku hotelowym, wspartym na czterech białych kolumnkach, i starszek portier... „wita z uśmiechem podróźnych“.

Nie wypada marudzić.

Ledwo przekroczyłam próg domu, który miał nas, uciekinierów, przytulić — owiała mnie atmosfera bardzo leciwego ogniska ludzkiego. Niefalszowana patyna lat — ciężkie, dębowe drzwi, boazerie, staromodne antyki. Pierwszorządne, pożółkłe sztychy angielskie, masywne srebrne lichtarze, miedziane dzbany i misy, czyszczone przez całe pokolenia sług. Okna wyglądają jak żywe złocisto-zielone witraże : porysowane są listowiem „ivy“, bluszczu, który zalewa dosłownie mury całego domu. W pokojach jest więc seledynowo, i takiej barwy są lustra w mosiężnych ramach. Nie, nie ma się wcale wrażenia, że się zajęchało do hotelu, do domu, w którym nikt długo nie popasa, z którego bez żalu się wyjeżdża. Zdaje mi się, że przyjechałam właśnie na wakacje do Poddębic, w łuckie, że Wołyń wita mnie zapachem winnych jablek i suszonych śliwek z kminkiem, że ciotczyśko — rade z mego widoku — wydobywa z szufład

pachnących paczulą adamaszkowe kłody, cieniotkie lnianie poszewki i rodzinne zastawy stołowe.

Tu pachnie lawendą i wytrawnym, starym winem.

*

Nad schodami na półpiętrze wisi barwna rycina, przedstawiająca Pickwicka w granatowym fraczku i popielatym cylindrze. Uśmiechnięty i zadowolony jak zawsze ze wszystkiego co go otacza, John Bull stoi przed gankiem... „Anioła“, podczas gdy Sam w pstrokatej kamizelce, z kapelusikiem na bakier, gramoli się z pojazdu, dźwigając potężny sakwojaż z papierzyskami. U dołu napis, wyjęty z „Klubu Pickwicka“: „...the coach rattled through the well paved streets of a handsome town, and stopped before a large inn, situated on a wide, open place, nearly facing the old Abbey. „And this“ — said Mr. Pickwick, looking up to Sam Weller — „this is the „Angel“!

Jeszcze niezupełnie zdają sobie sprawę, po co właściwie powieszono tu tę grawiurę, gdy właścicielka „Anioła“, żwawa i czerstwa staruszka, zwraca się do mnie.

— So sorry, — mówi z ujmującym wdziękiem, — tyle naraz najechało z Londynu gości, że jestem w kłopotcie... Czy nie zechciałaby pani zająć tymczasem pokoiku Dickensa. Wprawdzie nie dość wygodny...

— *Dickensa*? — zapytuję jak gdyby w półśnie.

W hallu panuje zielonkawy zmrok, kontury mebli są zatarte (jak we śnie), a twarz mojej rozmówczyni posiada niedzisiejszy urok: czarne figlarne oczka i srebrne puszyste włosy.

— Yes, *Dickensa*, — odpowiada jak najnaturalniej, — mieszkał w „Angel“ i prowadził tu swoje zapiski o Pickwicku — bo właśnie, wie pani, Pickwick i Sam Weller (mówi o *tych* dwóch, jak o swoich stałych gościach...) bardzo lubili nasz hotel... it was in fact their headquarters during the period they were victimised by Alfred Jingle and Job Trotter.

Godzę się natychmiast na ten fantastyczny pokój i kiedy kroczę za panią domu wąskimi korytarzami na pierwsze pięterko — myślę, że podobnie czuła się naiwniutka „Alicja“ gdy, nie zdając sobie sprawy kiedy to się stało, przekroczyła próg rzeczywistości i pogrzażyła się w „Kraję Czarów“. Po trzech schodkach w dół, schodzimy do niewielkiego pokoiku. Bielony sufit przecięty jest przez pół pociemniałą, dębową belką; podłoga nierówna i (horrendum!) naftowa lampa z różowym kloszem-balonikiem — akurat taką samiutką lampę pamiętam...

Właściwie pół pokoju zajmuje wysokie, mahoniowe łóżce. Jest schludnie, zacisznie, choć mam wrażenie, że nie bardzo jest tu czym oddychać.

Nocy ubiegłej spałam, właściwie kiwałam się bezsennie w jednym z najbrudniejszych shelterów na Kensington, do którego wniesiono nad ranem kilku rannych; tę noc spędzę na królewskim łożu, na którym Dickens śnił pogodne sny. Czary nie czary?

Niech duch autora „Świerszcza“ pozwoli mi się przenieść w inny wymiar czasu, dopomoże zapomnieć bodaj na krótko o potwornościach XX stulecia.

Zapuszczam na okna ciężkie, aksamitne portiery, zdejmuję ostrożnie szkieleto, podcinam knot — zdaje mi się, że słyszę metaliczny dźwięk trąbki oddalającego się dylizansu... Dobrze będzie się spało.

*

Niestety, już drugiej nocy — rozełkały się syreny.

Cały hotel stanął na nogi: okazało się, że zorganizowano miejscową samoobronę. „Czujki“ na dachu nie próżnują, wszędzie na korytarzach stoją wiadra z wodą i piaskiem, każdy z gości ma pod ręką świecę i zapalki. Nocny portier z bokobrodami, w mycce na siwych kosmykach, (służba hotelowa przypomina mi ludzików dickensowskich) zaczął prowadzić nas pasażerkami, krętymi schodami w dół, do piwnicy, mówił przy tym „mylady“ i świecił mosiężną latarką, która zamiast szkielek miała mikę. Wreszcie — obszerna piwnica, zastawiona koszami pełnymi butelek. Ale to nie koniec: jeszcze trzy stopnie w podziemiu — i schron. Oślepia mnie światło: palą się stuświecowe żarówki. Huczy jak w ulu od zgromadzonych gości.

Rozglądam się. Nade mną kamienne sklepienie, co najmniej jak w kościele — najczystszy łuk gotyku. Mury powleczone brunatnym mchem, rdzawą śniedzią; — kilka niesymetrycznie wyżłobionych w ścianach nisz — nad nimi wyryte rylcem daty: rok 1405... rok 1515... rok 1623... To nie trick. Stały tu onego czasu omszałe gąsiorzy ze sławnym miodem suffolkskim.

Do tego wnętrza jakże nie pasują pasiaste leżaki i elektryczne lampy. Kamienna podłoga i ławy pokryte są dywanami; obrócone do góry dnem puste beczki — służą za stoliki: goście zabierają się do bridge'a. Przyniesiono burgunda. Luksusowy zaiste schron.

Wreszcie jest coś i dla mnie.

Jeden z domowników, z dumą rozszadającą jego tubylcze serce, informuje mnie o osobliwościach rodzinnego grodu. Bury St. Edmunds uważane jest bowiem za... „the cradle of English Liberty“, kolebkę swobodności w Wielkiej Brytanii.

Skromna osada w hrabstwie Suffolk, nosząca za króla Sigeberta (połowa VII w.) nazwę Beodriesworth, zyskuje rozgłos za panowania ostatniego władcy wschodniej połaci Anglii (hrabstwo Suffolk i inne), króla Edmunda.

Młodzikiem 14-letnim wstępuje na tron i wnet stawić musi czoło najazdowi duńskiemu (855).

Przez lat piętnaście odpiera dzielnie wroga, lecz w walce pod Hoxm szczęście go opuszcza. Zostaje wzięty do niewoli — zdradziły go polyskujące w słońcu złote podkowy. Edmund, stawiony przed oczy wodza Duńczyków, nie chce się zaprzeć wiary ojców, nie chce wydać towarzyszy broni. Zostaje przywiązany do drzewa i na wzór św. Sebastiana, umęczony strzałami. Ponadto wrogowie ucinają mu głowę i wrzucają ją do głębokiego jaru.

Podwładni Edmunda oraz miłujące go zwierzęta rozpoczynają poszukiwania głowy królewskiej, słysząc we dnie i w nocy głos swego pana: „Here... here... here“... Przez dni 40 trwają bezowocne wysiłki, aż z pobliskiego boru wypada dzikie wilczyisko i nie czyniąc nikomu szkody, wynosi z dołu głowę króla. Składa ją u nóg zgromadzonej starszyny i oddala się do lasu — „with a doleful mourning“.

*

Wrogowie zostają przepędzeni.

Głowa królewska zrasta się z ciałem, pozostawiając na szyi znak nitki czerwonej. Podwładni budują drewniany kościół, aby złożyć w nim szczątki króla-męczennika (903). Osada Beodriesworth otrzymuje nazwę Bury St. Edmunds.

W przedkim czasie powstaje kościół murowany (1010); przed trumną

z ciałem króla Edmunda (zapewne balsamowanego) zaczynają działać cuda. Do miłośnicy płyną rzeki mnichów i pątników z całego świata chrześcijańskiego; zjeżdżają się ubodzy i możni. Chorzy zdrowieją, na bezdzietne małżeństwa spływa błogosławieństwo potomstwa.

Kanut (syn Sygrydy Piastówny, siostry Bolesława Chrobrego), król rżutki i przedsiębiorczy, podnosi osadę do godności miasta, nadaje przywileje, m. in. bicia własnej monety. Rozpoczyna również budowę słynnego opactwa (1020), któremu dane było odegrać niepoślednią rolę w dziejach historii Anglii.

Miasto otrzymuje piękny herb — nad tarczą z trzema koronami, przebitymi strzałami, widnieje wilczyisko, które dźwiga w przednich łapach głowę króla Edmunda.

Czaszka wilka należała do relikwii ówczesnego grodu.

*

Rozwój i wpływy, jakimi zaczyna się cieszyć opactwo St. Edmundsbury (ukończone w r. 1033), stają się legendarne. Św. Edmund dzielnie patronuje swoim ziomkom. Inne podanie zapewnia, że gdy chciwy król Sweyn wkracza na terytorium hrabstwa Suffolk, aby zawładnąć jego stolicą, święty „in full harness and with a sword in his hand“ zagradza mu drogę i rani go śmiertelnie. Strwożone żołdactwo pierzcha.

W ciągu całego XII w. wszyscy po kolei wielkorządcy opactwa, rozmiłowani w kunsztach budowlanym, prześcigają się w budowie klasztoru. Przy końcu wieku (1095) wyrasta wspaniały Abbey Church, bijący bogactwem wszystkie kościoły na wyspie. Ma on 510 stóp długości, najokazalszą nawę główną, 14 ołtarzy „and a magnificent high altar“, za którym w srebrnej trumnie ustawiono prochy cudotwórcy.

Klasztor staje się bogatszy z roku na rok.

Pomysłowi przeorzy, pragnąc przyciągnąć w swe progi nie tylko małuczkich i znękanym, lecz i możnym obywateli kraju, urządzają w opactwie wspaniałe turnieje sportowe, festyny, ba! nawet polowania z ogarami na lisy w okolicznych borach.

Zjeżdżają się goście zamorscy z Włoch i Francji. Jedni się modlą i kają, drudzy oddają się zabawom.

*

Ale na szerszą widownię świata Bury St. Edmunds wkracza w początku XIII w.

12 listopada 1214 r. w Abbey Church gromadzą się liczni biskupi, księża, baronowie, by pod przewodnictwem opata Langtona złożyć, przed sarkofagiem św. Edmunda przysięgę: — nie poniechają wysiłków, nie złożą oręża, dopóki opierający się król Jan nie podpisze praw dających wolność każdemu obywatelowi Wielkiej Brytanii. King John nie skory do ograniczenia swej władzy, ani też przywilejów możnowładców, widzi się wreszcie zmuszony do kapitulacji.

Tak się narodził parlament angielski, przyszła ostoja demokratycznego Imperium (Runnymede 1215). Dla upamiętnienia wzniesłego momentu, Bury St. Edmunds otrzymuje motto: „The shrine of King, the cradle of Law“ — „Sacrarium Regis, Canabula Legis“.

Dla St. Edmundsbury nastaje prawdziwie złoty wiek. Po opactwie w Glastonbury zajmuje ono drugie miejsce na ziemiach angielskich. Dokoła opactwa wyrasta mur obronny, wieże, bastiony: przepyszna Norman

Tower (1257), Abbey Gate (1347), kościół św. Jakuba (1439), kościół św. Marii (1444), w którym stoi sarkofag Mary Tudor, siostry Henryka VIII, wdowy po królu francuskim Ludwiku XII.

Wszystkie budowle stanowią wzory bogatej architektury wczesnej epoki normandzkiej.

*

Jednocześnie porasta w pierze miasteczko. W w. XIII staje się centralą zbytu wełny, drogich tkanin i futer. Na doroczne jarmarki futrzane zjeżdżają się kupcy nawet z brzegu francuskiego i z Holandii. Niejeden krawiec królewski myszkuje tu w celu zakupienia „szkarłatnych aksami-tów i przepięknych skór lisich“ na tuniki i płaszcze królewskie.

W miarę wzrastającego dobrobytu i znaczenia mieszczan zaognia się walka domowa z opactwem. Przeorzy St. Edmundsbury, pragnąc utrzymać klasztor na szerokiej stopie życia, zmuszają wieśniaków i mieszczan do nieprzeliczonych powinności: pracy na roli oraz rocznej daniny w postaci sutego połowu węgorki, zwózki kamieni, cegieł, drzewa. Jak widać, ludność miejscowa nie paliła się nigdy do pracy, wykreślała się sianem — wywłaszczenia więc, grzywny i kary chłosty, praktykowane na Butter Market, stawały się zjawiskiem codziennym.

Wiekі XIV i XV są widownią epickich niemal zapasów między miastem a klasztorem. Porywanie mnichów, pożary, grabieże wybuchają usta-wicznie. Wreszcie w styczniu 1328 r. dochodzi do strasznego buntu chłopów. Podpalają oni naraz ze wszystkich stron klasztor, burzą, rabują. Mimo zbrojnej interwencji pułków królewskich, masowych wywłaszczeń i ścięcia winowajców na... Rynku Maślanym — w pół roku później główny opat zostaje znów porwany, strażę i służbę opactwa wycięte w pień.

Namiętności ludzkie rozpasaly się, jak spuszczone z uwięzi chciwe żeru, psy. Żle się dzieje w ciągu pół wieku z okładem. Ciemną nocą grudniową rozlegają się w miasteczku bijące znowu na alarm dzwony. Tysiące mieszczan pod przewodnictwem szalonego Jacka Strawa (1381) napada mnichów, puszczając z dymem pożarów kościoły, grabiąc relikwie. Skarbiec opactwa zostaje ograbiony. Główny przeor stracony na zgłiszczach, sędzia królewski Sir John Cavendish — na Rynku Maślanym. Skrwawione ich głowy zawisają na Abbey Tower i wiszą przez dni kilkanaście. Opactwo z trudnością dźwiga się po tej katastrofie, lecz zaproszony przez zemstę murarzy, nowy pożar (1456) dopełnia dzieła zniszczenia na amen. W początkach następnego stulecia, ze wspaniałego Abbey Church, klasztoru i muru obronnego — zostają już tylko grudy kamieni.

*

Wzburzone fale życia cichną. Przychodzi opamiętanie. Wiek XVI zastaje mieszkańców Bury St. Edmunds przykładnie pracujących w warsztatach tkackich i przędzalniach. Nastają trudne lata dla włóczykiów i nierobów — pracować muszą nawet nieletnie dzieci. Najubożsi otrzymują z gminy 6 funtów przędzy wełnianej na głowę, aby po tygodniu wykazać się pracowitością lub wziąć w skórę za opieszałość. Tą gorliwością w pracy oraz surowością obyczajów mieszkańcy Bury St. Edmunds pragną zagłuszyć niepiękną sławę o awanturniczych swych przodkach. W istocie mogą pochwalić się brakiem ubogich między sobą; kościoły św. Jakuba

i św. Marii otrzymują cenne wota, ale miasteczko usuwa się w cień zapomnienia.

Jeszcze raz przeżywa silniejszy wstrząs, gdy w lipcu 1555 r. Lord Northumberland, dążąc z Cambridge na pomoc Lady Jane Grey, w buncie przeciw szkockiej królowej Mary, rozkłada się obozowiskiem w mieście. Ale tu właśnie wojsko jego opowiada się po stronie opuszczonej władczyni. Northumberland wraca sam niepyszny do Cambridge i w szybkim czasie przechodzi również do obozu królowej. 17 jednak obywateli wyznania protestanckiego za panowania Queen Mary oddaje głowy pod topór.

Były to zdaje się ostatnie, dzięki Bogu, kaźnie w tak niewinnie wyglądającym miasteczku.

*

Dziś, mimo iż Bury St. Edmunds jest zwyczajnym „agriculture“ centrem hrabstwa, pozostał jednak osobliwy charakter bytującego za pan brat z historycznymi ruinami, miasteczka.

Piękny kościół św. Jakuba przemieniono w katedrę. Norman Tower — „this monument of antiquity“ — ostała się opresjom czasu, nieraz zakosztowawszy języków ognistych. Służy obecnym pokoleniom za dzwonnice i posiada starannie dobrany bukiet dzwonów z XV stulecia. Z Wieży Normandzkiej miały uderzyć dzwony na alarm — w razie najazdu Niemców na wyspę...

Drugi pyszny zabytek, ozdobna Abbey Gate, stoi również nienaruszona, prowadzi jednak już nie do opactwa lecz do ogrodu botanicznego, gdzie zasadzono wszystkie możliwe w tej strefie geograficznej rośliny. Ławki ustawione wśród ruin i krzewów służą, rzecz prosta, za miejsce schadzek zakochanym.

Na szmaragdowej polanie, gdzie ongi wznosił się dumny Abbey Church, wychowankowie pobliskiej szkoły Edwarda VI (powołanej do życia w r. 1550), gdzie tyłu sławnych synów Albionu uczyło się abecadła, grają w foot-ball. Przy tej ważnej okoliczności zdejmują pocieszne, średniowieczne tuniki oraz fantastycznej formy birety, z którymi nie rozstają się nawet podczas wykładów.

Na szczątkach muru okalającego opactwo pobudowano dziś (niestety) nowoczesne wille, w każdym jednak ogródku znajduje się jakiś omszały głąz czy nagrobek. A motyw oryginalnego herbu z wilczykiem powtarza się we wszystkich ornamentach na gmachach publicznych czy prywatnych. Tubylcy kochają historię, kochają legendy, są wrażliwi na piękno i tragedie ludzkie.

Na Wzgórzu Anielskim zawsze, od wieków stała oberża. W kronikach klasztornych pierwsza wzmianka o austerii pochodzi z r. 1390. Oberża musiała być okazała i suto zaopatrzona w przednie trunki, skoro ściągali tu zewsząd mnisi, lubiący dobrze podjeść i popić. *Nasza piwnica* — schron o łukowym sklepieniu — wywodzi się z owych czasów.

Starym oberżom angielskim należy się kilka osobnych słów — były one zawsze ośrodkiem życia publicznego danej okolicy; zjeżdżano tu na sejmiki półoficjalne, walne narady czy konszachty. Sprawiano w nich uczy weselne lub stypy pogrzebowe. Podczas dorocznych jarmarków huczało w nich jak w ulu: na przykład w Bury St. Edmunds, miast przepisowego tygodnia, targi trwały przez 21 dni... Kto żyw a zdrów ciągnął na Wzgórze Anielskie, gdzie odbywały się popisy cyrków wędrownych, kuglarzy i rozmaitych „merry makings“.

„Angel“, zaznawszy parokrotnie klęski pożarów, zostaje u schyłku XVIII stulecia solidnie przebudowany i gości w swych murach nie były jakie osoby. Że wspomnę tylko o słynnej Mme Genlis, która w dniach rewolucji francuskiej (1791) ratuje się ucieczką z Francji. Towarzyszy jej książę Ludwik Filip (późniejszy król Francji) oraz siostra jego, księżniczka orleańska.

Znakomity historyk brytyjski Carlyle, zaintrygowany kronikami miejscowego mnicha Jocelin of Brakelonda (opisał on w latach 1173—1202 z rozbrajającą niedyskrecją nie tylko blaski lecz i cienie opactwa), zbiera tu cenny materiał do dzieła swego p.t. „Past and Present“.

Wielu bardzo ludzi sławnych odwiedzało progi historycznego już „Aniola“, ale najważniejszy był Dickens. Unieśmiertelnił on miasteczko w „Pickwicku“ oraz w „The Uncommercial Traveller“. Bardzo je sobie chwalił i w listach prywatnych do przyjaciół napomynał, że „Londyn jest ponury i odpychający w porównaniu z promiennym, kolorowym Bury St. Edmunds“. Trochę inaczej myślałby zapewne król Edward, gdyby był powstał z grobu i przemówił do swych praszczurów tymi słowami: „Nie żałowałem życia swego dla dobra waszego, wymodliłem dla was u Stwórcy szeroki rozgłos, szacunek świata, niezmierzone bogactwa. Cożście uczynili? Wasza szatańska pycha, sępia chciwość i bezgraniczna zawziętość obróciły wszystko w perzynę“...

Bury St. Edmunds nikogo dziś nie przyciąga, nikomu, niczym nie imponuje; przeżyło samo siebie.

Wrzesień 1940

... Kocham plemienny ród Polaków, nie tylko w jego historyczno-politycznym lub ściśle obowiązkowym znaczeniu, lecz kocham narodowość naszą w sposób nawet przyrodzony, to jest: bez tłumaczenia sobie ku temu pobudek; tak kocham jak to bywa, gdzie rzecz prosto z natchnienia pochodzi, kocham ją jak dziecię kocha matkę, jak kochanek miłuje kochankę; słowem, kocham, bo kocham! Kochałbym może nawet pewne znamionujące nas, że tak powiem, racie przywary i niedoskonałości, gdyby się to godziło bez usterki dobra samejże Ojczyzny, te bowiem jako też i znakomite przymioty nasze od innych narodowości tak stanowią nas odróżniają, że naszą z innymi nic wspólnego nie ma; lecz w tej mojej miłości tyle namiętym i zaślepionym być nie chcę, abym świętej strony od mniej chwalebnej, bezpiecznej od niebezpiecznej, rozróżnić nie chciał lub nie umiał; nie kocham więc tak, aby się w pojęciach serca mego, acz śmiem mówić czysto polskiego, wyobrażenia winy, defektów i cnoty, tak dalece zmieszwały, iżbym dlatego tylko, że one są polskimi, że narodowymi, w tym już narodowość uważał, one wysoce cenil i za nią obstawał, jak niemniej w myślach o przyszłym urzędzeniu naszym nietykalnymi pozostawić życzyl. Przeciwnie, radziłbym i pragnął, abyśmy to tylko z narodowości naszej zatrzymali, co w niej jest wymiennego, użytecznego, do epoki, w której żyjemy, a mianowicie do głównego celu oswobodzenia zastosować się dającego, co w niej tyle nawet miłego, bożego, starą rodowitość przypominającego, a zarazem prawom boskim i ludzkości i odistnieniu naszemu nie przeciwnego; a nie zachować dlatego że narodowym to, co było chorobą, co pozostało rakiem i żywotność nurtującym, nie zaś zdrowiem naszej Rzplitej i narodowości.

ANTONI OSTROWSKI.

(Krótki rys politycznego biegu życia Antoniego Ostrowskiego. Paryż 1839; str. 23—24)

O KULCIE TRZECH WIESZCZÓW

I

Za czasów niewoli objawów kultu publicznego, niemal urzędowego, doznawał jedynie Adam Mickiewicz przez przewiezienie jego zwłok spod Paryża do grobów królewskich na Wawelu. Lecz Polacy spod zaboru rosyjskiego mogli brać udział w tej uroczystości tylko prywatnie. Tak np. wieniec ze zbóż nowogródzkich niosła panna Przygodzka z sąsiadującego z Tuhanowiczami majątku Tracewicze, a szarfę z napisem: „Od wnuczek towarzysza lat młodych“ (A. E. Odyńca) późniejsza żona moja i jej trzy siostry, panny Chomętowskie.

Atoli najznamienniejszym tryumfem symbolicznym najszlachetniejszego ducha narodowego w osobie jego wieszcz-wodza było wzniesienie pomnika Mickiewicza za „najwyższym“ zezwoleniem samego cara w stolicy Polski, w tej Warszawie, co zawsze, a nieraz sama jedna na całym świecie, mocy carów urągała.

Po pierwszym odwidzeniu Warszawy przez Mikołaja II, wobec uzyskania „łaskawej“ zgody na budowę politechniki, redaktor „Gazety Radomskiej“ Hugo Wróblewski, pomny na rzymską zasadę „Sidera dum siderant, sidera siderare memento!“, którą po polsku najlepiej przetłumaczyć na: „Drzyj lyko, póki się daje!“, pierwszy rzucił w swoim piśmie myśl postawienia w Warszawie pomnika Mickiewicza w setną rocznicę jego urodzin; dotąd pomniki takie stały już w Poznaniu, Lwowie i Krakowie. Po uzyskaniu, przy życzliwym poparciu generała-gubernatora księcia Imeretynskiego, „najwyższego“ zezwolenia, składki posypały się błyskawicznie; w samej Warszawie w ciągu trzech dni złożono 150.000 rb. Ale zezwolenia udzielono z zastrzeżeniem, ażeby odsłonięcie pomnika odbyło się nie tylko bez żadnych manifestacji i demonstracji, lecz w najzupełniejszym milczeniu, tak aby przy uczczeniu *mistrza polskiego słowa* nie wypowiedziano ani jednego *polskiego słowa*.

Generał-gubernator zagwarantował delegacji komitetu budowy, składającej się z prezesa Henryka Sienkiewicza, jednego z wiceprezesów dr. Karola Benniego i sekretarza Zygmunta Wasilewskiego, że żadnej prowokacji ze strony policji i żandarmerji nie będzie, i pozwolił na powierzenie utrzymania porządku podczas uroczystości straży obywatelskiej, ale za to wymagał zachowania grobowego milczenia, ciszy i spokoju. Obie strony nie sprawiły zawodu, wszelako we wszystkich obszerniejszych dziedzińcach na Krakowskim Przedmieściu, Trębackiej i Bednarskiej stała ukryta policja i nawet oddziały wojska.

I oto w owo przedpołudnie dnia wili 24 grudnia 1898 r. odbyła się w Warszawie uroczystość o najrzadszym chyba obliczu zewnętrznym w tak wielkim mieście, liczącym nadto mnóstwo przybyłych z różnych stron kraju ze wszystkich zaborów. Cisza panowała tak głęboka, że słyhać było nie tylko bicie serc przejętych radosnym wzruszeniem tysięcznych tłoczących się tłumów, lecz zdawało się, że słyhać w tej ciszy „głos z Litwy“, i skrzyp sań na zaśnieżonym gościńcu między Zaosiem a Nowogródkiem, i szum lasów Świtezi i Kuszelewa.

Odsłonięcie pomnika wyznaczono na godz. 11 po solennej mszy w katedrze św. Jana. Dzień był lekko mroźny i mało śnieżny, zrazu pochmurny, ale powoli niebo zaczęło się przecierać i gdzieniegdzie przebłyskiwał wąski promień słońca. Tłumy ściągały wcześniej od strony

pl. Zamkowego, Trębackiej, Czystej i Nowego Światu. Ulica Nowo-Miodowa jeszcze nie istniała, a Bednarską zamknięto. Wszystkie powozy zatrzymywały się na pl. Zamkowym, Saskim i Teatralnym. Na szerokim chodniku od kościoła Karmelitów, obok członków komitetu in pleno i delegacji wszystkich zawodów miejscowych i przyjezdnych z pisarzami na czele, umieszczono córkę poety p. Marię Gorecką i wnuka dr. Ludwika (synowi Władysławowi wzbroniono przyjazd), krewnych po siostrze poety Święcickiej, właścicieli sąsiadującego z Zaosiem folwarku Skrobów pod Horodyszczem, oraz potomków kilku dawnych kolegów filareckich z Wilna, jak Domejków, Odyńców i Zanów.

Punktualnie o godz. 11 podjechał jedyny dopuszczony blisko powóz. Siedzieli w nim ks. arcybiskup warszawski Wincenty Chościak-Popiel, we wspaniałym purpurą krytym futrze, ks. biskup sufragan Kazimierz Ruszkiewicz we fioletach i ks. prałat Siemiec, proboszcz parafii św. Antoniego, do której należy ta część Krakowskiego Przedmieścia. On jeden miał prawo głosu dla odmówienia po łacinie modlitwy liturgicznej „Benedictio loci“. Kiedy, obszedłszy pomnik po pokropieniu go wodą święconą, powrócił na miejsce, Sienkiewicz pociągnął za sznur. Opadła płócienna opona... Przed ludem stolicy, przed całym narodem stanął ten „z czasów niewoli najpierwszy“. Gdy błysła gwiazdka betleemska, ludność po domach między sobą i z licznymi przybyłymi gośćmi — niekiedy aż z głębi Rosji — tamała się opłatkami w dziwnie rozradowanym nastroju. Zdawało się, że jakiś nowy opiekun przybył Warszawie, i takim mistycznym opiekunem pozostał dla wszystkich, dla wszystkich bez wyjątku, bez różnicy partii i poglądów, tak na dni wyzwolenia jak na dni nowej niewoli.

*Na czwartkowych wieczorach pana generała
Klasycyzm swe ostatnie wytacza już działa,
I choć walczą z nim pierwsze przelotne jaskółki,
Już słychać szum potężnych skrzydeł, jakby pułki
Szły husarii!... Poezja zwyciężyła nowa,
Rządcom serc wnet ustąpią dawni rządzący słowa.
Już w tym samym pałacu dojrzeją pachole,
Co ku zenitom myśli pchnie loty sokole.
Już ptak rajski, tęcz wszystkich kolorami dumny,
Chwilę u Zygmuntońskiej przysiąda kolumny
I leci w świat, jak smutne wędrowne żurawie.
Najpierwszy... O! ten nie był za życia w Warszawie,
Lecz gdy w lat kilkadziesiąt ponad tłumów głowy
Wzniósł się gruźniowym rankiem w postaci spizżowej.
Z ręką na sercu, z okiem, co się w niebo zwraca,
Któż nie czuł, że najbliższy do swoich powraca...*

Ale w samym Nowogródku nie wolno było obchodzić głośno setnej rocznicy urodzin największego jego syna. Ówczesny dziekan, ks. Zelbo, później proboszcz miński na Złotej Górze, odprawił tylko cichą mszę żałobną i poświęcił tablicę pamiątkową na jednym z filarów po lewej stronie kościoła Dominikanów, zainicjowaną przez Romana Jodkę z Łopusznej.

Dopiero w 17 lat potem, 24 grudnia 1915 r., mogliśmy publicznie obchodzić tę rocznicę urodzin pod Niemcami, którzy nie czynili żadnych ku temu wstrętów a sami obchodzili dzień willi, podczas gdy ludność miejscowa, zarówno katolicka jak prawosławna, podlegała jeszcze kalendarzowi juliańskiemu, czyli starego stylu, wprowadzonemu do wschodniej części Polski w r. 1800. Dziekan ks. Leopold Mackiewicz

odprawił uroczyste nabożeństwo nawet w asyście kapelana wojskowego ks. Quiskampfa z Gelsenkirchen, który ze względu na licznych robotników polskich w Westfalii nauczył się naszego języka. Po południu w wielkiej sali ochronki polskiej, którą założyła i kierowała panna Maria Wierzbowska, wyrugowana na zimę, tak jak my na jesieni z Sienieźyc, dla gen. Schäffera von Boyadel z dzierżawionego przez nią dawnego domu Mickiewicza, odbyła się uroczysta „akademia“ z przemówieniem jej i moim, oraz z deklamacją Antoniego Jundziłła i moich trzech starszych synów. Odśpiewanie „Boże coś Polskę“ wycisnęło lzy rozrzewnienia u większości zebranych — a było ich nadspodziewanie dużo, pomimo śnieżycy, nawet ze wsi i zaścianków.

Ale bez względu na przeszkody, kult wewnętrzny, połączony z pietyzmem dla utworów i samej osoby poety, rozwinął się od dawna z nadzwyczajną szybkością i płynął wartką falą ze wschodu Polski ku jej zachodowi. Przyczyniły się do tego, obok głównie uroku i nowości samych poezji, których egzemplarze krążyły swobodnie, aureola tragedii filareckiej i — że się tak wyrażę — propaganda od serca setek wychowawców uniwersytetu wileńskiego, który wówczas stał na czele nauki i oświaty krajowej i promieniował na całą Polskę i poza nią. Każdy z tych wychowawców, gdziekolwiek się udawał, miał przy sobie ten lub inny tomik poezji Mickiewicza, a każdy zesłaniec lub emigrant zabiegał o to samo; jaką zaś siłę magiczną posiadały dla nich te poezje, najwymowniej może przedstawił Sienkiewicz w swym „Latarniku“ i przedstawia obecną naszą poezja na obczyźnie.

Trzecia część „Dziadów“, „Reduta Orzona“ i „Pan Tadeusz“ przenikały z trudnością do kraju. Tu nadmienię, że rówieśnicy moi zaczęli należycie oceniać „Pana Tadeusza“ dopiero około dwudziestego roku życia, wcześniej porywały nas najmocniej „Oda do młodości“, „Ballady i romanse“, „Farys“ i „Konrad Wallenrod“. Ułatwiał nam rozczytywanie się w tych utworach i uczenie się ich na pamięć „Rys dziejów literatury polskiej“ Aleksandra Zdanowicza, profesora historii w wileńskim Instytucie Szlacheckim, którego syna w czasie powstania 1863 r. rozstrzelano w Lidzie wraz z ks. Iszorą. Rys ten, zakrojony na pięć dużych tomów, miał tę główną zaletę, że podawał obszernie ustępy rozważanych utworów, a w trzecim tomie, poświęconym literaturze pięknej pierwszej połowy XIX w., całe fragmenty cenzuralnych poezji przeważnie Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Niedokończony dwa tomy po śmierci Zdanowicza opracował Leonard Sowiński.

W nowogródzkim utwory Mickiewicza jakby ożyły wśród miejscowych mieszkańców dawne podania i legendy. Każdy kto spoglądał, zwłaszcza nocą, na dwie stare baszty, ostatnią pozostałość po rezydencji Mendoga, szeptał: „Zamek na barkach nowogródzkiej góry od miesięcznego brał pozłotę blasku“; furmanki i przewoźnicy, przejeżdżając przez szeroki wąwóz z dwoma jeziorkami, zwany Lidówką, na gościńcu do Gierdówki i Wsielubia, opowiadali, że tu niegdyś krzyżacy usieklili księżnę nowogródzką, która obroniła gród od ich napaści. Sam słyszałem od starszych gospodarzy, że w jeziorze świteskim i w starej, opuszczonej cerkiewce cmentarnej, na gościńcu korelickim koło Wołkowicz „tu-tejszy pan Mickiewicz“ widywał rusałki i duchy zmarłych dziadów. Mit o Mickiewiczu był tak rozpowszechniony, że podczas wojny krymskiej, gdy pewien podróżny przepadł po nocy bez wieści w Wielkich Solecznikach, między Wilnem i Lidą, rozeszła się pogłoska, że to rząd porwał Mickiewicza, który przyjechał robić ruchawkę. A był to podobno nawet

nie żaden emisariusz, lecz bogaty kupiec, którego karczmarz miejscowy zamordował dla rabunku.

Mój ojciec nie widział nigdy Mickiewicza, ale nasłuchiwał się wiele o jego czasach wileńskich, najwięcej od Onufrego Pietraszkiewicza, który zdołał uratować i przechować całe archiwum filareckie z protokołami posiedzeń, i od Odyńca, którego „Wspomnienia z młodości“ i „Wspomnienia z podróży“, drukowane najprzód w „Kronice Rodzinnej“, a później parokrotnie wydawane przez Gebethnera i Wolffa, zapoznały szerszy ogół rzewnie i serdecznie z okresem „dzieciństwa sielskiego, anielskiego“ i z okresem „młodości górnej i chmurnej“ poety.

Raz jeden tylko byłem świadkiem i słuchaczem rozmowy mego ojca z Odyńcem, u niego w Warszawie na Marszałkowskiej w 1884 r. Cytował od czasu do czasu ustępy z „Pana Tadeusza“, a gdy staruszek wypalił już pół fajki i wysączył swój kieliszeczek doppel-kümmelu, przypominał sobie sui generis krytykę „Konrada Wallenroda“ przez p. Dowgirda z Plemborga, starego Budrysa, pono spod Kowna czy Przewieża, zgłośa nie Adonisa, o długim nosie i wysuniętym podbródku, gdy go kiedyś odwiedził w Wilnie.

— Ale Adam (a znał go z czasów nauczycielstwa w Kownie) przesadził w „Wallenrodzie“ — rzekł Dowgird w rozmowie.

— Czym, w zawziętości i podstępnie? — pytam.

— Da broń Boże! tym psu bratrom krzyżakom jeszcze się więcej należało, ale, że napisał: „U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów od róż krańszyszy i od tulipanów“. Wiadomo, nasi chłopcy niczego sobie, ale żeby piękniejsi od róż i tulipanów! To im tylko we łbach poprzewracało.

— W każdym razie — zakończył wspomnienie Odyniec — ten nie czytał poezji powierzchownie.

Ale tak się zdarzyło, że miałem sposobność widywania kolegi Adama jeszcze z gimnazjum Dominikanów w Nowogródku. Był nim Adam Kiersnowski, wychowujący się u krewnych w Horodziłówce o dwa kilometry od miasta. Potem przeniósł się do innych krewnych w Mołowidach, a na stare lata osiadł w Reginowie u Jundziłłów i tam umarł w r. 1875. Był on zapalonym myśliwym i często, stukając w rogową tabakierkę, opowiadał nam swoje wyprawy na dziki, jak raz ocalał sobie życie, wskakując na szyję atakującego go warchlaka. Szczycił się też doskonałą grą na rogu i niewątpliwie, gdy spotkał się z Mickiewiczem już jako studentem, starał się w nim rozwinąć żyłkę łowiecką. Za czasów uczniowskich wielu bliższych kolegów odwiedzało Horodziłówkę, a latem nocowało tam w wymoszczonym odpowiednio sianem zakątku odryny. Ulubioną ich zabawą była — wojna. Adaś Mickiewicz, jako posiadacz bębena, bywał zwykle doboszem. Pewnej nocy usłyszał w pobliżu stajni niezwykle i podejrzanie szmery, począł więc tak silnie bić w swój bęben, że obudził dworskich i istotnie spłoszył dobierających się do koni złodziei. Ze łzami w oczach opowiadał nam stary pan Kiersnowski o tym bohaterskim czynie przyszłego poety, ale o szczegółach jego śmierci w Stambule nie chciał nigdy słuchać.

Do Jaszun Mickiewicz nie zajeżdżał wcale, nawet po drodze do Bolcienik Puttkamerów, bo tam najczęściej przebywał Jan Śniadecki, przeciwnik romantyzmu, szczególnie nie lubiący młodego poety za zlekceważenie „mędrca szkielka i oka“. Śniadecki nie lubił zresztą i Kanta.

Julka, jak wtedy nazywano w kołach wileńskich Juliusza Słowackiego, ojciec mój raz tylko spotkał w Jaszunach. Niewiele zwracał uwagi na początkującego gimnazystę kończący uniwersytet student, on, który już „poznał miłość“ i przeżywał tam właśnie chwile, które mu zostały w pamięci na całe życie i dzięki którym Jaszuny nad Mereczanką („rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie“) znalazły odbicie w I akcie „Kordiana“, w „Godzinie myśli“ i w „Beniowskim“. Jan i Jędrzej Śniadeccy lubili go jako syna przedwześnie zmarłego członka kolegium profesorskiego, a p. Michałowa Balińska żyła w wielkiej przyjaźni z jego matką, osobą niezwykle ujmującą, oraz z jej pasierbicami, pannami Bécu. Przemieszkowały one często miesiącami w Jaszunach, i temu zawdzięczamy, że przeszukując kiedyś ze stryjecznymi braćmi, Stanisławem i Janem, skrzynię z rozmaitymi szpargałami, znaleźliśmy kilkanaście listów poety do siostry przyrodniej Olesi Bécu ze szczegółami i opisem swego pobytu w Warszawie w „godności“ aplikanta w ministerstwie skarbu, którą zawdzięczał nie tyle wydanym już kilku poematom i tragedii „Mindowe“ ile rekomendacji Jana Śniadeckiego ministrowi Ksaweremu Lubeckiemu. Listy te ogłosiłem w zbiorowej książce p.t. „Stulecie Mickiewicza“ i powierzyłem Leopoldowi Méyetowi do trzeciego tomu listów Słowackiego, lecz nie zdołał mi ich zwrócić, bo zmarł nagle pewnego wieczoru u siebie w mieszkaniu na ul. Widok, w czasie posiedzenia komitetu uczczenia Elizy Orszkowskiej, w naszych niemal oczach. Nie rewindykowałem tych listów, skoro cały swój cenny zbiór rękopisów i pamiątek zapisał przyszłemu Muzeum Narodowemu w Warszawie. Ten sam los spotkał zbiór listów p. Salomei Bécu, matki poety, do Odyńca, z którym korespondowała stale aż do swojej śmierci. Listów tych moja teściowa użyczyła Méyetowi dla przepisania, bo były pisane bardzo nieczytelnie; i one także zostały w jego kolekcji.

Studencki sentyment Julka do starszej od niego panny Ludwiki Śniadeckiej, odpowiadający ówczesnym sentymentalno-romantycznym nastrojom, był traktowany przez jej rodzinę pobłażliwie i nie brany na serio. Z pewnością bardziej rozrzewniał moją babkę, która korespondowała z nim jeszcze wtedy, gdy przebywał w Szwajcarii, niż samą Śniadecką, jak to podkreśliła w swej znakomitej monografii Maria Czapska. Do kobiet młody Słowacki nie miał szczęścia: ani do paryżanki Kory, ani do Marii Wodzińskiej, ani do Anieli Moszczeńskiej we Florencji, ani do p. Joanny Bobrowej. Ale niewątpliwie on, co tyle przepięknych scen i strof poświęcił miłości i kobietom, mało dbał o nie indywidualnie, chyba o tę jedną Ludkę znad Wilii i Mereczanki, i napewno był szczerzy gdy pisał: „Przyznaj, że duszę miałem niepowszednią, który przeszedłem świat, kochając jedną“.

Nie mogę się powstrzymać od wyrażenia kilku słów lekceważenia, jeśli nie czegoś ostrzejszego, pod adresem Marii Wodzińskiej, tej „niezastężonej a szczęśliwej“, która ujęła serca dwóch takich mocarzy poezji i muzyki, Słowackiego i Fryderyka Chopina. Odyniec i Aleksander Chodźko mówili, że była średnio przystojna, lecz miała dużo tego co Francuzi nazywają „du chien“, przy tym odznaczała się kokieterią i szczególnym pociągami do ludzi sławnych. Nie przeszkodziło to jej wszakże wyjść za mąż za poczciwego hreczkosieja p. Orpiszewskiego, bo ojcowie i mamy zawsze woleli mieć zięciów z włościami, mierzonymi na włóki, niż na rymy i akordy. Ferdynand Hoesick, który pierwszy po prof. Antonim Małeckim napisał obszerną, trzypiętomową biografję i

historię twórczości Słowackiego (śmiano się z niego, że martwił się, iż nie mógł dociec koloru kamizelki poety na jakiejś fecie), spotkał się gdzieś na wsi z p. Orpiszewską, już staruszką, ale mówił mi, że niczego się od niej nie mógł dowiedzieć, podobno nawet zapomniała, że „W Szwajcarii“, ta czarująca miłosna idylla w oprawie najpiękniejszych krajobrazów alpejskich, była pisana o niej i dla niej.

*

Kult Słowackiego, choć nie tak szybko i głęboko jak Mickiewicza, rozszedł się w ciągu kilku lat z Wilna i Krzemieńca. Sprzyjał temu — obok oczywiście i przede wszystkim wspaniałości samych utworów — rozgłos emulacji na emigracji w Paryżu z Adamem i ideowej polemiki ducha-rewolucjonisty z konserwatywnym trzecim tytaniem, przyjacielem, Zygmuntem Krasieńskim („Do autora „Trzech psalmów“), wreszcie pierwszorzędny talent dramatopisarski — a teatr jest zawsze najdonioślejszą rozgłośnią. W Warszawie do 1905 r. grywano tylko „Mazepę“ i „Marię Stuart“, ale większość ogłaszanych drukiem dramatów, nawet „Kordian“, przenikała do całego kraju i była rozchwytywana przez czytelników.

Kult Słowackiego wzmógł się ogromnie, kiedy prof. Małecki uporządkował i wydał powierzone mu przez panią Bécu pozostałe materiały z nie znanymi przedtem utworami i wieloma — niestety! niedokończonymi — fragmentami, z „Królem-Duchem“ na czele, wykazującymi jeszcze bardziej rozgłośność horyzontów i mistrzostwo formy poetyckiej. Przy tym ujawniła się ofiarność jego patriotyzmu w okresie t.zw. „wiosny ludów“, gdy prawie umierający z suchot dojechał na tydzień do Drezna, aby być bliżej kraju.

Ale na progu XX w. przypadała setna rocznica jego urodzin. Pomnika dotąd nie miał i nie ma żadnego oprócz nowego teatru krakowskiego, nazwanego jego imieniem, i biustu na wysokim cokole, wystawionym przez Józefa Kościelskiego w parku miłosławskim. Przy odsłonięciu tego pomniczka wypowiedział prześliczną mowę Sienkiewicz.

Podniesiono potem sprawę przewiezienia zwłok poety do kraju i złożenia obok trumny Mickiewicza w grobach na Wawelu. Ale sfery wiedeńskie, a za nimi książę biskup krakowski, kardynał Puzyna, były temu przeciwnie. Nie wiem, z jakiego powodu publicysta i poeta Czesław Jankowski (zresztą mój przyjaciel) stanął po stronie Wiednia i kardynała, dowodząc, że Słowacki, jako krytyk papieża, więc niechętny kościołowi, nie może spoczywać w podziemiach świątyni. Rozpocząłem z nim polemikę w „Dzienniku Powszechnym“ i ogłosiłem list Szczęsnego Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego, do Odyńca, z opisem ostatnich chwil Słowackiego, których był świadkiem. Umarł jako wzorowy katolik, opatrzony św. sakramentami. Co się zaś tyczy krytyki polityki watykańskiej, w danym przypadku Grzegorza XVI, wobec Polski i Rosji, krytyka taka nie jest przez kościół zakazana. Dopuścili się jej także Mickiewicz i wielu innych pisarzy katolickich w różnych okazjach. Osobną tekę z wycinkami pism o tej sprawie z oryginałem listu arcybiskupa Felińskiego miałem jesienią 1939 r. wraz z kilku innymi rękopisami i listami, m.in. i samego Słowackiego, złożyć w Bibliotece Krasieńskich. Spóźniłem się, ale byłyby tam również uległy zniszczeniu jak w moim mieszkaniu. W kilkanaście lat później przypomniałem Czesławowi Jankowskiemu jego stanowisko, kiedyśmy szli przy katafalku z trumną Słowackiego od przystani przy moście Poniatowskiego. Stamtąd zawieziono ją do katedry św. Jana, a nazajutrz do Krakowa, na Wawel.

Ale sprawa, dokąd przewieźć Słowackiego, nie zesła wówczas z porządku dziennego. Ktoś proponował, aby go pogrzebać na którymś ze szczytów tatrzańskich. Jako ówczesny wiceprezes Tow. Literatów i Dziennikarzy, zaprosiłem do siebie wielką liczbę pisarzy na naradę. Zebrało się ich przeszło sześćdziesięciu, i to następnie ściągnęło na mnie grzywnę w kwocie 25 rb, że nie dałem znać policji o tak licznym zgromadzeniu. Pod nieobecność Sienkiewicza w Warszawie zaprosiłem na przewodniczącego Stefana Żeromskiego. Po długich debatach uznaliśmy, że skoro Wawel jest zamknięty, Słowacki powinien być pochowany u św. Jana w Warszawie, tymczasem zaś postanowiliśmy umieścić tablicę z odpowiednim napisem w domu przy ul. Elektoralnej 20, gdzie w prawej oficynie mieszkał za pobytu w Warszawie. Dom ten stał po prawej stronie, idąc od pl. Bankowego, niedaleko wylotu ul. Orlej. Żeby uniknąć napisu w dwóch językach, wykonaliśmy ten zamiar już za okupacji niemieckiej podczas pierwszej wojny światowej.

Najwspanialszym objawem hołdu dla Słowackiego w okresie niewoli, pomijając mnóstwo zebrań, że się tak wyrażę, pokątnych, był wielki zjazd we Lwowie późną jesienią 1908 r., którego głównym organizatorem był prof. Wiktor Hahn. Zjazd był niezmiernie liczny; zewsząd zjechało się wiele delegacji, zwłaszcza ze świata literackiego i nauczycielskiego. Z Wilna przyjechały przedstawicielki nauczycielek prywatnych, pp. Ludwika Życka i kuzynka moja Justyna Dmochowska, a świat lekarski reprezentował wielki znawca przeszłości Wilna dr Zahorski. Zjazd trwał trzy dni z posiedzeniami plenarnymi i komisyjnymi, a odczyty i przemówienia dotyczyły twórczości i życia Słowackiego.

W ratuszu odbył się wspaniały bankiet, wydany przez miasto z udziałem namiestnika prof. Michała Bobrzyńskiego, marszałka Stanisława Badeniego i różnych dygnitarzy. Prezydentem miasta był mistrz szewski, którego nazwiska nie pamiętam, ze stronnictwa mieszczańskiego, nazywanego przez jednych „strzelnicą“ a przez innych „tromtrandracją“. Miasto używało wtedy tytułu „Stołeczne miasto Lwów“. Dyrektorem teatru lwowskiego był Marian Gawalewicz, mój dobry znajomy z Warszawy. Wystawił wówczas „Kordiana“, „Sen srebrny Salomei“ i „Niepoprawnych“ z p. Wandą Siemaszkową i Michałem Tarasiewiczem w głównych rolach. Po teatrze odbywały się jeszcze zebrania w Tow. Literackim, gdzie wodził rej kochany prezes Adam Krechowicki, albo w hotelu Żorża. Spędziliśmy tam z żoną przeszło cały tydzień. Lwów wystąpił wówczas z wnioskiem o pochowanie zwłok Słowackiego we Lwowie, jako mieście bliższym rodzimego Wołynia i Krzemieńca.

3

Zygmunt Krasiński zdobył sobie miejsce w trójcy naszych nieśmiertelnych wieszczów nieco innymi od pierwszych drogami, powiedziałbym, że zdobył je jakby szturmem swym fenomenalnym na tak młodzieńczy wiek i tak daleko sięgającym w przyszłość arcydziełem „Nie-boską komedią“ oraz porywającą prozą, a w niej zawsze celował bardziej niż w wierszach. „Le poëte anonyme de la Pologne“, jak go nazywał Julian Klaczko, był znany wcześniej z nazwiska ogółowi czytającemu w Polsce, był znany i podziwiany, chociaż nigdy ani za życia ani po śmierci nie spotkał się z takim kultem, jak Mickiewicz i Słowacki.

Pamiętam, jak za uczniowskich czasów rozczulaliśmy się nad biednym Orciem i jego nieszczęśliwą matką, a w r. 1887 w 75-ą rocznicę urodzin



U góry : posąg Mickiewicza po dokonanim odlewie w Pistoji ; w środku : widok dawnego skweru w Warszawie, na którym stanął pomnik ; u dołu : uroczystość odsłonięcia pomnika.



Na lewo u góry : windowanie posągu ; w środku : Cyprian Godebski, twórca pomnika ; u dołu : Henryk Sienkiewicz, wiceprezes komitetu budowy pomnika ; z prawej u góry : posąg ; u dołu : klucz.



Na lewo u góry : pomnik Słowackiego w Miłosławiu ; w środku : Ludwika Śniadecka według portretu Prószyńskiego ;
u dołu : Maria Wodzińska ; z prawej u góry : grób Słowackiego na cmentarzu Montmartre w Paryżu ; u dołu :
Joanna Bobrowa.



U góry: scena z „Irydiona“ w reżyserii Arnolda Szyfmana (dekoracje Karola Frycza), wystawionego w r. 1913 w Teatrze Polskim; u dołu: scena z „Nie-boskiej komedii“ w reżyserii Szyfmana (dekoracje Wincentego Drabika), wystawionej tamże w r. 1920.

poety na dość licznym zebraniu odczytywaliśmy ustępy jeszcze nie dopuszczanych przez cenzurę utworów, m.in. z „Dnia dzisiejszego“ i „Ostatniego“. Ten poemat specjalnie mnie wzruszał, tkwi w nim, jak teraz widzę, coś istotnie wieszczonego: — owa tragiczna postać zesłańca na Sybir, o którym, gdy nadszedł dzień wyzwolenia Polski i powrót wszystkich ofiar z wygnania — zapomniano; zostaje sam, wyczekując już tylko śmierci! Iluż to teraz takich „ostatnich“, takich zapomnianych, zastęga w tych tundrach i kopalniach!

Wiele drobniejszych liryk ukazało się w druku dopiero w dwadzieścia parę lat po śmierci poety, naprzód w „Kronice Rodzinnej“, subydiowanej przez Ordynację Krasińskich, a potem w pełnym wydaniu pod redakcją prof. Józefa Kallenbacha. Znaczną część listów do Delfiny z Komarów Mieczysławowej Potockiej ogłosił prof. Adam Żółtowski.

Wszystko, co wyszło spod pióra poety, było otoczone największym pietyzmem, o co szczególnie dbała jego synowa Róża z Potockich 1^o voto Władysława Krasińska, która po wczesnym owdowieniu wyszła powtórnie za mąż za Edwarda Raczyńskiego, poprzednio męża jedynej córki poety Marii, zmarłej w r. 1884.

Krasiński spoczął w kraju, pochowany w grobach rodzinnych w sklepionych podziemiach kościoła opinogórskiego. Raz tylko jeden tam byłem, i to na pogrzebie wnuka jego Adama, na który kilku pociągami przyjechało mnóstwo osób z Warszawy, dojeżdżając koleją do Ciechanowa. Wiosna owego roku była niezmiernie spóźniona; pomimo daty kalendarzowej 15 maja drzewa miały zaledwie pączki. Na tle szarego mazowieckiego nieba ujrzeliśmy z dala trzy pagórki, opisane niegdyś przez młodego Zygmunta, później białe mury kościoła w stylu, o ile sobie przypominam — barokowym, dość skromnym zwyczajny dwór wiejski i okrągłą, w kształcie klasycznej świątynki, oficynę. Edward Krasiński zapowiadał, że dopiero po całkowitym wybudowaniu i wykończeniu nowej biblioteki w Warszawie przystąpi do odbudowy dawnego dużego domu mieszkalnego, jak to zamierzał uczynić ś.p. Adam. Dziwny był nastrój tego pogrzebu, bo mimo woli czuło się, że to jest zarazem hołd oddany wielkiemu dziadowi, wielkiemu poecie, jednemu z rządców serc, tym bardziej że i zmarły posiadał iskrę talentu i obok studium o mistyce dziada wydrukował w „Bibliotece Warszawskiej“, której był jakiś czas redaktorem, piękny sonet o szarzy samosierrskiej. Nastrój ten przebiegał i w rozmowach i w przemówieniach, wygłoszonych przez Antoniego Ossuchowskiego i Ignacego Chrzanowskiego.

Nie zdaje mi się, aby wśród szerokiego ogółu późniejsze pisma i utwory, tworzone pod wpływem filozoficznych teorii Augusta Cieszkowskiego, nawet „Przedświt“ i „Psalmy przyszłości“, zrobiły wrażenie i zdobyły takie powszechne uznanie, jak „Nie-boska komedia“ i „Irydion“. Filozofia historii Cieszkowskiego, zbyt przesiąknięta Heglem, była nieco mętna i trudna do strawienia. Mówił mi kiedyś ambasador Edward Raczyński, przyrodni brat Adama, że w bibliotece odziedziczonego po Cieszkowskich majątku, Wierzenicy, znalazł egzemplarz pierwszego wydania „Przedświtu“, ofiarowany przez poetę filozofowi z dedykacją: „Temu, który natchnął — natchnięty“.

Najwymowniej — zdaniem moim — oddano hołd pamięci wielkiego poety przez wystawienie w teatrze „Nie-boskiej komedii“ i „Irydiona“. „Irydionem“ otworzył wspaniale swoje podwoje Teatr Polski w Warszawie pod dyktando Arnolda Szyfmana. W tym samym teatrze święciła później tryumf „Nie-boska“ bez żadnych skrótów i opuszczeń.

LE THEATRE C'EST MOI

RZECZ O LUDWIKU SOLSKIM

Karol Hubert Rostworowski posłał Solskiemu egzemplarz „Niespodzianki“ z prośbą, by wielki artysta zagrał rolę ojca. Solski przeczytał sztukę i zadepešował do Rostworowskiego: „Rola matki lepsza“, na co autor dał telegraficzną odpowiedź „Ludwik, graj matkę“. W rezultacie przecież Solski grał ojca. Ale, na dobrą sprawę, mógłby zagrać rolę matki. On może grać absolutnie wszystko, najchętniej zaś grałby w jednej sztuce wszystkie role za wszystkich aktorów i za wszystkie aktorki. O ile dana sztuka ma ilustrację muzyczną, Solski denerwuje się myślą, że ktoś inny, nie on sam, prowadzi orkiestrę. W „Wielkim Fryderyku“ Nowaczyńskiego bębnił osobiście, ponieważ był zdania, że fachowy dobosz z orkiestry teatralnej nie ma zielonego pojęcia o tym, jak bębnić. Poza tym Solski chętnie maluje sam, osobiście, dekoracje. Fryzjera teatralnego nie cierpi, sam doskonale umiejąc lepić wąsy czy brodę. Grając Petrucchia w „Poškromieniu złošnicy“, zmienił przekład, zdaje się, Koźmiana, i z wiersza białego zrobił wiersz rymowany. Co prawda, rymy te dosztukował tylko do własnej roli, resztę zaś tekstu zostawił na biało. Grając np. Samozwańca albo Iwana Groźnego, lubił znieacka, w stroju koronacyjnym, sprawdzić kasę wieczorną i podyktować szybko jakiś komunikat dla prasy. Kiedyś przyszedł do teatru fachowy baletmistrz, żeby ułożyć jakieś ewolucje taneczne, ale Solski zaraz przepędził go na cztery wiatry i sam lepiej, o wiele lepiej skomponował ten balet*).

Pisząc jeszcze przed wojną o tym tajemniczym, niesamowitym zjawisku, wypowiedziałem opinię, że najlepiej dałoby się określić je za pomocą znaku chemicznego. Solski, to mieszanina, zawierająca chyba z 75% nitrogliceryny plus trochę okrzemków plus pewna ilość sody. Nie zadowolili mnie ta formuła dynamitu. To pewne, że Solski nie jest człowiekiem. Raczej należałoby zmierzyć Solskiego w cm/sek^2 . Jest to właściwie samo przyśpieszenie, mianowicie to, które obserwujemy przy ruchu krzywoliniyjnym, gdzie oprócz przyśpieszenia stycznego do drogi występuje przyśpieszenie došrodkowe, skierowane ku šrodkowi krzywizny drogi i równe ilorazowi z kwadratu prędkości przez promień krzywizny.

Obawiam się, że czytelnik może uzna tę definicję za nieco trudną do zrozumienia. Nie dziwię mu się. W każdym razie przepisałem to żywcem z encyklopedii. Solski naprawdę jest przyśpieszeniem, jest kwadratem jakichš tajemniczycy ilorazów czy promieni, czy też czegoš innego jeszcze.

Solski, to dziwne zjawisko, to złoże uranu, ten promieniotwórczy pierwiastek, ma lat 90. Niech dożyje 100 ! I drugich 100 ! I jeszcze ! I jeszcze ! W tym tajemniczym zjawisku kochamy zjawisko większe i bardziej tajemnicze — zjawisko teatru polskiego. On, Solski, wyraża cały teatr

*) Wyspiański scharakteryzował tę uniwersalność Solskiego w wywiadzie, udzielonym „Nowej Reformie“ (22 lutego 1905 r.), mówiąc o swych planach, jako kandydat na dyrektora teatru krakowskiego: „Nie potrzeba tu osobnej kategorii aktorów, w rodzaju Solskiego we Lwowie, który zajmuje się wszystkim, trudno by zreszta było znaleźć drugiego Solskiego“.

polski, jego żywotność, jego siłę promieniotwórczą, jego radioaktywność, jego piękno nieśmiertelne. On jest sam teatrem polskim! On, który, zmieniając słowa Ludwika XIV, mógłby rzec: „Le théâtre c'est moi!“ Wymawiamy zaklęcie magiczne „Solski“, i oto suną przed nami w polonezie setki, setki postaci. Słowacki, Fredro, Wyspiański (w „Nocy listopadowej“ grał równocześnie trzy role, Potockiego, Satyra i Łukaszińskiego!), Szekspir, Moliere, Schiller. Widzę go, jak siedzi w piekarni, w dworku, w Krzemieńcu, i słyszę jak śpiewa piękną „Koledę“. Ale widzę Solskiego także w „Horsztyńskim“! I jako krawca w Rydla „Z dobrego serca.“ I jako dziadzia w „Betlejem polskim“ tegoż Rydla, i jako „Ptasznika w „Mieszczanach“ Gorkiego, i jako Dyndalskiego. I w ponurej a słońcem włoskim oblanej „Beatrix Cenci“! W oczach się ćmi i dwoi, bo nagle widzę aż dwóch skąpców: jeden, to Harpagon Moliera, drugi, to Łatka z „Dożywocia“ Fredry. I nie wiem, który z nich lepszy! Który bardziej śmieszny i który bardziej drapieżny i który bardziej ludzki!? Ach, obaj są lepsi! Ambo meliores!

W tym korowodzie masek, w tym karnawale, porywającym oczy, stąpa mnóstwo, ogromne mnóstwo królów i carów i władców tego świata. Lubił ich grywać Solski. Jego—tyrana, jego—Duce teatru, jego—Ludwika I sceny polskiej, zachwycały role w koronie albo w czapce Monomacha.

Jako Samozwaniec był wręcz niezrównany w sztuce Nowaczyńskiego. Dobry był i Paweł I w sztuce Mereżkowskiego, którą Solski, zarówno jako aktor jak i jako reżyser, przepoił na wskroś atmosferą lęku, nerwowego niepokoju, obłędu. Maszynistom, meblarzom, rekwizytorowi i t.d. leciało wszystko z rąk. A cóż dopiero mówić o aktorach! Jezus Maria! To było piekło w teatrze, osiągnące zenit w scenie duszenia cara szarfą. Solski był zawsze niezadowolony, zawsze kłął na aktorów i mówił co spektakl, że jeszcze go nigdy tak źle nie dusili. A to trudna rzecz: dusić możliwie najbardziej realistycznie, dusić w 99% naprawdę, a przecież nie udusić. Wydaje mi się, że Solski był zawsze nierad z powodu, iż brakowało jeszcze 1%.

Proces duszenia miał następujące stadia: 1) któryś z oficerów uderzał cara pięścią; 2) inni spiskowcy kopią cara, leżącego na ziemi; 3) ktoś zrywa szarfę i zaciska ją carowi na szyi; 4) car ostatnim wysiłkiem powstał i chce uciekać; 5) gdy już jest na trzecim stopniu schodów, ktoś — może Pahlen (Maks Węgrzyn) — łapie za szarfę, zwisającą z pleców cara, i przewraca go; 6) car spada ze schodów tyłem, na plecy; 7) gdy już jest na poziomie sali, spiskowcy zaczynają go wlec po schodach do góry; 8) car po kilku kwikach, rżąc, kona.

Punkt 7 jest może najtrudniejszy i wymaga największej precyzji, rzecz bowiem polega na tym, aby publiczność miała pełne, stuprocentowe złudzenie, t. zn. by nie zauważyła, że Solski w ostatniej sekundzie ręką schwytał szarfę pod brodą, dzięki czemu można go było wlec po schodach bez obawy zaduszenia naprawdę. Ale on, umierając, syczał bez przerwy: „Żle! Żle!“

Zanim przecież spróbuję zanalizować, rozłożyć na czynniki, zdemontować ten fenomen, jakim jest „le Directeur-Soleil“, Ludwik I Solski, chciałbym ponownie dać wyraz głębokiej radości, jaka ogarnia mnie na myśl, że świetny artysta żyje, że przetrzymał wojnę, grozę okupacji, powstanie, zapewne biedę, trudności, może głód, że chce żyć i chce grać. Ten aktor gra od 70 lat! Gra pełną parą, nie odsetkami, nie procentami talentu. Daje zawsze siebie całego. Daje w nadmiarze, który jest cechą

najbardziej charakterystyczną Solskiego. Czuję, że nawet rola Ciaputkiewiczza, którą wybrał na swój jubileusz, była trochę przegrana, przerysowana, niewolna od szarży, a przecież doskonała — doskonałością Solskiego. I jakże się nie wzruszać na myśl że ten fenomen uchował się, że gra pełnią tonu! Ze został na pewno taki sam, jaki był przy swych jubileuszach poprzednich!

„Kamiński grał lepiej Fryderyka, niż Solski“ ... — mówiono w teatrze. Nonsens! Grał na pewno inaczej. Kamiński to umiar, Solski to nadmiar. Kamiński to dyskrecja, Solski to szal gry. Kamiński to precyzja, Solski to codzienna improwizacja. Kamiński to finezja rysunku, Solski to szkic zaledwie, to jakieś plamy, to jakieś światła i cienie skłębione, to niespodzianka, to zaskoczenie, to ofensywa. Rola, każda rola Kamińskiego, to jakby świetny obraz, który oglądamy w muzeum, ciesząc się, że zawsze jest taki sam, tak samo doskonały, zrównoważony, tak geometrycznie dokładny, tak japoński w rysunku, tak rembrandtowski w grze światłocienia, tak klasyczny i tak znany, że wiemy naprzód z góry — w którym miejscu, w jakiej scenie, ogarnie nas fala śmiechu czy wzruszenia.

Kamiński — powtarzam, że porównywanie jest nonsensem! — podczas prób zaznacza kredą na podłodze, jak ma stać każde krzesło. Cztery punkty wykreślają pozycję w sposób kategoryczny. Przed zaczęciem spektaklu Kamiński idzie na scenę, by sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak zarządził. Gdy partner zmieni już nie sytuację, ale dystans, przybliżając się lub oddalając o pół kroku, Kamińskiego wytrąca to z równowagi. Wszystko, wszystko musi być na milimetr tak samo jak było podczas prób. Kamiński spędza długie godziny nad charakteryzacją. Kamiński jest katem wobec krawców. Sam dawno już przeniósł się do Warszawy, a przecież, jeśli idzie o spodnie, sprowadzał je z Krakowa, bo tylko jeden krawiec, jeden w Polsce, i jeden na świecie, mianowicie niejaki Hyży, umiał zadowolić Kamińskiego, choć sprawa osiągnięcia ideału nie była łatwa. W legendzie teatralnej przechowała się informacja, że Kamiński kazał sobie brać miarę na spodnie. . . leżąc.

Solski ubiera się podle, przepodle. Ubrania, nawet, o Boże, nawet frak, kupuje gotowy. Gdy przed wielką wojną młody aktor musiał krawcowi zapłacić albo właściwie obiecać krawcowi, że zapłaci, o ile się nie mylę, 100 koron za frak, Solski nie mógł tego pojąć. Krzyczał, że to rozrzutność, że utopia pieniędzy. On za swój frak zapłacił niespełna połowę tej sumy... „I widzi pan, jak leży?“.

Ten frak leżał okropnie. Właściwie nie leżał ale wisiał na ciele drobnym, chudym, niepozornym, które Solski watawał w pewnych sztukach, w pewnych zaś jeszcze, jeszcze... odchudzał. Np. jako Chudogęba w „Wieczorze Trzech Króli“ Szekspira podkreślał niesamowitą wątość nóg w ten sposób, że pod trykot, na jabłku kolana umieszczał... pudełko zapalek, którego ostre kanty sublimowały chudość lydek w sposób niesamowity i zarazem w sposób nieprawdopodobnie komiczny. Na odwrót, grając inną rolę, więc np. biskupa Gamrata w oleodruku Rydla, zwanym „Trylogią Zygmuntofską“, Solski dźwigał cetnary watówek, oprócz tego zaś zmaistrował sobie wól, nawet potrójny wól, zwisający w polciach od brody aż na brzuch.

Zazwyczaj aktor ma, musi mieć t.zw. „warunki“. Musi być rosły albo mały, piękny albo brzydki, chudy albo gruby, musi mieć coś, co go kwalifikuje do ról np. salonowych, do chłopskich czy do czarnych charakterów. Solski jest zaprzeczeniem „warunków“. Nie ma ich w

ogóle. Nigdy nie gra samym sobą. Np. nie mogą sobie przypomnieć roli Solskiego, w której pozostałby przy swoim własnym nosie. Zużywa nieprawdopodobne ilości t. zw. „Nasenkitu“. Włosy własne? Przenigdy! Musi być peruka. Wzrost? Zazwyczaj korki w bucic albo, na odwrót, obcasy w ogóle obcięte, postać zgarbiona. Nie chce być sobą na scenie, chce być i jest zawsze kimś innym. Sztuk współczesnych raczej nie lubi, przekładając nad nie repertuar kostiumowy, z przebranką co akt, repertuar w którym da się zastosować jakieś tricke transformistyczne.

Stąd pochodzą pewne pomyłki Solskiego. Np. w „Królu“ Caillave'a i de Flersa grał detektywa, który co chwila występuje w innym przebraniu. Dowcip i sens polega na tym, aby publiczność od razu, w sekundzie jednej, poznała że to jest ciągle ten sam detektyw, Solski zaś zmieniał się tak dokładnie i z takim mistrzostwem, że nie poznawał go nikt, skutkiem czego powstawało raczej nieporozumienie. Solski wprowadzał publiczność w błąd, był bowiem co chwila kimś innym, więc np. fryzjerem czy tapicerem, zamiast być zawsze i stale tym samym, niedołącznie ukrywającym się, detektywem.

Dziwny aktor! Nie mogę go porównać z żadnym innym. Frenkiel, ten monolit romański, grał samym sobą, nie zmieniał się zewnętrznie ani trochę — może dlatego, że nie mógłby nic zmienić w swej postawie, zwłaszcza w swym nosie, decydującym o wyglądzie całości. Jaracz? Adwentowicz? Wydaje mi się że Jaracz albo Adwentowicz mogliby grać nie tylko bez kostiumów, ale po prostu nago, nawet bez listka figowego, mogliby grać bez dekoracji, bez światła, bez estrady. Ich gra paliła się w środku nich, wybuchając u Adwentowicza płomieniem, u Jaracza skurczem bolesnym, i to nawet, nawet w komedii. Jaracz miał w sobie demona teatru, miał w każdym słowie ciężar gatunkowy ołowiu. U niego proste słowo, zwyczajne „tak“ czy zwyczajne „nie“, spadało jak młot, jak tyśiątonowy kafar. Jaracz ze wszystkich aktorów, jakich widziałem, wydaje mi się być najbliższy kapłanowi greckiemu, który grał u ołtarza. Jaracz był sam w sobie misterium wcielonym. W jednym uśmiechu np. Frania z komedi Perzyńskiego, w jednym geście ogromnie zabawnym, krył się ogrom tragedii. Jaracz rozsadzał ramy każdej komedii czy dramatu, pogłębiał je, nagiął, oblewał ponurym blaskiem swej sztuki.

Junosza-Stępowski? Także aktor, który jak Solski wiele wagi przykładał do charakteryzacji, do cech zewnętrznych, ale zarazem aktor skupiony, fechtmistrz dialogu, tygrys zaczajony wpół skoku, cichy, dyskretny, nie mający w swej grze nic z kabotyńszczyzny, z męzczyzny, z zimnego drania. Jego snobizm czy kabotyńszczyzna, uprawiany w życiu, nie ciążył nigdy na jego rolach, granych od niechęci, po impertynencku, półgłosem, czasem nawet szeptem, zawsze z sordynką, która drażniła widza, gdyż widz zadawał sobie pytanie, jakim tonem odezwie się Junosza, odłożywszy tę sordynkę. To gra nonszalancka, pełna lekceważenia dla efektów, które właśnie dlatego wywoływały efekt niezrównany.

Któż jeszcze? Któż jeszcze, by kontynuować ten bezsens porównawczy? Osterwa? Ależ on gra tylko sobą, wyłącznie, jedynie sobą! Czarus! Przeciwnieństwem biegunowe Junoszy, ma w swych półuśmieszkach jakieś „das ewig weibliche“, jakieś rozleniwienie, jakiś nieuchwytny wdzięk, którym zdobywa całą widownię, wodząc po sali wzrokiem Don Juana a widząc tylko siebie. Narcyz naszej sceny, zakochany śmiertelnie we własnym obrazie, odbijającym się w lustrze widowni. Aktor świetny! Chyba najlepszy amant, jakiego było mi dane widzieć w życiu.

A Solski? Przede wszystkim skala nieograniczona, chęć zagrania wszystkich ról, chęć zdobycia nieograniczonej przestrzeni życiowej w dramacie całego świata. Nic, co jest teatralnego, nie jest mu obce. To imperialista! To konkwistador, któremu zawsze za mało. To niedosyt gry. Każda sekunda spędzona w kulisach, nie na scenie, jest dla niego męką. Będąc na scenie, cierpi w momentach, które są aktywne dla partnera czy partnerki, statyczne, bierne dla niego samego. Walka o sukces, o brawo, o szmer, czy zgoła szmerek widowni, o jej uśmiech, jest niczym innym, tylko walką o byt w znaczeniu darwinowskim. Nadto, dla Solskiego byt poza sceną równa się niebytowi, graniczy ze śmiercią albo nawet jest tą śmiercią. Scena i gra stanowi dla niego prawdę jedyną, życie natomiast przedstawia się jego wyobraźni jako ułudą, jako fikcja, niewarta zachodu i wysiłku. W teatr, w grę, w gierki wkłada całego siebie, bez reszty. Spala się doszczętnie co wieczór, zgrywa się do nitki, a zrzuciwszy z siebie kostium, perukę, oderwawszy nos, staje się zaledwie sztafżem, rusztowaniem, właściwie niczym. Ludzie, którzy go obserwują, nie mogą wyjść z podziwu na myśl, że on przecież potrafi żyć życiem normalnym, ludzkim, że je prawdziwe potrawy, nie rekwizyty, że pije z pełnego kieliszka, nie z pustego a złotego pucharu.

Jeśli rzekłem, że Jaracz stoi najbliżej ołtarza misterium, że jest kapłanem, tedy wydaje mi się, że Solski, choć sam jest zjawiskiem tajemniczym, przecież stoi bardzo daleko od misterium. To nie kapłan, to raczej jocolator Dei. To żongler, to akrobata, prestidigitator, transformista, człowiek-waż, tancerz na linie. Od Jaracza bije sofoklesowska groza tworzenia, w grze Solskiego jest beztronska radość. Nad całym teatrem Jaracza ciąży chmurą ogromną fatum, nad całym, nieporównanie rozleglejszym, teatrem Solskiego świeci słońce, cygańskie, studenckie, przy tym wszystkim sztuczne, słońce-jupiter o tyłu a tyłu tysiącach watów. Jaracz otwiera swą grą kurtynę wieczności, Solski—kurtynę po prostu teatru, niczego więcej. Ale to jest właśnie pociągające! Jaracz jednym bolesnym grymasem daje nam znać, że cierpi naprawdę. Solski każdym swym grymasem daje znać, że gra, że tylko gra.

Dość tego porównania! Ambo meliores! Znowu obaj, każdy inaczej, wyrażają rzecz tę samą, a mającą dwa bieguny, czy biegunów tysiące, więc teatr w ogóle, polski w szczególności. To niezliczona ilość promieni, światła, barw, blasków. Solski, daleki będąc od misterium, stoi zato bliżej innego elementu, mianowicie bliżej „commedia dell'arte“. To wcielenie Arlekina czy Tartaglii, ale Arlekina czy Tartaglii pierwotnych, nie tych, których odrodził i na nowo puścił w ruch Carlo Gozzi. Więcej powiem: Solski, to ześrodkowany w jednym człowieku teatr marionetek, przy czym ten sam, jeden, pojedynczy człowiek nie tylko skupia w sobie wszystkie postaci, wszystkie maski, ale ponadto ma w ręce wszystkie sznurki, nadaje tym kukłom życie, w sposób imperatywny i nieomylny zarazem zmusza widownię, by w tych groteskowych podskokach figurek, w ich niesamowitej ruchliwości, w ich tańcu św. Wita dopatrzyła się nie czego innego, ale życia. Widzowie podczas występów Solskiego przypominają małe dzieci: siedzą z otwartymi ustami. Gdy zapadnie kurtyna, nie chcą iść do domu. Opuszczają teatr z żalem, jak z żalem opuszcza go Solski.

Żywot Solskiego przedstawia w skrócie ewolucję położenia społecznego aktora. Jego debiut należy niemal do tych czasów, gdy honorarium wyrażało się w kiesce dukatów rzuconej na scenę, albo w prezencie benefisowym, albo co najwyżej w złotym zegarku czy taba-

kierce, jaką zwykli byli np. carowie rosyjscy obdarowywać koryfeuszów polskiej sceny. Jakaż rozpiętość między tą kieską dukatów, rzuconą przez urzędniego widza, a tą ilością państwowych odznaczeń, komandorii przeróżnych, które Solski zaczął otrzymywać na długo, długo przed wybuchem wojny obecnej!

Wielkie to święto, jubileusz Solskiego. Łączy ono łukiem wspaniałym dawne i młodsze lata, jest naprawdę arką przymierza między tym, co było, co jest, i tym, co będzie. W zwierciadle sztuki Solskiego przegląda się życie wielu, wielu pokoleń. Był on radością tych pokoleń, ich wzruszeniem artystycznym, ich szkołą. Uczył śmiać się i uczył płakać. — Należy do tych czasów, gdy np. „Mazepę“ Słowackiego wolno było wystawiać jako dzieło nie Słowackiego, ale pod inicjałami „J.S.“. Gdy król Jan Kazimierz w tymże „Mazepie“ był tylko... księciem. Gdy z finału „Zemsty“ wykreślał cenzor rosyjski słowa: „Zgoda, zgoda — a Bóg wtedy rękę poda“. Gdy owe słowa zastępował gest, o ileż wymowniejszy, bo zrozumiany jeszcze serdeczniej, a wywołujący burzę oklasków.

Debiutem swym sięga Solski czasów, których jeszcze nie obejmuje powieść Sewera „U progi sztuki“ ani tym bardziej Reymonta „Lili — żałosna idylla“. Solski zaczyna grać przy świeczce, co najwyżej przy nafcie, gaz przychodzi już w życiu dojrzalszym artysty, elektryczność oświetla je dopiero pod koniec minionego wieku. Lecz jest to jeszcze elektryczność w powijakach, której siły rozwiną się i buchną tysiącami watów, rozpalą się w „jupiterach“, rywalizujących z samym słońcem.

Tak, od świeczki łojowej, poprzez lampkę naftową, poprzez siatki gazowe aż do „jupiterów“! Czy jest drugi aktor w świecie całym, który by swą karierę mógł przedstawić tak plastycznie, za pomocą skali światła?

Interesująca jest sylwetka Solskiego jako dyrektora. Objął teatr krakowski w okresie niebywałej koniunktury, bo na przełomie 1905 i 1906 r. Kraków zaroił się wówczas od królewiaaków, którzy tu studiowali, tu bawili się, tu spiskowali. Kraków miał poza tym wielu bogatych gości, którzy leczyli się u słynnych krakowskich lekarzy, wypoczywali po wstrząsach rewolucji albo też robili rewolucję bodaj na uniwersytecie. Przez Kraków musiał jechać każdy w drodze do „perły Tatr“, czyli do Zakopanego, które naówczas poczyniło się rozrastać i stawać czymś niezbędnym. Ruch przejezdnych na wiosnę i z początkiem jesieni zmuszał do trzymania zawsze pod parą wszystkich sztuk, zabronionych w rosyjskim czy pruskim zaborze. Obok wielkich, wzniosłych przedstawień, Kraków karmił przejezdnych patriotów szmirą, zrobionymi na chybcika wznowieniami, lecz Muza „Wyzwolenia“ miała słuszną, charakteryzując rolę sceny krakowskiej słowami:

*Ktokolwiek zjdziesz w polskiej ziemi
i smucisz się i czoło kryjesz,
z rękoma w krzyż załamanemi
biadasz — przybywaj tu — odzjdziesz!*

*W przestrzeń rzucimy wielkie słowa,
tragiczną je ubierzem maską.
Ktokolwiek wiesz, co znaczy polska mowa,
przybywaj tu — odzjdziesz Słowa łaską.*

I przybywali. I odżywali. I pełno było w kasie. I widownia płakała na „Dziadach“, na „Kościuszcze“, na „Tamtym“, na „Kordianie“. A Solski? Był dobrym dyrektorem. Już po śmierci Wyspiańskiego olśnił Kraków inscenizacją „Nocy listopadowej“. W stulecie urodzin Słowackiego dał cykl olbrzymi utworów poety, zdaje się, dwanaście sztuk.

Gdy z perspektywy tak wielu lat i tak wielu tysięcy kilometrów patrzę na to, mąci się w mej głowie. Kalejdoskop, cyrk, kino, fabryka, a w tym wszystkim tylko Solski, Solski i jeszcze raz Solski. Lecz ten teatr zostawił we mnie nigdy nie zatarte wspomnienie rzeczy pięknej. Sądzę, że jest to piękno szczególne, takie, jakie ma każdy szkic, rzecz niedokończona, rzucona lekko, ledwie zarysowana, znacząca się jakimiś plamami, światłem i cieniem. Szkic pozostawia zawsze apetyt i niedosyt, rzecz skończona, wypracowana do ostatniego szczegółu, dość często nuży.

Solski improwizował w tempie galopu, gdyż musiał dawać co tydzień premierę, przy której najbardziej sfatygowaną osobą był sufler. Teatr Solskiego może sam nie był pięknością, lecz przez ten teatr i przez diabła tego teatru, przez demona-Solskiego, płynął strumień piękności, strumień zaczarowany, grający w słońcu elektryczności wszystkimi barwami tęczy, strumień żywy, strumień wiecznego życia, zwanego teatrem. Strumień ten odznaczał się przedziwną chłonnością. O czym tylko Solski zasłyszał czy przeczytał, o czym mu doniesiono, zaraz próbował sam tej rzeczy na sobie czy na pacjentach-aktorach, i nadawał jej zawsze piętno własne, piętno twórczego niepokoju, gorączki i niezadowolenia z tego, co dopiero powstało. Było to, jeśli użyję terminu niemieckiego, jakies ustawiczne „das Werden“.

Teatr Solskiego, a właściwie sam Solski był wcieloną energią kinetyczną i zarazem opierał się jak gdyby na kinetycznej teorii materii: składał się cały z wszystkich nerwów Solskiego, z drobnych cząstek, z molekułów, będących w ruchu nieustannym. Od tego ruchu gmach przy pl. św. Ducha drżał, dygotał i wibrował, aż drżało wszystko wokół, aż echo szło daleko.

A teraz, przed kilku miesiącami, drżał Teatr im. Słowackiego od braw, od huraganu oklasków, witających Solskiego w dniu jubileuszu. Solski jest człowiekiem zachłannym, dlatego też wyobrażam sobie, że pojedzie ze swym jubileuszem, dokąd się tylko da pojechać. Do szczęścia brakuje na razie tego, by spektakl jubileuszowy zawędrował tam, skąd sztukę polską wygnano, do Lwowa i do Wilna.

Łącząc się z widzami spektaklu krakowskiego, bijemy brawo, aż nam puchną ręce. I krzyczymy „Solski ! Solski ! Solski !“. I milkniemy wszyscy. I stoimy na baczność przed wielkim artystą. I, nie wstydząc się ani trochę, robimy niewłaściwy użytek z chustki do nosa, przykładamy ją bowiem do oczu. I życzymy Solskiemu jubileuszu w stulecie, ale koniecznie z tym, aby powtórzył ów jubileusz we Lwowie i Wilnie ! Amen !

Coraz to bardziej dokuczają nam nasi demokraci: Kremowiecki, Czyński, X. Puławski, I. B. Ostrowski szkalowaniem wszystkiego co polskie; niczym już byłoby dla nich przeszłość historyczna, zasługi przodków, dawna polska szlachetność, odwaga, serdeczność. Gdziekolwiek wystąpił który z nich z piórem czy przemówieniem, w dziennikach, lub na jakim bądź zebraniu Francuzów, — a do wszystkiego się cislali, że wszystkiego korzystali, — to o niczym innym nie mówili przed cudzoziemcami, jak o okrucieństwie panów i szlachty, o ciemieniu chłopów, wystawiali duch demokracki Gontów, Doroszeńków, Chmielnickich, oskarżali o zdradę i sprzedajność królów i hetmanów naszych. Pułascy i Kościuszko, książę Józef, byli to ciemiężcy ludu lub służyli za narzędzie ciemiężcom.

IGNACY DOMEJKO.

(Pamiętniki. Kraków 1908; str. 169)

SVIO-POLONICA

Wojna nie tylko zniszczyła całkowicie życie naukowe w Polsce, ale zaciążyła fatalnie nad wszystkimi badaniami poza Polską, Polski dotyczącymi. Najważniejszym momentem było przerwanie kontaktu z polskim światem naukowym, niemożność korzystania ze źródeł polskich, ale nie małą rolę odgrywał również fakt, że zainteresowania badawcze Polską zostały w wielu krajach poddane potrzebom koniunktury wojennej. Tym bardziej zasługuje na uwagę skromne, ogółowi polskiemu zupełnie nie znane środowisko naukowe, które stawia sobie za cel studia nad zagadnieniami polskimi i do celu tego dąży w sposób budzący całkowity szacunek.

Leżą przede mną cztery pokaźne zeszyty wydawnictwa zatytułowanego „Svio-Polonica“. Publikacja znana jest szerszemu inteligentnemu ogółowi polskiemu równie mało jak i mające pieczę nad tym wydawnictwem Tow. Naukowo Szwedzko-Polskie przy uniwersytecie w Stockholmie. Tych kilkaset stron, wypełnionych pracami, pisanymi przeważnie w języku szwedzkim, stanowi nie tylko wyraz szczerego, poważnego zainteresowania zagadnieniami polskimi wśród szwedzkich naukowców, ale poza tym zawiera materiał, z którego będzie musiał zawsze czerpać każdy badacz stosunków Polski ze Skandynawią. Dla każdego zaś Polaka, któremu bliskie są zainteresowania innych narodów naszym krajem, wydawnictwo to stanowi dodające otuchy świadectwo współpracy polsko-szwedzkiej na polu naukowym.

Towarzystwo, którego organem są owe „Svio-Polonica“, powstało bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, skupiając głównie grupę historyków szwedzkich, zainteresowanych szczególnie badaniem stosunków polsko-szwedzkich. Duszą tej małej organizacji naukowej był zmarły w r. 1944 baron Rudolf Cederström, dyrektor królewskiej zbrojowni (Livrustkammars) w Stockholmie, oraz Helge Almquist, dyrektor archiwum państwowego. Gdy jednak w kilka lat później powstało bardziej reprezentatywne Tow. Szwedzko-Polskie, o celach bardziej ogólnych, towarzyskich i raczej propagandowych, działalność małego kółka naukowego na szereg lat przygasła. Dopiero otwarcie lektoratu języka polskiego na uniwersytecie stockholmskim w r. 1938 ożywiło na nowo zainteresowania czysto naukowe, i lektor Zbigniew Folejewski, wraz z dwoma młodymi historykami, Davidem Norrmannem i Wilhelmem Thammem, zdołał na nowo zorganizować badaczy szwedzkich w „Svensk-Polska Studiesällskapet (Szwedzko-Polskie Tow. Naukowe)“. Nie poprzestano na zebnaniach dyskusyjno-naukowych, ale zdołano również urzeczywistnić myśl regularnej publikacji naukowej, której pierwszy zeszyt zdołał ukazać się na kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Wojna zahamowała działalność Towarzystwa tylko na krótko, i w latach 1941-1944 ukazały się cztery następne zeszyty „Svio-Polonica“.

Z samego już charakteru zainteresowań szwedzkich wynika, że przewagę wśród autorów prac i artykułów, zawartych w „Svio-Polonica“, stanowią historycy. Stosunki dyplomatyczne z Polską i wojny z nami są bardzo poważnym działem historii Szwecji, i historycy szwedzcy opracowywali te zagadnienia od dawna. Warto na tym miejscu zauważyć, że historycy szwedzcy o wiele później zaczęli czerpać z oryginalnych materiałów źródłowych, zawartych w archiwach polskich, aniżeli historycy

polscy, od dawna umiejący ocenić wartość materiałów nagromadzonych w bibliotekach szwedzkich. Na znaczenie archiwów polskich dla historio-
grafii szwedzkiej zwrócił uwagę w Szwecji dopiero z początkiem bieżącego
stulecia znakomity uczony, profesor w Uppsali, Harald Hjärne. Nie tylko
sam podejmował podróże naukowe do Polski, ale rozbudził w tym kie-
runku zainteresowanie wśród swych uczniów, pośród których wspomnia-
ny już Almquist oraz Collijn (zmarły przed kilkoma laty dyrektor Kró-
lewskiej Biblioteki w Stockholmie) opanowali język polski. Polskie źró-
dła archiwalne zostały jednak wyzyskane dotychczas przez historiografię
szwedzką tylko ułamkowo; nie poddano ich nawet rejestracji z punktu
widzenia potrzeb nauki szwedzkiej. Niemal bezpośrednio przed wybuchem
wojny, podczas dłuższego pobytu w Polsce, przeprowadził taką próbę
przeglądu archiwów polskich wspomniany wyżej Tham, obecny przez
Szwedzko-Polskiego Tow. Naukowego, i o wyniku swych poszukiwań
informuje w jednym z zeszytów „Svio-Polonica“. W obszernym artykule
podnosi z uznaniem osiągnięcia organizacyjne archiwistyki polskiej w
okresie dwudziestoletniej niepodległości i omawia mało znane czy zupełnie
nie znane historykom szwedzkim zbiory korespondencji dyplomatycznych
lub prywatnych, posiadające dla nauki szwedzkiej nieocenioną wartość a
oczekujące jeszcze opracowania.

Z dawna było wiadome, że poza Polską nie ma kraju, który by posiadał
tyle zabytków historycznych i materiałów dotyczących dziejów Polski, ile
posiada ich Szwecja. Za czasów wojen Gustawa Adolfa i Karola Gustawa
nieocenione skarby „wywędrowały“ z Polski na przeciwległy brzeg
Bałtyku. Wojny te prowadzone były przez Szwedów w sposób mądry
budzić zazdrość nawet u niedawnych okupantów niemieckich, a taki np.
feldmarszałek Wrangel na pewno dorównał „kolekcjonerowi“ Göringo-
wi. Wspaniałe zamek Wrangłów, Skokloster i królewska zbrojownia w
Stockholmie zawierają wiele skarbów historycznych pochodzenia polskie-
go, które wciąż oczekują fachowego opracowania. Adiunkt zbrojowni
królewskiej K. E. Steneberg wydał w r. 1943 pod egidą Szwedzko-Polskiego
Tow. Naukowego zbiór reprodukcji najcenniejszych zabytków polskich,
przechowywanych w zbrojowni, wraz z tekstem objaśniającym, a Cederström
omawia na łamach „Svio-Polonica“ kilka pięknych zabytków sztuki
płatnerskiej, przechowywanych w zamku Skokloster a pochodzących ze
zbrojowni królewskiej w Warszawie. Artykuł swój kończy Cederström
charakterystycznym zwrotem, odzwierciedlającym powszechną — może
i słuszną — opinię Szwedów o łupach pochodzących z Polski: „Poprzedni
kustosz w Skokloster miał zwyczaj mówić o przedmiotach pochodzących
z łupów wojennych, że zostały one „uratowane“. Określenie to zdaje się
odpowiadać rzeczywistości, jeżeli chodzi o zabytki polskie. Wtedy, gdy
przeróżne nieszczęścia w różnych okresach czasu przewalały się przez
Polskę, zabytki te, tutaj w Szwecji, były przechowywane z szacunkiem i
pieczołowitością. Kto wie, czy nie powinniśmy cieszyć się z tego, że
Szwedzi w XVII w. stali jeszcze twardo przy nieco brutalnie przez
Pufendorfa sformułowanym prawie łupu wojennego i że dopiero później
zdolali przyswoić sobie łagodniejsze zasady Grotiusa „De jure belli et
pacis“.

Nad słusnością tego poglądu warto się zastanowić, a piszącemu te
słowa nasuwa się równocześnie mimowoli na myśl epizod, zawarty w
opisie podróży po Skandynawii, dokonanej przez anonimowego Polaka
w r. 1855, a wydanej drukiem w r. 1857 w Wilnie. Autor opisu był opro-
wadzony po zamku Skokloster przez właściciela i widząc bogate łupy,

pochodzące z Polski, powiedział: „A możebyście choć część tych zbiorów wrócili Polakom“. „Zwróciłbym — brzmiała odpowiedź właściciela Skokloster — gdyby można było mieć pewność, że szlachta polska nie sprzeda ich z kolei Żydom“.

O tym, iż zabytki z Polski można znaleźć nie tylko w renomowanych zbiorach, świadczy artykuł Zygmunta Łakocińskiego, lektora języka polskiego w Lund, który opisuje późnogotycki tryptyk drewniany w wiejskim kościele w Nässthult (południowa Szwecja), złupiony w Polsce podczas kampanii Karola XII.

Z prac historycznych, opublikowanych w „Svio-Polonica“, zwraca uwagę szczególnie jedna, „Ujście Wisły w dziejach szwedzkich“, będąca pewnego rodzaju syntezą stosunków polsko-szwedzkich w wiekach XVI i XVII. Autor tej pracy, Nils Ahnlund, profesor uniwersytetu w Stockholmie, szczerzy i gorący przyjaciel Polski, jest jednym z najwybitniejszych dziś żyjących uczonych szwedzkich.

Dziejów sztuki dotyczy praca Augusta Hahra, emerytowanego profesora uniwersytetu w Uppsali, specjalisty w zakresie architektury renesansowej w Szwecji. W jednym z zeszytów „Svio-Polonica“ Hahr daje syntezę wyników swych badań, przypisując Polsce rolę pomostu, przez który sztuka odrodzenia wkraczała do krajów północy. Zdaniem Hahra, decydującą rolę w tym procesie odegrała Katarzyna Jagiellonka, która wniosła w środowisko szwedzkie atmosferę artystyczną dworu swego ojca i w dużej mierze inspirowała męża swego, Jana III, wielkiego protektora sztuki w Szwecji.

Na szczególną uwagę zasługuje praca Józefa Trypućki „Szwedzi w Polsce za czasów Zygmunta III“. Trypućko, który przybył do Szwecji jako uchodźca z Polski i został z czasem lektorem języka polskiego w Uppsali, przedstawia w tej pracy losy pokażnej gromady Szwedów, uchodźców na ziemi polskiej. Ten rozdział stosunków polsko-szwedzkich nie był dotychczas przez nikogo w całości opracowany, i Trypućko, opierając się na materiałach polskich i szwedzkich, podjął pierwszą próbę tego rodzaju. Z końcem XVI i początkiem XVII w. znalazło w Polsce gościńce wielu Szwedów, którzy głównie ze względów politycznych musieli opuścić ojczyznę. Przyczyną tej emigracji szwedzkiej była początkowo wzrastająca siła reformacji, która czyniła dla żarliwych katolików pobyt w Szwecji prawie że niemożliwy, a potem brzemienny w skutki zatarg Zygmunta III z jego strykiem Karolem IX o koronę Szwecji. Część tych szwedzkich gości stanowili wychowanekowie jezuickiego kolegium w Brunsberdze w Prusach Królewskich, założonego w r. 1578 w celu udzielania młodzieży z krajów skandynawskich nauki w duchu katolickim. Jakkolwiek wychowanekami kolegium byli również Duńczycy i Finowie, zdecydowaną przewagę stanowiła młodzież szwedzka, i historycy szwedzcy nazywają z tego powodu kolegium Brunsbergi szwedzkim uniwersytetem katolickim. Poziom nauczania w kolegium był bardzo wysoki, wśród uczniów znalazł się szereg późniejszych wybitnych przedstawicieli umysłowości szwedzkiej, np. Messenius, znakomity historyk i profesor wszechniczy uppsalskiej, w młodości dworzanin biskupa Tylickiego i autor poematu „Cracovia triumphans“. W kilkanaście lat po otwarciu kolegium wydano w Szwecji zakaz wyjazdu na studia do Brunsbergi, co jednak nie odstraszało młodzieży szwedzkiej od kontynuowania studiów w Polsce po kryjomu.

W orszaku Zygmunta III przybyło do Polski wielu dworzan szwedzkich; znaczna ich część po pewnym czasie wróciła do Szwecji, ci zaś, co pozostali,

stali w Polsce, uczynili to raczej ze względów koniunkturalnych. Dopiero w r. 1595 rozpoczął się okres ucieczki wybitnych przedstawicieli szlachty szwedzkiej do Polski. Uciekinierzy ci ratowali się przed twardą ręką Karola IX, który wszystkich zwolenników Zygmunta traktował jako zdrajców i obficie szafował wyrokami śmierci. Zaznaczyć przy tym należy, że tylko część owych uchodźców wyznawała katolicyzm, większość stanowią protestanci, którzy dotrzymywali wierności prawowitemu królowi, nie godzili się z dyktatorską polityką w ojczyźnie i dla których Polska była ostoją zarówno swobody religijnej jak politycznej. Szwedzka lista tych emigrantów w Polsce, zestawiona w r. 1617, wylicza 833 nazwiska, obejmujące szereg najświetniejszych rodów szwedzkich, z historią Szwecji najściślej związanych, jak Posse, Brahe, Banér, Sparre i Gyllenstjerna. Po śmierci Karola IX część Szwedów powróciła do ojczyzny, ale wielu pozostało w Polsce, uzyskując indygenaty polskie i piastując poważne stanowiska w życiu publicznym, szczególnie w Prusach Królewskich.

Jakkolwiek historia dominuje w przyczynkach zamieszczonych w „Svio-Polonica“, inne nauki humanistyczne są również reprezentowane. Czołowy etnograf szwedzki, prof. Sigurd Erixon, dyrektor wspaniałego Nordiska Museet w Stockholmie, analizuje wzajemne wpływy ludowe Polski północnej i Szwecji. Z artykułu jego dowiadujemy się, że pierwsza część „Kultury ludowej Słowian“ Moszyńskiego, w przekładzie szwedzkim, drukowana na powielaczu, jest podstawową lekturą seminariów etnograficznych na uniwersytecie stockhomskim. Były lektor języka szwedzkiego w Warszawie, Birger Calleman, ogłosił obszerną pracę po francusku o rozwoju fonetycznym języka polskiego.

Spiritus movens Szwedzko-Polskiego Tow. Naukowego, lektor Folejewski, umieścił w „Svio-Polonica“ dwa ciekawe przyczynki. Przedstawił obszernie działalność bardzo dla nas ciekawej postaci, doskonałego sławisty szwedzkiego, zmarłego w r. 1921 bibliotekarza Fundacji Nobla, Alfreda Jensena. Głównym przedmiotem zainteresowań Jensena była kultura rosyjska, ale jego znajomość kultury, a szczególnie literatury polskiej, jest wprost zdumiewająca. Dał jej wyraz w monografiach i licznych artykułach rozrzuconych w pismach periodycznych, dla szerzenia znajomości kultury polskiej w Szwecji zasłużył się jednak przede wszystkim jako tłumacz. W czterech tomach przekładów polskich objął poezję polską od Kochanowskiego do Wyspiańskiego, z doskonałym i językowo wiernym przekładem „Pana Tadeusza“.

Odrębne stanowisko zajmuje praca lektora Trypučki „Polscy autorzy w Szwecji 1918-1938“. Jest to systematyczne zestawienie wszystkich przekładów z polskiego, recenzji z tych przekładów oraz prac i artykułów dziennikarskich, ogłoszonych przez autorów polskich w Szwecji w okresie międzywojennym. Praca ta jest wyjątkiem z dzieła o wiele obszerniejszego, mianowicie wyczerpującej bibliografii wszystkich w ogóle polonistów szwedzkich, ogłoszonych w latach 1918-1939. W tej potężnej bibliografii Trypučko uwzględnił nie tylko wszystkie publikacje szwedzkie odnoszące się do Polski ale również artykuły dziennikarskie, recenzje z wystaw, koncertów i t.d., co łącznie obejmuje wiele tysięcy pozycji. Niestety, ten owoc mrowczej pracy pozostaje wciąż w rękopisie, z powodu braku funduszków na wydanie.

TERESA BOGUSŁAWSKA

(1929-1945)

AVE

Gdzieś z mglistej dali nadchodzi, świecąca,
i jakiś spokój rozsiewa dokola,
choć jest sama pobladła i drżąca,
w srebrzystych blaskach skąpana miesiąca,
i chociaż w górę nie unosi czola,
strojnego w gwiazdy, których blask nie kona.
Ave! Tak dzisiaj jest nam objawiona...

Dawniej w Swe święto sphywała w purpurze
i pośród grania rozjętnionych dzwonów,
a rozbudzone z snów zimowych burze
leciały po Nią ku górze, ku górze,
aż do gwiazdzistych, podobłocznych tronów;
z nimi nad Polskę biegle, roziskrzona...
Ave! Tak dawniej była objawiona...

A teraz sphywa po blasku miesiąca
w bladej sukience, otulonej mgłami,
a taka cała pobladła i drżąca,
jakieś pociechy czy ulgi łaknąca,
z twarzą żalostną i cichymi łzami,
taka cierpiąca i tak zasmucona...
Ave! Maryjo, bądź nam pozdrowiona!

Ociera suknią krew skrzepłą z trzewika,
dłońmi przesuwając po śladach od kuli;
ból Ją przedziwny dławia i przenika,
i krzyżem znaczą zimny glaz chodnika,
i doń Swe usta przenajświętsze tuli —
coś w Niej się łamie i coś w sercu kona...
Ave! Bądź, Matko, bądź błogostawiona!

I gdy odpływa, wiotka, cicha, blada,
by błogostawić każdy z ludów świata,
na tamten naród gwiazdny znak nie pada,
dłoń podniesiona bezwolnie opada,
a z warg ucichłych nawet szept nie wzięta —
i stoi w chmurach, sama zadziwiona...
Ave! Królowo, bądź błogostawiona!

A kiedy znika jak gdyby cień blady,
o Jej wędrówce szepce blask miesiąca
i przy krwi śladach Jej zostają ślady,
jako diamentów iskrzących miriady,
i pozostaje smuga łez paląca.
...Szepce Warszawa, we śnie pogrążona:
„Ave, Maryjo, bądź błogostawiona!”...

KŁOSY Z POLSKIEJ NIWY

SZYMON ZIMOROWIC

ANTONILLA

*Sliczna Maryno,
Morska boginio,
Przyrodna Wenerze,
Z morskiego łona
Tak, jako ona,
Urodzona w wierze!
Jako Wenerę,
Tak też jej cę
I z dzieciną młodą,
Mówię to śmieie,
W śmiertelnym cieie,
Celujesz urodą;
Bo Wenus dawna
Ani nam jawna,
Już kędyś zbabiała,
Także w jej synku
Bez odpoczynku
Moc pierwszą ustata.
Ale ty świeża,
Do tego z bliżą,
Ludziom oczywista,*

*Mocą wrodzoną,
Nie wysieloną,
Wszystka jest ognista.
Nie tylko z bliska
Twego ogniska
Płomień ludźmi władnie,
Ale z daleka
Palisz człowieka
Każdego szkaradnie.
Kto na cię dwornie,
Lubo pokornie,
Okieł rzucić kusi,
Jako topnieje
Wosk, gdy się grzeje,
Rozpływać się musi.
O nimfo morska!
Jużes nie gorzka,
Jużes i nie zimna,
Z wody płomieie
Nad przyrodzenie
Wydając rzecz dzwiną.*

SZYMON ASKENAZY

PROWOKACJA W PRZESZŁOŚCI

Jak wiadomo, wszystko już było. Niejedna nowość najnowsza, wydająca się za specyficzny wykwit doby współczesnej, najniespodziewaniej okazuje się, przy bliższym w rzecz wejrzeniu, stara jak świat. Taka sama, pomimo wszystkich najaktualniejszych pozorów, bardzo postarzała, ba — wiekowa, okazuje się również owa rzekomo najmłodsza córka czasów naszych, o której teraz tak głośno: prowokacja polityczna. Prezentuje się ona dziś z zewnętrznego wyglądu i całego wzięcia się na wskroś nowoczesnie, łyska elektrycznością, huczy dynamitem, operuje najbardziej udoskonalonymi zdobyczami zniszczenia i sugestii, lecz pod tym wyświeżonym przybraniem stare, dobrze znajome ukrywa oblicze. I dzisiejsi mistrze w sztuce prowokatorskiej, jeśli łudzą się górnym pocuciem swego modernizmu, jeśli wmawiają sobie iż w swoim zawodzie są artystami „extra modern style“, iż do swego fachu wprowadzili „nowy dręszcz“, nowe, nie znane dawniej sposoby, iż są twórcami oryginalnej metody i koncepcji policyjnej, muszą przygotować się na strogie rozczarowanie i pogodzić się z tą gorzką, upokarzającą prawdą, iż są w istocie niczym więcej, niż tylko pospolitymi naśladowcami, kontynuatorami i następcami długiego szeregu takich samych, jak oni,

poprzedników. Prowokacja, jak wszystko, ma swoje wieloliczne precedensy, swoją długą historię.

Nie mogło być inaczej. Odkąd istnieje ludzkość, istnieje też ucisk, istnieje dążność do zniesienia tego ucisku, istnieje represja przeciw tej dążności, istnieją wszelakie, najrozmaitsze tej represji formy zapobiegawcze i niszczące, a wśród nich, na miejscu poczesnym, prowokacja.

Forma zapewne najohydniejsza, a mimo to z dawien dawna jedna z najbardziej rozpowszechnionych, ze szczególniejszym upodobaniem uprawianych. Faworyzowana mianowicie nie tyle przez wzgląd na przypisywaną jej wyjątkową skuteczność, ile dzięki osobliwej swej naturze wyjątkowo giętkiej i niepochwytniej, stąd tym wygodniejszej dla praktyk nader różnorodnych, a ze wszech miar wymagających bezwzględnej dyskrecji. Przydatna na ogół jako narzędzie ciche, nie kompromitujące a sprawne i nadzwyczaj wszechstronne, do całej, niezmiernie rozległej skali widoków i zamierzeń niejawnych, na użytek bądź tej naczelnej potęgi państwowej, pod której egidą bywa stosowana, bądź też zwłaszcza samychże, używanych do jej zastosowania, organów wykonawczych.

W rzeczy samej niepospolicie obszernym i urozmaiconym przedstawia się to dziejowe koło obiektów, a wraz i związanych z nimi potajemnych celów i dążeń wytycznych, gdzie w grę puszczana bywa prowokacja polityczna w wielkim stylu. Chodziło w niej to o zgubę danego ustroju państwowego, to zbiorowiska społecznego, to nawet pojedynczego możnego domu lub wydatnej postaci publicznej, a przy tym mianowicie o stworzenie jawnego pretekstu do represji, dla osłonięcia tajnej intencji rabunku czy pomsty. Chodziło znów kiedy indziej o określone, przewidywane lub wyczuwane, lecz bądź zarodkowe dopiero, bądź dojrzewające a represyjnie niedostępne zjawisko opozycyjno-wyzwolenicze, które należało co rychlej i co gwałtowniej pchnąć na czynne tory spiskowo-rewolucyjne, aby tym łacniej w przedczesnym zdławić je wybuchu. Chodziło innym jeszcze razem o to, aby podobne zjawiska, już dojrzałe i czynne wewnętrznie, doprowadzić do rozkładu i znieprawić w sobie samym, albo doprowadzić przez przesadę ad absurdum i zożydzić w opinii. Chodziło wreszcie w niezliczonych wypadkach, nie dających się podciągnąć pod żaden ogólniejszy wspólny mianownik, o żywotne interesy owych organów wykonawczych, nieących prowokację i z niej żyjących, interesy doraźne, przygodne, niemilosierne, a z reguły będące w rozbieżności zupełnej, w przeciwieństwie biegunowym z rzeczywistymi interesami samej potęgi państwowej, z której ramienia oni swoją prowokatorską pełnili powinność.

Do wysokiego stopnia udoskonalenia doprowadzone było rzemiosło prowokacyjne już w Rzymie starożytnym doby cesarów. Pełno w tym względzie ciekawych, sensacyjnych rewelacji mieści zwięzła a wymowna wykładnia Tacyta. Odsłonięte tu zostają mimochodem, zwłaszcza w lapidarnych jego „Annalach“, różnorodne, najwstrętniejsze wzory klasyczne podziemnych machinacji tego właśnie gatunku, raztoczony obraz istnej orgii prowokatorskiej. A wśród występujących tam czynnie prowokatorów wielkiej miary, na których czele wszechwładny góruje Sejan, obok zawodowych agentów podrzędnych, nie brak również figur z najpierwszych domów rzymskich, wysokich dostojników państwowych, senatorów, nie brak i kobiet z najlepszego towarzystwa rzymskiego, a nawet i sam głęboki Tyberiusz niekiedy osobiście najwyższym, najniebezpieczniejszym nie gardzi podstępem prowokacyjnym.

Ale nie ma potrzeby cofać się aż tak daleko, do świata starożytnego, po wybitne przykłady dziejowe prowokacji, skoro aż nadto mamy ich pod ręką w dobie nowożytnej i wśród bliskich, bezpośrednio dotyczących nas stosunków historycznych. Rzecz mianowicie ze wszech miar godna uwagi, że nawet do wielkich i ofiarnych polskich poruszeń narodowych w ostatnich dwóch stuleciach, jak konfederacja barska, powstanie kościuszkowskie, rewolucja listopadowa, nie omieszczały raz po razie sięgać brudne i jadowite wpływy prowokatorskie. Ta okoliczność, oczywiście, nie może oddziaływać bynajmniej na ogólny sąd historyczny o owych żywiołowych porywach narodu, ani też nie była zdolna do zwichnięcia ich i zbrukania, stanowiąc jedynie sztuczny, dodatkowy współczynnik pochodny obok powodujących je właściwych, głębszych i przyrodzonych czynników przyczynowych. Bądź co bądź jednak, ten fakt, dotychczas bardzo mało znany, sam przez się jest nader znamienity i nauczający i zasługuje na baczne uwzględnienie i pamięć.

Już konfederacja barska, to ogromne skłębienie wypadków spiskowych, politycznych i wojennych, będąc właściwie ciągle jeszcze jedną wielką niewiadomą, czekające po dziś dzień swego ścisłego historyka, naprzeciw wielu wspaniałnych objawów poświęcenia patriotycznego i wysokiego napięcia ducha narodowego wystawia także długie, ciemne pasmo zdrady publicznej, kierowanej i karmionej spoza kordonu, a czynnej wewnątrz samych działań konfederackich, idącej powolnie na rękę wroziej inicjatywie sąsiedzkiej w ogóle, a prowokatorskiej w szczególności. Pod tym względem pierwsze skrzypce trzymały wtedy Prusy, w osobie niezrównanego w tych rzeczach mistrza, króla Fryderyka Wielkiego. Fryderyk, skojarzony podówczas najściślejszym sojuszem z Katarzyną II, pochłoniętą przez wojnę turecką, założył sobie wysyskać daną koniunkturę polityczną w ten sposób, aby przez nacisk, niedostrzegalnie wywierany na cesarżową, zmusić ją do zgody na pierwszy podział Polski.

Podniecanie, podtrzymywanie na duchu konfederacji barskiej miało m. in. przede wszystkim służyć temu celowi. Nie zaniedbał też Fryderyk niczego w tym kierunku. Generalicja konfederacka potajemnie utrzymywana była z Berlina w nadziei interwencji z Zachodu, a nawet w uludnych widokach osadzenia brata Fryderyka, ks. Henryka pruskiego, na tronie polskim. Po obozach konfederackich przewijali się poprzebierani po cywilnemu oficerowie i agenci pruscy, zachęcając do wytrwania w walce, podobno nawet udzielając wskazówek strategicznych i dostarczając broni. A równocześnie w Petersburgu Fryderyk, cichy przyjaciel i instygator konfederacji, w najczarniejszych barwach malował niebezpieczeństwo konfederackie dla Rosji i Europy i jako jedynego skutecznego środka dla zażegnania tego niebezpieczeństwa wzywał i żądał podziału Rzeczypospolitej. W całym tym postępowaniu wielkiego króla pruskiego, któremu godnie sekundowały w niniejszej jego robocie pewne oddane mu duszą i ciałem wpływowi czynniki rosyjskie, nie podobna nie rozemnać wszelkich znamion typowych świadomej prowokacji politycznej.

Pokrewne całkiem w swym założeniu i intencjach, aczkolwiek na inną modłę stosowane i z innej wychodzące strony, dają się wykrywać znamiona w najtajniejszych obrotach akcji sąsiedzkiej z doby powstania Kościuszki. Świadek niepodejrzany a dobrze wtajemniczony w zakulisowe tej akcji sprężyny, były ambasador pełnomocny rosyjski w Warszawie, baron Sievers, wnet po wybuchu powstania, w piśmie poufnym do cesarżowej Katarzyny wręcz oskarżał pewne sfery petersburskie, a mianowicie wszechwładną wtedy partię faworyta Zubowa, o rozmyślnie

sprovokowanie wybuchu, lub przynajmniej o rozmyślne zaniechanie wszelkich zarządzeń zapobiegawczych. Dawał on wyraźnie do zrozumienia, że w pewnych kierowniczych kołach nadnewskich po prostu życzone sobie powstania, aby znaleźć pożądaną sposobność do zgniecenia go, do ponownego ostatecznego rozbioru Rzeczypospolitej a tym samym do nowego, obfitszego jeszcze, niż przy dwóch poprzednich okazjach rozbiorowych, obłowienia się, w drodze wywłaszczeń przymusowych i konfiskat, na polskich dobrach donacyjnych. W aktach archiwum państwowego w Moskwie znajduje się sporo dokumentów, potwierdzających to oskarżenie Sieversa i istnienie wskazanych przez niego zamierzeń i praktyk prowokacyjnych. Wynika to m. in. z dochowanych w tym archiwum ułamków sekretnej korespondencji polskiej Platona Zubowa, gdzie mieszczą się posyłane mu zawczasu, już w ciągu 1793 i początku 1794 r., przez tajnych informatorów najdokładniejsze doniesienia z Warszawy, Wilna, Drezna, Paryża, Konstantynopola o przygotowaniach do planowanego dopiero powstania. Zaznaczyć należy, że wśród tych informatorów nie brakło nazwisk polskich, które następnie odnajdują się na wybitnych nawet stanowiskach w czasie samej insurekcji; co zaś główna, ich doniesienia odznaczają się ścisłością drobnostkową, odsłaniają z zupełną precyzją najtajniejsze szczegóły przygotowań przedpowstańczych, podają długie listy imienne głównych działaczy, będących wtedy przeważnie pod ręką rosyjską, przez co znakomicie zyskuje na prawdopodobieństwie oskarżycielskie twierdzenie Sieversa, że powstanie można było ze strony rosyjskiej uprzędzić, lecz że tego nie uczyniono dlatego właśnie, iż go sobie życzone. I w tym tkwiła pomyłka w niniejszym rachunku prowokatorskim; życzone sobie małej awantury wojskowo-rewolucyjnej, którą spodziewano się stłumić w mgnieniu oka; nie przewidywano, — gdyż takich rzeczy nie przewidują, nie pojmują mózgi prowokatorskie, — że gotuje się samorodne, żywiołowo powszechne powstanie narodowe.

Taka sama najdosłowniej była pomyłka tajnej roboty prowokacyjnej, poprzedzającej wybuch rewolucji listopadowej. Pokazałem gdzie indziej*), jaką rolę prowokacja polityczna odegrała w okresie Królestwa Kongresowego, i zaznaczyłem zarazem jej współdział, w osobach Nowosilcowa, Roźnieckiego i kompanii we wrześniu, a w końcu i w wybuchu 1830 r. I tutaj również pomyłono się o tyle, że zamiast burdy ulicznej, jakiej oczekiwano, aby pod pozorem jej represji zawiesić konstytucję Królestwa, utopić nadużycia własne, opanować wielkiego księcia Konstantego i przypodobać się Petersburgowi, wystrzeliło potężne poruszenie narodowe, ciężka wojna polsko-rosyjska, której wynik niejednokrotnie stawał się wcale wątpliwy. Dodać należy, że i tym razem w warszawskiej akcji prowokacyjnej dawała się dostrzegać czynna ręka pruska, w osobie pruskiego konsula generalnego w Warszawie Schmidta, przy czym w grę wchodziły poniekąd te same pobudki, jakie ongi były kierowały akcją Fryderykową, z tą tylko odmianą, iż tym razem chodziło o podział Królestwa Polskiego między Rosję a Prusy, jak ongi Rzeczypospolitej.

Za daleko zaprowadziłoby tutaj wdawanie się w bliższe szczegóły, nigdzie bardziej kręte i zawile, niż w tych śliskich materiałach prowokacyjnych. Niniejsze uwagi najogólniejsze mogłyby same przez się niejedno dać do myślenia zarówno czynnym sprawcom jak i biernym ofiarom prowokacji politycznej.

*) W „Łukasieńskim“ — *przyj. red.*

KORESPONDENCJA

Na wzgórzach lewego brzegu Teterowa rozciąga się miasteczko K. Niewielki dom właściciela leży bliżej rzeki, w ogrodzie dochodzącym do samego jej brzegu. W tym to skromnym i tymczasowym mieszkaniu, będzie temu lat dziesięć, zebrałiśmy się raz, w towarzystwie niezbyt licznych, ale ożywionym wesołym humorem i dowcipem gospodarza i wzorowym ukształceniem gospodyni. Około godziny siódmej zawołano nas do herbaty; przez parapetowe drzwi salonu wyszliśmy na balkon niedawno przybudowany i ubrany z prostotą i gustem. Trzy jego ściany zawieszono były białym i zręcznie sfałdowanym perkalą, czwartą, otwierającą się na ogród, rzekę i leżące za nią bory, podierały proste i czysto wyheblowane słupy, wokół których wił się bluszcz i przeskakując w zielonych arkadach od jednego słupa do drugiego, gubił się w bogatej grupie najrzadszych krzewów, zdobiących jeden z kątów galerii. Przed schodami rozciągał się plac czysty, ubity i usypany żwirem; po jego brzegach stały klomby z kwiatów wyniesionych z oranżerii, a dalej gałęziły się ulice po całej przestrzeni ogrodu. Na prawo była oficyna gościnna, na lewo stary lamus, świadek zamożności dawnych dworów naszych, starożytne ruiny wielkiego niegdyś mieszkania ojca i dziada terażniejszego właściciela. Było to przy końcu czerwca. Wieczór był ciepły i cichy, niebo czyste, powietrze pełne świeżości i woni. Z daleka słyszeliśmy turkot wozów chłopskich i ryk trzód wracających z pola, przed nami cicho pluskał Teterów, rozbijając się o sterzące gdzieniegdzie kamienie, a dalej szumiała puszcza sosnowa, głęboka i posępna, rozłożona po całym prawym brzegu tej pięknej rzeki.

Zasiedliłiśmy wokół stołu i wszyscyśmy z początku umilkli, bo gospodyni zajęta była herbatą, gospodarz spoglądał na ruiny domu swych przodków, inni goście, ucieszeni świeżością powietrza, przypatrywali się pięknemu widokowi, a ja patrząc z daleka na uciekające fale rzeki, zadumałem się pomyślawszy, że jedyne serca mego życzenie, życie wiejskie, rozbija się i rozbryzguje jak te płynne i unoszące się masy o nieruchome i twarde kamienie.

Wkrótce jednak wesoła rozmowa na nowo toczyć się zaczęła.

Przechodziliśmy od jednego przedmiotu do drugiego, od pszenicy do winogrodu, od pochyłych brzegów Teterowa do południowego brzegu Krymu, od batu kołyszącego się na niewielkich falach rzeki do okrętu miotanego bałwanami, na którym niedawno nasza gospodyni zwiedziła Palermo i Malte; niekiedy dowcipne, lub chcące być dowcipnymi uwagi, przerywały opowiadania; zaczął się i kalambur, gdy rozmowa nasza, jak mieniała się materia, przelała się z polskiego języka na francuski. Wśród tak wesołego i swobodnego gwarzenia, oddano samej pani list dosyć gruby. Rozpieczętowała go i wydobyła dwa półarkusze, na wszystkie cztery strony niezmiernie drobno i ściśle zapisane. Nie patrząc na podpis, poznała widać rękę, uśmiechnęła się i zasunawszy list w kopertę, położyła go spokojnie na stole.

Był między nami mężczyzna mający przeszło lat trzydzieści. Z łatwością przyjemną i niewymuszoną należał do naszej rozmowy i zdawał się być w dobrym humorze; ale na widok tego listu zmieszał się widocznie, ściągnęły się jego brwi, pocierał ręką czoło, jakby sobie co przypomniał, i wyraźnie się zasmucił. Był to niedawny sąsiad naszego gospodarza,

powierzchnowości ujmującej a nawet okazałej; czoło otwarte i wyniosłe, wejrzenie pewne i ze śmiałością łączące skromność, uśmiech łagodny, przez który przebijał się lekki smutek, nadawały twarzy jego wyraz pełen rozumu i wdzięku. Ubiór zupełnie czarny i staranny podnosił jeszcze przystojną powagę jego ułożenia i ruchów.

Spostrzegłszy zmianę w jego licu, gospodarz zapytał z zajęciem :

— Co ci to, panie Antoni ?

— List ten — odpowiedział pan M. — przypomniał mi wiele z upłynionych dni mojej młodości.

— Czy znasz tę rękę?

— Bynajmniej — rzekł pan M. i schylając oczy, dodał : — Znałem podobną.

— Od kogóż to? — zapytał znowu nasz gospodarz, obracając się do żony.

— C'est de la femme de trente ans — odpowiedziała, ścisnąwszy misternie piękne swe usta, jakby na znak lekkiego wstępu.

— Zostawże te depesze na jutro — rzekł mąż. — Ani teraz, ani przy świetle decyfrować ci ich nie pozwolę. Zresztą musisz się domyślać treści. Zapewne się unosi nad nowym romansem Balzaka i jego wyborne i żywe obrazy w martwej i nudnej treści opisuje.

Działo się to w tym czasie, kiedy jeszcze Balzak był w ręku wszystkich ; wszczęła się więc rozmowa o różnych płodach tego autora, o ich zaletach i wpływie; od ogółu przeszliśmy do szczegółów i anatomizując różne stworzenia jego imaginacji, naturalną koleją wróciliśmy się do trzydziestoletniej kobiety.

— Balzak — rzekł jeden z obecnych — tym interesującym utworem wiele złego narobił. Pod ten typ nie podchodzą wprawdzie damy, chociażby się rzeczywiście znajdowały w tym krytycznym wieku, jeżeli mają mężów, których kochają, jeżeli mają córki, którym potrzeba dać dobry przykład, jeżeli mają synów, nad których wychowaniem czuwać i których serca dobrym zasiać trzeba nasieniem.

„Żeby być kobietą trzydziestoletnią, trzeba mieć czas i żyć bez celu, a święte obowiązki matki, żony i pani domu, zwracając myśli ku tym istotom, które społeczność i natura opiece matki i żony powierzyła, wypełniają cały byt ustawiczną przemianą czystej radości, dojmujących trosk, nieraz śmiertelnej obawy, tak dalece że życie nie jest nigdy czczie i pozbawione wysokich celów. Nawet stara panna jest złą trzydziestoletnią kobietą.

— A toż znowu dlaczego? — rzekł gospodarz.

— Przyczyna tego bardzo prosta — odpowiedział pan Ignacy. — Stare panny są dwojakiego gatunku : jedne natura zasłoniła przeciw wszelkim pokusom nieprzebitym puklerzem szpetności, i te oczywiście do tej kategorii nie należą ; drugie, chociaż przez jakieś przypadkowe przyczyny doszły do tej nieszczęsnej pełnoletności, są jednak ładne, są przyjemne. Te nie są wolne od kokieterii ; ale zawsze w ich zabiegach jest cel pozyskania ręki tego, którego serce podbijają ; cel taki jest pozwolony, jest uczciwy. Chcą one wyjść z dwuznacznego położenia, w którym je przypadek postawił, chcą zająć pewne miejsce w społeczności, chcą przestać być ni tym, ni owym.

— Cóż więc jest trzydziestoletnia kobieta? — zapytała gospodyni.

Spojrzał orator po otaczających go osobach i jakby się zapewnił, że żadnej z nich nie obrazi, przysunął się do stołu, oparł się obiema rękami, jak profesor zaczynający lekcję, i tak dalej mówił :

— Trzydziestoletnia kobieta jest to separatka, rozwódka lub wdowa między dwudziestym siódmym a czterdziestym rokiem życia. Prawie zawsze bezdzietna, lub jeżeli ma dzieci, to oddane opiece i staraniom męża. Jest powabna, sentymentalna i nie bez rozumu. Nigdy prawie nie pisze rejestru swych wydatków, ale ma niezawodnie album, w które wciąga różne tkliwe wyjątki z poezji i prozy, i zachowuje pierwsze próby młodzieńczego natchnienia tych, których serca starała się rozwijać. Nie jest to jawna kokietka, zimna i śmiejąca się, ale ofiara nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, nosząca na swym licu ślady przeszłych cierpień. Już wprawdzie jej serce przeboleło, ale oczy patrzą jeszcze tak jak gdyby chciały płakać, a usta śmieją się tym wątpliwym uśmiechem, w którym więcej wspomnień niż teraźniejszej radości. Trzydziestoletnia kobieta nie myśli bynajmniej iść za mąż i dlatego nie może się jej podobać mężczyzna nawet czterdziestoletni, mający serce i rękę wolną. Była ona w przeszłych związkach nieszczęśliwa, dlatego się ich lęka i kłaść na siebie kajdan nie myśli. Jeżeli więc przywiązuje się dla ozdobienia swojej samotności, dla nadania jakiegokolwiek celu swemu życiu, to wybiera takie istoty, z którymi by łączył ją tylko związek serca: owe dusze anielskie i niewinne, które by można rozwijać, poetycznie kształcić, z którymi zaś łączyć się prozą małżeństwa zabrania i sumienie, aby im (jak mówią) nie zawiązać świata, i przyzwoitość, aby uniknąć śmieszności.

— Jakież to są te istoty? — zapytała jedna z dam obecnych.

— Studenci, pani dobrodziejko, — odpowiedział orator prędko, — i dwudziestoletnie dzieci, które tkliwa opiekunka przybiera za synów i którą oni z początku zwykle nazywają mamą. Dawniej te niebezpieczne dla niedoświadczonej młodzieży panie, doszedłszy do lat trzydziestu, były tego przekonania, że już zeszyły z pola, zaczynały lubić spokojny kącik swojej kanapy, gdzie rozmyślały o przeszłości; zaczynały przywykać do skromnych czepeczków i zakrywających gorsz szlafroczków; uczyć się wista, brać się do warcabów, do szachów, i nieraz nawet w woreczku ich można było znaleźć małą jaspisową lub szylkretową tabakierkę; dziś, jakby ze snu ocknione pięknym utworem swego protektora, wystąpiły na plac czynnie, zbrojnie, z całym rynsztunkiem elegancji, tajemnicy i zagazowanej kokieterii, z całą artylerią łzawych spojrzeń, melancholicznych uśmiechów i ran zadanych ręką losu i ludzi, tylko co zabliznionych. Cóż dziwnego że młodzież niedoświadczona, pełna imaginacji i wiary, ulega tej strategii, traci czas i zdrowie i nieraz nie odpowiada celom i nadziejom rodziców? Dlatego więc, chociaż z wielką przyjemnością czytałem i czytam powieści Balzaka, wołałbym aby tej szczególnie, o której mówimy, chociaż prawie najpiękniejsza ze wszystkich, wcale nie było, tak mi się szkodliwa wydaje.

— Za surowo, za surowo, panie Ignacy — rzekł gospodarz.

— Jeżeli to prawda, — odpowiedział orator, — że przeczytawszy „Wertera“, jakiś Niemczyk się zastrzelił, to pewnie sam Goethe nieraz żałował, że go napisał.

— To co innego, Niemczyk stracił życie — rzekła ta sama dama, która i wprzód zapytywała.

— Pani dobrodziejko! odwieść studenta od nauki rzeczy użytecznych, nauczyć go tego czego wiedzieć nie powinien, rozmarzyć jego głowę, rozkołysać serce, zwichnąć karierę, nie jestże to narazić go na stratę połowy życia?

— Bez wątpienia — rzekła dama, i twarz jej okrył lekki rumieniec.

Dowiedziałem się potem, że to była wdowa.

— Zdanie twoje, panie Ignacy, nie jest — rzekł nareszcie pan M., który dotąd milczał — zbyt surowe; pomyliłeś się tylko, że pokazanie się romansu Balzaka naznaczasz za epokę, od której owe damy, mające dziś techniczne nazwanie, zaczęły być niebezpieczne dla młodzików bez doświadczenia. Zawsze tak było, i Balzak nic nowego nie stworzył. Na sobie mam najoczywistszy dowód. Wszakże mogę zapewnić, że chociaż namiętność tego rodzaju bywa silna i głęboka, rozsądni rodzice mogą zapobiec skutkom tej choroby i z niej wyleczyć chorego. Sposób, jakiego użył mój dobry ojciec, jest dosyć oryginalny; zostaje nam jeszcze do spaceru — dodał nieśmiało, patrząc na zegarek...

— Godzinka czasu! a! jakżem ci wdzięczny! chcesz nam opowiedzieć — rzekł gospodarz uradowany, biorąc uprzejmie za rękę swego sąsiada.

Chętnie przyjęliśmy wszyscy jego propozycję, szczególnie sama gospodyni domu, która czym pręcej kazała zebrać przybory do herbaty, a gdy stół był już czysty i każdy z nas poprawił się na krześle tak aby lepiej słyszeć, z uśmiechem zachęcającym rzekła:

— Teraz nam nikt nie przeszkodzi.

— W r. 1820 — zaczął pan M. — skończyłem szkoły. Był to czas poetyczny i mojego wieku i tego zakładu, który opuszczałem z żalem. Wróciłem do domu. Z początku zajmowała mnie swoboda i niezależność zupełna. Miałem swoich parę koni, na moje rozkazy oddanego człowieka, oprócz tego wierzchowca, strzelbę, dobrego psa, i zdawało mi się, że mi nic nie brakło. Mój ojciec, chociaż nieuczony, lubił jednak czytać; po łacinie lepiej umiał ode mnie, a polska literatura była mu daleko gruntowniej, niż może dziś mnie, znajoma. Pozwoliwszy mi pobujać bez żadnej kontroli, zaczął mnie zwolna zapytywać o różne przedmioty z historii, z geografii, udawał czasem że zapomniał co ten lub ów autor pisał; prosił, żebym mu objaśnił jakie miejsce z Liwiusza lub Horacego; słowem, zawstydzał mnie, wykrywał moją nieznanomość z taką dobroduszością i cierpliwością, że nareszcie stanąłem przed nim z gorącą prośbą, aby mnie wysłał do uniwersytetu. Tego właśnie czekał mój ojciec. W kilka dni wszystko było gotowe do drogi; pożegnałem moich rodziców i wkrótce stanąłem w Wilnie. Przyjechałem tam z własnej ochoty, i nie było zapewne żadnego z kolegów, który by bardziej pragnął, niż ja wówczas, postępować i gromadzić skarby nauki, której brak tem więcej dawał mi się uczuć, im więcej korzystałem. Wkrótce nie moje zdolności, ale moja pilność i akuratność zwróciły na mnie uwagę wszystkich profesorów, których słyszałem. Szczególniej polubił mnie Grodek, który poznał się był z moim ojcem dawniej w Puławach, przyzywał mnie do siebie, dawał książki, objaśniał wszystkie trudności, i mogę powiedzieć, że się mną cieszył jako przysłą kolumną filologii. Wspominam o tej okoliczności, bo ona później na mój los wpłynęła. Kończył się rok, nadchodziły wakacje; mój ojciec pozwolił mi zostać w Wilnie, i ja nie przestawałem czytać, pisać, tłumaczyć i uczęszczać do Grodka i do biblioteki. Nigdy nie byłem tak spokojny, tak wesoły, jak w ciągu tego roku; bo praca jest jedynym czystym powietrzem, którym człowiek może oddychać swobodnie i zdrowo. Rozrywki są to zapachy, które czasem przyjemnie drażnią nerwy, ale gdy są zbyt silne, zbyt zagęszczone, odurzają i duszą.

Tu p. M. dobył zegarek i spuszczał oczy skromnie, położył go przed sobą na stole; ale gospodarz przysunął go zwolna ku sobie, schował do kieszeni i rzekł:

— Oddam ci go wtenczas jak skończysz.

Uśmiechnął się pan M. i tak dalej mówił :

— Litwini w ogólności nas nie lubią. Był jednak między kolegami moimi jeden młody człowiek wielkich zdolności, z którym łączyły mnie bliskie związki zażyłości i przyjaźni. Przy sobie siadywaliśmy zawsze w audytoriach, wspólnie wypracowywaliśmy skrypta, najczęściej razem łąaliśmy się z trudnościami Sofokla i Tacyty. Z początkiem wakacji wyjechał mój towarzysz do domu niezbyt odległego od Wilna, i brak jego dawał mi się żywo uczuć ; ale nie przeszły dwa tygodnie, gdy raz zaszedł mnie niespodzianie, zamknął leżącego przede mną Xenofonta, poodrzucał dykcjonarze, potem uściskawszy serdecznie, oddał list, który przywiózł. Było to uprzejme zaproszenie od jego ojca, abym parę tygodni wolnych od nauk w ich domu na wsi przepędził i rozerwał się cokolwiek po całorocznych trudach. Wiś mojego przyjaciela nie była odległa od Wilna ; nie dałem się więc długo prosić, i już trzeciego dnia o godzinie czwartej z rana stanąłem w lesie sosnowym, z okiem wyteżonym na drożynę, która obok mnie przebiegała, z wykierowaną tamże strzelbą, i słuchałem z coraz mocniejszym biciem serca muzyki ogarów w jej harmonijnym crescendo. Dom pana marszałka W., ojca mojego przyjaciela, gdzie mnie przyjęto z ową gościnnością szczerą i otwartą, jaką tylko w naszym kraju znaleźć można, odwiedzali dość często sąsiedzi dalsi i bliżsi. Poznałem ich tam niemało, ale wszystkie te znajomości nie zostawiły we mnie żadnych śladów nadal. Tam wszakże zrobiłem jedną, która przyspieszyła uderzenie pierwszej ważnej godziny w moim życiu. Było to 20 lipca.

— Błogosławiony ten dzień, ta godzina — rzekł gospodarz, śmiejąc się.

— Pamiętam dobrze ten dzień, tę godzinę, — odpowiedział pan M. rumieniąc się z lekka, — bo wszystkie chwile trosk i cierpień, nieskończone godziny nudów i oczekiwania, gdy miną, znikają bez śladu, a na nici życia nawleczone są tylko brylantowe paciorki chwil rozrzewnienia, wzniosłych lub tkliwych uniesień, chwil radości i szczęścia. Z takiego to różańca składa się cała nasza przeszłość. Dwudziestego więc lipca całe poobiedzie przepędziłem w lesie, chodząc samotnie po najukrytszych ścieżkach, leżąc i marząc pod wyniosłym i chłodnym sklepieniem związanych nad głową moją wysokich gałęzi, przypatrując się rozmaitym kształtom roślin i listków, słuchając świergotliwych i swobodnych mieszkańców tego najrozkoszniejszego dla mnie ogrodu. Gdy upał minął, wracałem do domu i wyszedłszy na piaszczystą drogę, spostrzegłem zbliżający się ku mnie ładny koczyc. Konie szły stępą, a w odkrytym powozie leżała niedbale rzucona, uderzająca nawet z daleka, choć nie pierwszej młodości kobieta. Zwolniłem krok, aby jej się dłużej przypatrzeć i spostrzegłem, że i ona ze mnie nie spuszczała oczów. Rysy jej twarzy były piękne, ubiór letni, pełen gustu, ułożenie chociaż miękkie, niedbale, ale pełne wdzięku. Spotkanie to zostało w mojej myśli. Gdym odszedł kilkadziesiąt kroków, obróciłem się nagle i spostrzegłem, że opierając się łokciem na drzewkach koczycy i położywszy na dłoni piękną swą głowę, ciągle za mną patrzyła. Odwróciłem się natychmiast i gdy potem drugi raz ukradkiem spojrziałem, postrzegłem, że bynajmniej nie zmieniła pozycji.

— Dziś — rzekł pan M. po chwili — możebym to nazwał rozrzepaniem, efronterią lub czym podobnym ; wówczas miałem lat dwadzieścia jeden, wierzyłem w sympatią, we wszelkie atrakcje dusz, a stąd zaczął się szereg marzeń, nadziei, chęci, zupełnie dla mnie nowy, i nikt się dziwić nie będzie gdy dodam, że powabny i miły. Gdy wróciłem do domu, spotkałem mojego kolegę na dziedzińcu, wyrzucał mi, że się błąkałem

samotnie pół dnia, dodając z uśmiechem, że wiele straciłem. Zapytał mnie potem, czy kogo nie spotkałem. Nie wiem dlaczego, skłamałem i odpowiedziałem, że nie. Dziesięć razy potem miałem na ustach zapytanie, kto by była owa nieznajoma, ale to występne *nie*, które mi się z początku wymknęło, którego się wstydzilem, które by było pociągnięto za sobą Bóg wie jakie tłumaczenia, zawsze mnie wstrzymywało. Wieczór przeszedł mi smutno, i źle spałem. Nazajutrz w parę godzin po obiedzie zaszły powozy, i zapowiedziano mi, że jedziemy do pasieki na podwieczorek. Chociaż uważałem, że cała familia była starannie ubrana, niżby takiego rodzaju przejażdżka wymagała, nie przyszło mi jednak do głowy, dokąd jedziemy. Minęliśmy o małą milę odległą sąsiednią wioskę i wkrótce stanęliśmy przed pięknym, foremnym gajem, wokoło rowem obwiedzionym. Na prawo rozciągały się pola okryte zbożem, na lewo były folwarczne zabudowania, przytykające do gaju, w środku były gustownie plecione wrota, przez które widać było niezbyt szeroką ale czystą ulicę, ciągnącą się wzdłuż tego dość obszernego parku. Gdy zapytałem, jak się to miejsce nazywa, odpowiedziano mi, że to pasieka. Wjechaliśmy we środek: był to gaj brzozywy, pomieszany gdzieniedzcie grupami klonów, młodej dębiny. Trawa, chociaż już ścięta, podnosiła się zielono i bujnie; kwiatów było mało, ale powietrze było pełne woni, chłód miły, cichość uroczysta. Wkrótce powozy zawróciły się na lewo po szerokiej wyspanej piaskiem ulicy, i jakież było moje podziwienie, gdy spostrzegłem przed sobą wielkie koło najpiękniejszej murawy, mające w środku klomby z krzewów i kwiatów, a za nim niewielki, o pięciu parapetowych drzwiach domek, pięknej architektury. Ani oficyny, ani żadnego gospodarskiego budynku nie było widać; las tylko szumiął w koło tego samotnego mieszkania, i okrążała go woń roślin i kwiatów. Śmiał się mój towarzysz, spostrzegłszy moje zadziwienie.

„— Widzisz, — rzekł, — jakeśmy cię za wczorajszą włóczęgę ukarali. Byłbyś dziś jechał do znajomej, a tak będziesz musiał rumienić się i kłaniać, gdy twoje nazwisko wymawiać będę. Żeś nic nie wiedział, dokąd jedziemy, toś winien mojej swawolnej siostrze, która uprosiła nas wszystkich, aby ci nic nie mówić. Wreszcie nie bardzośmy cię oszukali, bo to miejsce rzeczywiście nazywa się Pasieka i jest własnością pani Hieronimowej P., która u nas wczoraj była.

„Środek domu odpowiadał jego powierzchowności; wszędzie czystość, elegancja i wygoda; miękkie sofy pod ścianami, miękkie kobierce na podłodze, zielone zasłony u okien dla cienia i chłodu. Przyjęcie było uprzejme, niewymuszone, rozmowa naturalna i zwyczajna, podwieczorek prosty, wiejski, słowem, we wszystkim co tego dnia widziałem, spostrzegłem ten ton, który okazywał dobre wychowanie i znajomość świata. Pani Hieronimowa żadnym słowem, żadnym wejrzeniem nie okazała że mnie widziała kiedykolwiek, że mi się tak ciekawie przypatrywała. Wszakże, gdyśmy po podwieczorku wyszli obejrzeć czarujący gaik tej Driady, małe zdarzenie ożywiło na nowo marzenia, uśpione gładkim i zimnym jej obejściem się. Była w jednym miejscu dolina, której oba boki podnosiły się stromo. Dla przebycia jej mój towarzysz podał rękę matce, córka uchwyciła się ręki ojca, a ja ofiarowałem moje usługi gospodyni domu. Już pierwsze dwie pary były na dole, gdyśmy zaczęli się spuszczać; ale moja towarzyszka schodziła tak zwolna, jej maleńka nóżka stąpała z taką bojaźnią uszlizgnięcia się, żeśmy znacznie zostali za drugimi.

„W tej ciągłej trwodze zwiesiła się silniej na moim ramieniu i w pół cichym głosem rzekła:

„ — Ach! przepraszam pana, ja tak niezgrabna i ciężka.

„Nic nie odpowiedziałem, ale bojąc się, aby doprawdy nie upadła, rękę jej silniej do siebie przycisnąłem. Zwróciła wtenczas głowę ku mnie, spojrzała mi w oczy przenikającym wejrzeniem i rzekła :

„ — Je vous ai vu hier, n'est ce pas?

„Zarumieniłem się. Postrzegła to, i na górę weszliśmy prędko, krok jej był śmiały, szybki i pewny.

„ — W historii tej pani, — rzekł mi mój towarzysz, gdyśmy wracali do domu, — są dwie wersje : jedna z przyjaciелеm domu, który był przy czyną rozłączenia się jej z mężem, druga bez przyjaciela ; która z nich prawdziwa, nie wiem ; to pewno, że mąż jej był kartownik i grubianin, mieszkał dawniej w Wilnie, a dwa lata temu umarł w Petersburgu, gdzie czas niejaki dla interesów i dla dokuczenia żonie siedział. Pani Hieronimowa mieszka zwykle w białostockiem, gdzie ma ładną majątność, a niekiedy tylko lato przepędza w Pasiece. Moja matka nie bardzo jej ufa i boi się, żeby albo mnie głowy nie zawróciła albo nie była w czym złym przykładem Karolinie. Obie obawy próżne, bo ja takich sentymentalnych pań nie lubię, a moja siostra jest nadto żywa i pusta, aby pani Hieronimowa mogła być dla niej szkodliwą.

— Teraz pozwólcie mi państwo — rzekł dalej pan M. — zrobić jedną uwagę. Gdybym do opowiadania tych nic nie znaczących zdarzeń był przymuszonym, opowiadałbym śmiało, bez obawy znudzenia moich słuchaczy, którzy sobie tylko winę przypisać by musieli ; ale ja sam państwu narzuciłem się i bardzo tego żałuję. Spodziewałem się być krótkim, tymczasem widzę, że niebezpiecznie jest wywoływać dawne wspomnienia i że one za daleko unoszą. Rozgadałem się, i stracimy spacer.

— Pozwól mi pan — rzekł gospodarz z udaną powagą i poglądając na żonę — zapytać się nawzajem, czy ja tu mam prawo dać jaki rozkaz.

— Ten rozkaz — rzekła pani O. — wydaj.

To mówiąc, pociągnęła taśmę od dzwonka, wszedł lokaj, i pani O. rzekła :

— Odprząc konie ! już nie pojedziemy. Teraz jesteś pan przymuszony.

— Poddaję się woli pani — rzekł po chwili pan M. i tak mówił : — W ciągu mojego przebywania na wsi miałem sposobność widzieć jeszcze razy kilka panią Hieronimową, i coraz bardziej mnie zajmowała. Wprawdzie postrzegąłem wielomówność, którą jej wyrzucał mój kolega, ale ta wada była okupiona tak wdzięcznym, tak melodyjnym głosem, łączyła się z wejrzeniem tak przenikliwym, że ja słuchając tej muzyki i patrząc w jej czarne oczy, słyszałem nieraz zupełnie nie to co mówiła, podkładałem swoje własne myśli i rojenia i gdyby mnie ówczas był kto zapytał, o czym mowa, byłbym nieraz w wielkim kłopotcie. Jednego razu, gdym jej podawał szal w przedpokoju, a mój kolega wybiegł, by pośpieszono z powozem, zapytała mnie prędko, kiedy wyjeżdżam do Wilna.

„ — Pojutrze — odpowiedziałem.

„ — Miałabym komis, ale nie śmiem pana prosić.

„ — Będę pani jutro służył — rzekłem.

„Podziękowaniem było lekkie ściśnienie ręki, pierwsze w moim życiu i do dziś pamiętne. Nazajutrz o godzinie trzeciej jechałem do Pasieki ; droga była piaszczysta i otwarta, dzień parny, a koń mój, niosący bezwzględnie na siebie, niecierpliwego i rozmarzonego jeźdźca, stanął cały spieniony i zadyszany u wrót pięknego gaju. Gdym wjechał w jego środek i odetchnął chłodem, opamiętałem się cokolwiek i postępowałem zwolna, szykując myśli i hamując rozbujające nadzieje. Przed gankiem był

człowiek, który wziął mego konia, odprowadził go na lewo i wraz z nim zniknął. Ja zostałem jeszcze chwilę na ganku w zupełnej samotności i głębokiej ciszy. Wszedłem nareszcie. Dom zdawał się pustym. Zwolna i cicho postępując po miękkim kobiercu pierwszego pokoju, zatrzymałem się we drzwiach w niepewności, czy iść dalej, czy zaczekać, póki się ktoś nie zjawi; nareszcie przytłumione dźwięki instrumentu, wydobyte biegłą ręką, powołały mnie naprzód. W następnym pokoju obaczyłem panią Hieronimową, siedzącą przy fortepianie i przebiegającą niedbale jego klawisze. Oparty o drzwi stanąłem w milczeniu i przypatrywałem się jej nadobnym formom. Czarne jej włosy, gładko przyczesane, lśniły się jak krucze skrzydła; biały szlafroczek okrywał ją skromnie, ale wyjawiał figurkę zgrabną i wciętą; dzikiego koloru lekki szalik wił się jednym końcem po jej piersiach a drugim opadał poza krzesło na ziemię. Sądziła się samą, i całe jej ułożenie miało to opuszczenie się domowe, które tylko wyrafinowana kokieteria naśladować potrafi. Przeszło kilkanaście minut; tony instrumentu stawały się coraz cichsze, nareszcie schyliła głowę i zakryła sobie twarz obiema rękami. Zdawało się, że płacze. Serce się we mnie rozrywało; podszedłem ku niej, wziąłem jej rękę i patrzałem w jej oczy z rozrzewnieniem i współczuciem. Niezmieszana, niezadziwiona, podniosła głowę spokojnie, ręka jej została w moich dłoniach, i łza potoczyła się po jej twarzy.

„— Zszedłeś mnie pan niespodzianie — rzekła po chwili — i w momencie słabości i niemęstwa. W tej zupełnej samotności, w której żyję, zdarza się to często. Taka cichość mnie otacza, tak do niej przywykłam, że gdy tu siedzę, gdy zapomnę że moje palce wałęsają się po klawiszach instrumentu, przestraszam się tymi dźwiękami, które sama wydobywam, i wtenczas łzy mimowolnie puszczają mi się z oczu. Dziękuję panu za ten udział, jaki zdajesz się przyjmować w moim położeniu. Młode serca są lepsze, szlachetniejsze, wspanialsze.

„Całowałem jej rękę z rozrzewnieniem. Ona usuwała ją zwolna, i nie wiem, jakim sposobem przypadłem na kolana. Lekki rumieniec wystąpił na jej lica: kładąc drugą rękę na mojej głowie, nachyliła się i pocałowała mnie w czoło. Potem powstawszy poważnie, zapytała, ile mam lat.

„— Dwadzieścia jeden — odpowiedziałem.

„— Za lat pięć — rzekła — będę miała dwa razy tyle, mogłabym być matką pana. Siądźmy i pogadajmy.

„Rozmowa nasza była długa. Pytała mnie o rodzinne strony, mówiła o uniwersytecie, o profesorach. Zapytywała o nauki, które lubię, których słucham. Czuję, że jestem zmieszany, niezgrabny, że odpowiadał źle, niezręcznie, że język mój plątał się i odmawiał swej posługi. Przeciwnie, ona mówiła wiele i dobrze, szczególnie o sobie, o swoich zajęciach, o trudnościach i próbach, przez które przeszła, o cierpieniach i smutku, z którymi się już oswoiła, jak z przyjaciółmi.

„— Wymowa — dodał po chwili pan M. — nie jest nigdy bezwarunkowa. Wiele w niej zależy od daru mówcy, ale wiele także od usposobienia słuchacza. Słowo jest ziarno, słuchacz jest rolę. Nic się nie urodzi i z najzdrowszego ziarna, jeżeli pada na nieprzygotowaną ziemię. Nie wiem, jakbym dziś znalazł to wszystko co pani Hieronimowa mówiła, ale wówczas wydawała mi się prawdziwie wymowną. Tak przeszło godzin parę, wreszcie spojrzała na zegarek i rzekła, powstawszy :

„— Teraz jedź pan szczęśliwie. Ludzie są źli, szczególnie sąsiedzi. Mam znajomych w Wilnie, mam i takich których lubiłam, zobowiązywałam,

i którzy mnie szarpią. Powiedz im pan, gdy się zdarzy sposobność, żeś mnie poznał, i opowiedz, jakąś mnie widział. Po młodym sercu twoim spodziewam się prawdy: oto jest komis, jaki panu dać chciałam. Drugi, zwyczajniejszy, jest ten, abyś mi pozwolił do siebie kilka słów napisać i nie odmówił swej posługi, gdy potrzebować będę czasem książek lub nut. *Maintenant adieu, partez.*

„To mówiąc, podała mi rękę; odurzony ucałowałem ją, wyszedłem zwolna do drugiego pokoju i gdy się obróciłem, chcąc jeszcze raz na nią spojrzeć, znalazłem drzwi zamknięte. Koń mój stał już przed gankiem; ledwie miał dosyć sił dosiąść go i rzuciwszy cugle na jego szyję, puściłem go powoli i zatopiony w myślach, przyjechałem do domu.

„Gdy w kilka dni potem nad Xenofontem siedział, kształty liter greckich dziwnymi mi się wydały. Nie mogłem się przenieść w tak odległe wieki i zdarzenia, nie mogłem im nadać tej swobody myśli, jakiej wymaga nauka, z obecnym życiem nie mająca żadnego związku. Nieraz szukając wyrazu jakiego w dykcyjonarzu, zapominałem porządku alfabetu greckiego; gdym go sobie przypomniał, zapominałem, jakim go wyrazu szukał, i często zmęczony przewracaniem daremnych nabitych słowami ćwiartek, obłąkiwałem się do reszty, wpatrywałem się w wyraz i nie mogłem go przeczytać, papier przemieniał się w aksamitny gazon, słowa zbiegały się w klomb roślin i kwiatów, brzozy i klony zaczynały koło mnie szumieć, wesołe sikory świegotały, skacząc po gałązkach, a dalej lśniły się szyby pięciu czarownych okien, spoza których wyglądała twarz z lekkim rumieńcem, z wejrzeniem pełnym duszy, z ustami pełnymi harmonii i wymowy.

Z początku roku szkolnego zbiegali się towarzysze z nowymi siłami do pracy a ja straciłem dawne; wszakże zachęcony ich przykładem, orzeźwiony ich świeżością i nie zmęczoną jeszcze ochotą, zacząłem powracać do dawnego porządku i akuratności. Wtenczas właśnie odebrałem pierwszy list pani Hieronimowej. List ten, pisany jeszcze po polsku, nie mógł być niebezpiecznym, zajął mi jednak dwa dni czasu, nim załatwiłem, czego po mnie wymaga, i nim odpisałem. Moja odpowiedź była długa. Wymowniejszy byłem z piórem w ręku, w pokoju zamkniętym na klucz, gdy przede mną był tylko papier, a wokół wspomnienia chwil upłynionych, niż w przytomności tych ócz przenikliwych i pod czarami tego słodkiego głosu. Drugi jej list, już po francusku, był prawie tak obszerny jak ten, który pani trzymasz w ręku, i bodaj czy nie drobniej i ściślej pisany. Odtąd zaczęła się korespondencja coraz częstsza, coraz obszerniejsza, coraz pełniejsza wylania i uczucia, ale nie wychodząca z granic prostej życzliwości i form grzecznych. Trawiłem nieraz po pół dnia na decyfrowaniu jednego listu, noc przechodziła na odpisywaniu: a tak wpołseny i rozmarzony przychodziłem na lekcje, których nie słyszałem, straciłem nic we wszystkich prawie przedmiotach i nie mogąc już związać jednej materii z drugą, zacząłem coraz rzadziej uczęszczać do uniwersytetu. Postrzegł to Grodek, zaczął się na mnie krzywić, ale jam go unikał, bojąc się jego wymówek. Przeszło parę tygodni bez żadnego listu. W tym czasie wytchnienia żarciki mojego kolegi, wiadomość odebrana z domu i niespokojność rodziców, do których dawno nie pisałem, obudziły we mnie postanowienie nie poddawać się czarom już rozwiniętego uczucia. Gdy w takiej walce przechadzałem się raz po pokoju i coraz bardziej się ukrzepiał, wszedł służący Grodka, prosząc w imieniu pana, abym do niego przyszedł. Rad byłem temu zdarzeniu, sądząc, że sam widok dobrego staruszka, jego rada, jego

upomnienie jeszcze bardziej mnie umocni i uzbroi. Ubrałem się pędkiem, lecz wyszedłszy na ulicę, postrzegłem człowieka w eleganckiej choć nie błyszczącej liberii, który decyfrował numer kamienicy, gdzie mieszkał.

— Fatalność, nieszczęście! — zawołał pan Ignacy, poprawiając się na krześle i uderzając o stół palcem. — Najlepsze chęci pójdą wniwecz.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy, nawet pan M., który tak dalek mówił:

— Twarz tego człowieka zdawała mi się znajomą.

— Kogo szukasz, kochanku? — zapytałem.

„Spojrzał na mnie i zawołał:

„— Aha! zdaje mi się, że pan jesteś pan M.

„Na znak potwierdzenia oddał mi bilecik. Rozerwałem go chciwie i szedłem naprzód, żeby skryć przed lokajem pomieszanie i radość. Kilka słów tylko było ołówkiem napisanych: „Przyjechałam dla interesów, jestem zmęczona i chora“. Niżej były te słowa: „Możesz mi pan kilka chwil udzielić?“ A potem niżej: „Ne sui-je pas une vieille folle de croire, que vous viendrez à l’instant?“ Zapytałem człowieka, gdzie jego pani mieszka. Nazwał mi dom, i wkrótce znikłem z jego oczu. Zapomniałem o Grodsku, o wszystkich klasykach starożytnych i nowych; uniwersytet ze wszystkimi gmachami, z całą mądrością, jaką z pięćdziesięciu ust wylewał, zakrył się przed moimi oczyma mgłą nieprzejrzaną.

„Tydzień przeszedł szybko, a gdy przeszedł, gdy wyjechała, pierwszy list, którym odebrał, zaczynał się od tych słów: „Antoine! cher ange!“ Jak szły potem moje studia, łatwo się domyślić. Akuratnym tylko byłem w odpisywaniu na jej listy. Jeżeli chodził do uniwersytetu, to machinalnie, bez energii, bez przygotowania, bardziej aby się czymkolwiek rozerwać, niż żeby się czego nauczyć, żeby postępować za ciągiem rozwijających się prawd i zdobywać trudem i usilnością jedne po drugiej te piękności, które się tają w księgach starożytnych pisarzy. Dobry nasz filolog starał się jeszcze zwerbować mnie pod swój sztandar.

„— Gdzież to się wasyndzi tak absentuje? — rzekł mi raz — jak mi żal, że wasyndzi zupełnie się zaniedbał.

„Słuchałem ze spuszczonej oczami tych wymówek nieocenionego staruszka. Wstyd oblewał moje blade lico, ale gdy wróciłem do domu, zastałem list, rzuciłem się nań z łechciwością, i tęsknota nieopisana opanowała moją duszę.

„Gdy się sanna ustaliła, widywałem ją każdego tygodnia; dzień, dwa dni przepędzałem z nią razem. Raz zastałem ją chorą i nie szcędząc ani jej, ani siebie, bez względu co by powiedziano w sąsiedztwie, nie odstępowałem od jej łóżka. Z moich rąk przyjmowała lekarstwa, na moich rękach zasypiała. Tak nas zastał lekarz miejscowy; widziałem na jego twarzy podziwienie, i wtenczas zrodziła się we mnie myśl oddać rękę tej kobiecie, która mi z takim wyłaniem oddała swój honor i serce. Tak przeszły blisko trzy tygodnie. Postrzeżono moją nieobecność w Wilnie, i gdy wróciłem, ukarano mnie tygodniowym aresztem. Wspomnień miałem wiele, i każdej poczty odbierałem list nie mniejszy od tego, który stał się przyczyną, że państwo tu siedzicie, gdy wieczór tak cichy i niebo tak pogodne. Nie było więc to więzienie karą tak surową, jak mniemali ci, którzy mnie na nią skazali. Ale przyczyna tej kary stała się głośniejszą; dowiedział się o niej mój uczony opiekun i szczerze się zasmucił; mój towarzysz, gdy mi objawił postanowienie żenienia się z panią Hieronimową, gdy spojrzał na moją twarz bladą, oczy zapuchłe od płaczu, postać stanowczą, nie śmiał się, nie żartował, ale zamyślony wyszedł. W ogólności stan mój był przykry, uczucia moje zdawały mi się głę-

bokie, a jednak nie kontent z siebie, wstydzilem się ich prawie, zwłaszcza wówczas gdy mi przychodził na myśl mój rozsądny ojciec, który nie mógł pochwalić mojego postanowienia i zezwolił na spełnienie moich życzeń. W takiej walce i zdrowie moje uciecierpieć musiało. Szczęściem, nadeszła wiosna, i całe dni przepędzałem na wzgórzach otaczających miasto, nad pięknymi jego wodami, i oddychając świeżym i balsamicznym powietrzem rozkwitającej natury, sam przychodziłem do siebie. W tym czasie odebrałem list od mego ojca, krótki ale stanowczy. Kazał mi uwolnić się z uniwersytetu i przyjeżdżać natychmiast, dodając że moja matka chora, żebym pośpieszał, jeżeli ją chcę zastać. Krótko trwała walka, czy mam pojechać pożegnać kochankę. Obrazy, które mi nasunęła zatrwożona imaginacja, blask pogrzebowych pochodni, głos księży i dzwonów, poważna twarz ojca, smutek i groźny wyrzut na jego czole, pokonały moje synowskie serce. Napisałem więc list krótki ale malujący stan mojej duszy, przyłączyłem mój adres i list ojca, i wyprawilem sztafetę, sam zaś w kilkanaście godzin już byłem w drodze do domu.

„Nieszczęściem, czy może szczęściem dla mnie, różne przeszkody zatrzymywały bystrość mojego biegu. Ledwie jedenastego dnia po wyjeździe z Wilna zbliżyłem się do domu. Z niecierpliwością i trwogą obaczyłem wznoszący się wśród topoli dach rodzinny. Wspomnienia dzieciństwa, nadzieja obaczenia tak dobrze znajomych twarzy, szum drzew, których wszystkie kształty tak mi były pamiętne, łoskot młyna, przy którym usypiałem w dzieciństwie, cała ta przeszłość mieszała się z obawą zastania smutku i żałoby w tym samym domu, gdzie znał tylko radość. Konie leciały szybko, dzwonek rozlegał się wokół; zapewne odgłos jego wywołał mego ojca na ganek, gdzie go już zastał. Wskoczyłem z powozu i rzuciłem się do nóg jego, płacząc. Podniósł mnie z powagą i dobrocią.

„—Twoja matka zdrowsza, już wstaje, uspokój się, nie płacz — rzekł i uściśnawszy, poprowadził mnie z sobą.

„Któż nie doznał, a nieszczęśliwy kto nie doznał, tego uczucia bezpieczeństwa, jakim oddycha serce dziecka pod dachem rodzinnym? Jeżeli nawet byt indywidualny każdego członka rodziny już zaczyna się rozwijać, mniej cierpi, gdy się tuli pod skrzydło, pod którym się wyłgał; gdy się ucieka pod obronę tego ducha opiekuńczego domu, któremu Rzymianie stawiali ołtarze, którego reprezentantem w każdej rodzinie jest ojciec. Gdy się rozgościł, z pierwszych wrażeń uspokoił, mój ojciec oddał mi list pani Hieronimowej, patrząc mi w oczy z powagą. Zaczerwieniłem się i przeklinałem w duszy wszystkie przeszkody, które mi nie pozwoliły stanąć wcześniej i przedsięwziąć środki do utajenia mojej korespondencji.

„— To ręka kobiety? — rzekł surowo.

„Potwierdziłem cichym, ledwie słyszonym głosem. Nic nie odpowiedział i wyszedł. Za każdą pocztą oddawano mu wszystkie listy do rąk (taki był jego rozkaz); on mi moje zawsze sam wręczał. Trwało to przeszło półtora miesiąca. Moja matka wyzdrowiała zupełnie, ale była smutna i unikała prawie rozmowy ze mną. Nie byłem szczęśliwy. Obejście rodziców moich było zimne, kochanka była daleko i w tęsknocie za mną, zajęcia nie miałem żadnego, słowem, nie wiedziałem co z sobą pocznąć. Jednego ranku dla rozerwania się zacząłem porządkować swoje papiery. Między innymi przyszła kolej i na serdeczną korespondencją; otworzyłem więc szkatułkę, gdzie były listy pani Hieronimowej, Leżały one wprawdzie każdy w swojej kopercie, ponumerowane, z

nadpisem, którego dnia, o której godzinie, który z nich był odebrany, Wysypałem je wszystkie na kanapę, chcąc według numerów uszykować. Tylko co się ta nieszczęsna operacją zaczęła, gdy wszedł mój ojciec. Nie było czasu sprzątnąć, skryć tej kieszonkowej biblioteki, tak jawnie przeciwko mnie świadczącej. Spojrzał mój ojciec na tę gromadę kopert pełnych i wyciągając rękę w milczeniu, jeszcze jeden list mi podawał. Nie miałem siły wziąć go i rozpieczętować. Z głową schyloną, z sercem miotanym dziwnymi uczuciami, stałem w milczeniu i bez ruchu.

„— Nie chcesz! — rzekł po chwili — przydaję więc złoto do złota, i rzucił list do innych.

„— Nie śmiałem powiedzieć: „Habdank“. Żal niewypowiedziany mnie ogarnął gdym postrzegł, że wszystkie uczucia, całe serce tej kobiety, którą kochałem, leżało tu rozlane w tysiącnych ćwiartkach pod surowym okiem zimnego i mającego nas sądzić człowieka. Gdym przyszedł do siebie i podniósł oczy, postrzegłem, że mój ojciec usiadł przy moim skarbie i założywszy ręce, patrzył na mnie spokojnie i poważnie, jak gdyby czekał objaśnienia. Gdym milczał, rzekł nareszcie:

„— Więc ten cały szereg listów od niej... i to w przeciągu kilku miesięcy? Masz, mój synu, korespondentkę zawziętą i niezmordowaną.

„— Jest to kobieta, mój ojczu, pełna rozumu, pełna uczucia, która mnie kocha, żyje w zupełnej samotności, i nie dziw, że pisze do mnie wtenczas, gdy mnie nie widzi.

„— I ty ją kochasz? — zapytał mnie łagodnie.

„Rzuciłem się ku niemu; przyznałem się. Kazał mi usiąść i zaczął ze mną rozmowę, nie jak ojciec surowy i niewyrozumiały, ale jak przyjaciel pełen życzliwości i rozsądku, wchodzący w moje położenie i dzielający jego trudności. Nadzieja okraśniała moją twarz rumieńcem i nadała żywość moim słowom i opisom. Starłem się wystawić panią Hieronimową z najpiękniejszej strony, opisywałem jej poświęcenie się, jej szlachetność w nieprzyjmowaniu mojej ręki, obowiązki moje dla niej malowałem tak, iż nie było dla mnie innego środka niż dotrzymać danego jej słowa, do którego przyjęcia skłoniłem ją długimi prośbami, płaczem i smutkiem, który mi zagrażał zupełną utratą zdrowia.

„— O związkach twoich — rzekł mój ojciec — dowiedziałem się wtenczas, gdyś był w areszcie. Nie dziw się, mój synu, mojej trwodze. Pani Hieronimowa P. nie była mi wystawiona tak jak ją ty malujesz. Odwołałem cię z Wilna i nie żałuję tego. Nie przykazuję ci, abys o niej zapomniał, władza ojcowska nie rozciąga się tak daleko. Wreszcie zanadto cenię twoje szczęście, abym ci zagradzał do niego drogę, który z obowiązku i z popędu serca usłać ci do niego ścieżkę powinienem. Nie mówię tu o różnicy waszego wieku. Tyś młodzieniec, ona kobieta i kobieta niemłoda. Gdy ty będziesz mężczyzną, ona będzie stara. Śmiać się z was będą, ale mniejsza o sądy ludzkie, możesz ją kochać, szanować, możesz mieć z nią spokój w domu i być szczęśliwym. Najgłówniejszą jest rzeczą dla rodziców charakter tej osoby, której mają powierzyć szczęście swego dziecka. Nim ci więc stanowczo pozwolę, lub położę moje niecofnione veto, muszę wprzód z gruntu poznać panią Hieronimową. Grodek, donosząc mi z żalem o twoim obłąkaniu, wspomniał o niektórych zdarzeniach całemu Wilnu znajomych....

„Zerwałem się z krzesła.

„— Siądź, mój synu, — rzekł dalej mój ojciec z powagą, — nie powinienes się dziwić, że sprzyjający ci i uczony staruszek z żalem pisał, ileś czasu stracił. On, który umie tak wiele, który wie, z jakim trudem

nabywa się każda gruntowna wiadomość, wie także najlepiej, jakim nieocenionym skarbem jest czas, i nie może patrzeć bez smutku na tych, którzy ten drogi dar boży marnują i garściami wyrzucają za okno. Nie mógł się on stać adwokatem pani Hieronimowej, która była przyczyną tego z twojej strony marnotrawstwa. Chociaż więc i ty pewny jesteś, że taki człowiek nic od siebie nie przydał a powtórzył tylko powszechne pogłoski, ja jednak ostrożnie je rozbieram i ślepo im nie wierzę. Drugi list odebrałem od twojego przyjaciela. Nie masz potrzeby czerwienić się. Było to jego obowiązkiem mnie uwiadomić, i powinieś w tym widzieć dowód jego przyjaźni. Serce jego bez grzechu; on nie aprobeje twego wyboru. Że zaś mógł się unieść przyjaźnią dla ciebie, że się mógł pomylić w zdaniu o kobiecie, której może nie pojął, że jako młody mógł za lekko osądzić jej obyczaje i charakter z przypadkowych okoliczności, które często jak połamane zwierciadło w bezkształtnej postaci odbijają najpiękniejsze lico, dlatego i jemu przez pół wierzę. Ty znowu, mój synu, odmalowałeś mi ją zupełnie inaczej, ale i ty nie jesteś bezstronny i ciebie zaślepia namiętność, dlatego i na twoim zdaniu zupełnie polegać nie mogę. Zostaje więc nam, rodzicom, pragnącym twego szczęścia, jeden środek. Tu — dodał pokazując na stos listów — maluje się pewne serce twojej kochanki, tu odbija się jej charakter, jej skłonności; tu ona przelała się sama z ciałem i duszą. Jakkolwiek praca będzie wielka, ale jakaż ofiara jest dla rodziców za trudna! Te listy nam powierzysz, przejrzymy je z matką i wtenczas...

„— Mój ojcze! — rzekłem zmieszany — te listy były do mnie pisane, są to tajemnice, są to szepty duszy w duszę, dla ucha postronnych nie dosłyszane, nie pojęte.

„— Tym więcej mi usługą. Może z początku jest w nich cokolwiek hipokryzji, jak we wszystkich początkowych listach zakochanych kobiet i mężczyzn; jest to dym, który zwykle poprzedza wybuchnienie płomienia, dalej będzie on czysty, i przy jego świetle rozpoznam wszystkie zakątki jej serca.

„— Mój ojcze! — rzekłem błagającym tonem.

„— Chyba, że się boisz abym w nich nie znalazł potwierdzenia tego co mi napisał Grodek i twój przyjaciel. W takim razie nalegać nie będę, zbyt bym cię żałował, żeś dał się wyprowadzić w pole.

„— Nie, mój ojcze, — rzekłem, powstając, — tego się nie boję, możesz zimną ręką grzebać w jej sercu, wszędzie znajdziesz tylko najszczerze żądanie mojego szczęścia.

„— Więc pozwalasz?

„— Z tym warunkiem, mój ojcze, że mi pozwolisz pojechać do Wilna i tam skończyć uniwersytet.

„— I po skończeniu uniwersytetu wrócić do domu z synową! Zgoda!

„To powiedziawszy, zaczął z powagą zbierać moje listy, porządkować je według numerów, liczyć z największą akuratanością, i gdy to wszystko było skończone, kazał sobie przynieść serwetę, zawiązał je i wyszedł. W ciągu tej długiej operacji stałem bez ruchu oparty o ścianę, nie miałem żadnej myśli, żadnej obawy, żadnej nadziei. W tym odrętwieniu machinalnie spojrzałem na kanapę. Mój ojciec delikatny i litościwy zostawił tam ów list ostatni, jeszcze zapieczętowany. Upadłem przed nim na kolana, jakby przepraszając nieobecną kochankę, żem dopuścił podjąć tajemniczą zasłonę jej myśli i uczuć. Zacząłem czytać, lzy rzewne puściły się z moich oczu i przyniosły ulgę.

„Cały ten dzień nie widziałem moich rodziców; nazajutrz wszedł mój ojciec z całym pakietem zawiązanym w serwetę, a za nim człowiek, który przyniósł trzy ryzy czystego papieru. Gdym patrzył na to wszystko z podziwieniem, rzekł mój ojciec :

„— Wzięliśmy się, kochany synu, nie do swojej rzeczy. Twoja matka słaby ma wzrok, a ze mnie nieszczęśliwy Francuz. Niczego więc dojsć nie mogliśmy. Masz więc swój skarb na powrót. Oryginały niech zostaną przy tobie; ale oto masz papier, przepisz je wszystkie czytelnie dla matki, a dla mnie przetłumacz po polsku, i wtenczas — dodał stanowczo — pojedziesz do Wilna.

„Nie czekając mojej odpowiedzi wyszedł.

Spojrzelśmy po sobie z uśmiechem, a pan M. który im dłużej mówił, tym bardziej twarz jego przybierała wyraz melancholiczny i smutny, jakby nie dostrzegając naszego poruszenia, tak mówił dalej :

— Długo myślałem, jaki by miał cel mój ojciec w tym osobliwym zdarzeniu. Na koniec wpadłem na myśl, że mi chce dać czas do zastanowienia się, chce znużyć moją cierpliwość i tym samym lekarstwem, które zdrowemu dało chorobę, wyleczyć chorego. Gdym sobie przypomniał całe jego postępowanie ze mną, jego rozmowę tak niemiłosiernie logiczną, jego udaną powagę, a nade wszystko to lekkie usunięcie różnicy wieku, com ja we własnym przekonaniu poczytywał za niezwykłą przeszkodę, przekonałem się, że cel mego ojca nie inny, że żartował sobie z moimi uczuciami, które były tak głębokie i szczerze. Postanowiłem więc zniweczyć jego plany i natychmiast wziąłem się do roboty. Z tym postanowieniem wrócił mi dobry humor, i wszystko wokoło mnie okryło się dawnymi kolorami. Przy obiedzie śmiałem się, rozmawiałem o różnych rzeczach, ale o mojej korespondencji, o tym trudzie herkulesowym, który mi naznaczono, nie było żadnej wzmianki. Przed wieczorem wziąłem się znowu do pracy. Okno mego pokoju, przy którym stał stolik, wychodziło na ogród; o kilka kroków szła uliczka samotna i przez nikogo nie uczęszczana. O godzinie drugiej po północy jeszcze siedział i pisał. Noc była ciepła, okno otwarte, cisza tak zupełna, że nawet płomień mojej świecy się migał. Wtem, zdawało mi się, że usłyszał kroki przechodzącego człowieka; wyrzałem przez chwilę przez okno i poznałem postać mego ojca, który poważnie przesuwając się między drzewami i w bocznej ulicy zniknął. „Mój ojciec niespokojny o mnie, nie śpi dotąd“ — pomyślałem; sumienie mnie tknęło, i w ten moment zagasilem światło. W pierwszych dniach praca szła mi dość żywo i nie psuła humoru. Gdym był z rodzicami, naciągałem do niej niekiedy rozmowę; raz nawet wspomniałem o Biblii, o Jakubie, który siedem lat paść owce dla pozyskania ręki Racheli. Mój ojciec zawsze udawał, że nie rozumie moich aluzji, i zwracał rozmowę do innych przedmiotów, niekiedy wszakże we dnie, a w nocy najakuratniej, przechodził pod moim oknem i spozierał, czy piszę. Dwudziestoletni filozof, chciałem omylić doświadczenie starego i znającego serce ludzkie człowieka. Im więcej wczytywałem się w listy pani Hieronimowej, tym bardziej zacząłem spozstrzegać w nich nadzwyczajną monotonię. Te same myśli, te same uczucia powtarzały się co moment; jednostajne obrazy, niekiedy w odmiennej, a często w te same postaci, jawiły się natrętnie. Z początku to postrzeżenie było myślą przelotną, którą odpędzałem jak nieprzyjemne widziadło; stopniami, stopniami, zamieniło się w przekonanie i stało przy mnie jak mara niezbędna, która kładła zimną rękę na moim sercu i z drzewa mojej miłości zrywała listek po listku, kwiatek

po kwiatku. Tu wstyd mnie oblał, tu niewdzięczność taka gryzła i dręczyła. Dla pokonania się pisałem noc całą i gdym rano wszedł do pokoju rodziców, zastałem ojca siedzącego smutno z założonymi rękami, a matkę we łzach. Ten widok znowu mnie przeraził i sumienie moje obudził. Odtąd rzadkom się pokazywał, ale rzadziej także siadywałem przy moim stoliku. O godzinie dziesiątej już było w pokoju moim ciemno. Niekiedy znużony mechaniczną robotą, do której przysiadłem się czasem, nie przewidując jej końca, odsuwałem ze wstrętem papier pół zaczętego periodu. Potem wstydząc się oczucia tak krzywdzącego kobietę, która może w tej samej chwili duszą i myślami unosiła się nade mną, wybiegałem z domu, dosiadałem konia i błąkałem się bez celu po polach i lasach. W takim stanie, w takiej walce, przeszły blisko trzy miesiące. Tu pan M. schylił głowę i zamilkł zupełnie.

— I nie przepisałeś wszystkich listów? — zapytał po chwili gospodarz.

— Było ich przeszło dziewięćdziesiąt — rzekł pan M., nie patrząc na nas.

— Zostałeś więc pan w domu? — rzekłem.

— Skończyłem uniwersytet w Berlinie — odpowiedział.

— A pani Hieronimowa? — zapytał pan Ignacy.

— Odbierałem jeszcze od niej coraz rzadsze listy, zaliła się na moje milczenie, na koniec i sama umilkła. Szanowałem tę dumę obrażonego serca. Co się zaś z nią stało, dotąd nie wiem. Nie śmiałem się dowiadywać, bałem się, aby cokolwiek nie zepsuło moich iluzji. Pragnąłem i pragnę dotąd — dodał z lekkim westchnieniem — aby w myśli mojej została taką, jaką ją widziałem i znał w Pasiece.

To rzekłszy, powstał i poszedł ścieżką ku Teterowu. Zostaliśmy w milczeniu i patrzyliśmy nań z interesem. Długo widzieliśmy go błąkającego się nad brzegami rzeki, nikt z nas nie śmiał pójść za nim; nakoniec zmrok wieczora zakrył go nam zupełnie. Do wieczery pan M. nie przyszedł, a gdyśmy się najazutrz na śniadaniu zebraли, powiedziano nam, że o godzinie czwartej rano wyjechał.

Wtenczas rzekł pan Ignacy:

— Jak dziwnie los człowieka zależy często od drobnych okoliczności! Gdyby pani Hieronimowa była pisała wyraźnie, gdyby pisała po polsku, miałaby dziś młodego męża, który by ją dotąd kochał.

Ślawianie są czynnikami wolności duchowej. Od dawna już systemat W. Książów moskiewskich zaczął tę wolność charakterową Ślawian spędzać z ziemi oblicza. W pierwszych więc czasach Ślawianizmu Polska pokazuje się: jako wielkie słoneczne Wolności Morze; a dwie odeń gwiazdy (niby tego-samego koloru, a piękniejszej może jasności...bo ku ciemnym stronom idące) Nowogród i Psków świecą na Północy. — Jako zaś w świecie materialnym nic nie ginie... ale wszystko przemienia się tak też podobnie i w świecie Duchu. Nowogródzkie przeto i Pskowskie pierwiastki jeszcze aż dotąd są w Ślawianizmie do odkrycia, i jeszcze gdzieś pod grobami i popiołem palą się niezagaszone. Dzisiaj przeto jeszcze są Duchy, z których Książę wyciągnąłby trzy rzesiste wspomnieniem dnia tego, w którym dzwoni wielki sejmowy w Pskowie zdejmovano. A kto by usty ludzkimi ostatni jęk tego dzwonu naśladować potrafił usłyszałby echo płaczu z różnych kątów Rosji przylatujące.

JULIUSZ SŁOWACKI.

(Do Księcia A. C. Dzieła
wszystkie. Tom VII.
Lwów 1930; str. 518)







ORBIS (LONDON) LIMITED

KSIĘGARNIE POLSKIE

w Londynie :

9, New Oxford Street, W.C.1.

Tel. Hol 0868 i 1200

**Kiosk w Klubie Orła Białego 2, Albert
Gate, Knightsbridge**

w Edynburgu :

31a, Castle Street

Tel : 24705

Posiadają na składzie

Wszelkie polskie nowości wydawnicze,
książki angielskie, dotyczące zagadnień
polskich, podręczniki szkolne i techniczne,
słowniki, nuty, oraz dzienniki i czasopisma
polskie

Dział polskich wydawnictw Orbisu

W znanej firmie belgijskiej wydawniczo-księgarskiej

OFFICE DE PUBLICITÉ S.C.

**36 RUE NEUVE, BRUXELLES
BELGIA**

oficje zaopatrzone w polskie książki, podręcz-
niki szkolne i techniczne oraz do nauki języków,
słowniki, nuty i t.p.

Zamówienia pocztowe wykonywane są natychmiast